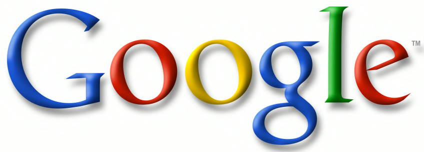


ST. TARNOWSKI



# JÓZEF SZUJSKI

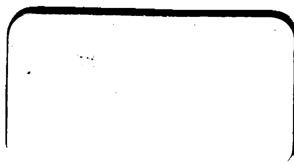
## JAKO POETA



KRAKÓW
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1901

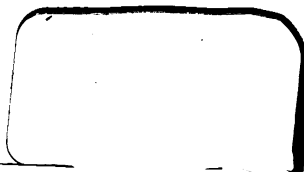
7/28/76

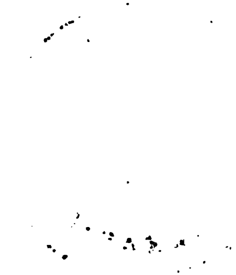




7/28/76





# JÓZEF SZUJSKI

ST. TARNOWSKI





# JÓZEF SZUJSKI

## JAKO POETA



KRAKÓW
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1901

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

## Ostrzeżenie dla czytelnika.

---

Niniejsze małe studium o poezyi Szujskiego, pisane było dla *Biblioteki Warszawskiej*, i wychodziło pod cenzurą rosyjską. Autor pisząc starał się z góry stósować się do jej wymagań, ale ona sama jeszcze wyrzuciła wiele z jego rękopismu. Z tego wynikło, że praca jest bardzo niezupełna, bardzo niedostateczna. Gdyby autor był mógł i sam od siebie mówić otwarcie, i z dzieł Szujskiego wybierać jakieby chciał wyjątki, byłby może zdobył się na coś lepszego. Ale chodziło o to, żeby publiczność polska pod rządem rosyjskim, mogła choć cokolwiek z Szujskiego, i cokolwiek o Szujskim przeczytać. Dlatego autor wydał tę swoją pracę, choć wie, jak jej wiele braknie; przed czytelnikiem zaś tłómaczy się z jej braków wyżej wymienionym powodem.

Jest temu lat ośmmnaście, jak umierał człowiek, który za młodu w poezyi widział swoje powołanie główne, a w wieku późniejszym, oderwany od niej pilniejszymi obowiązkami, miał tę samą dla niej miłość i cześć, do niej tęsknotę, w niej wytchnienie, pociechę, kordyał dla strudzonej duszy, rozkosz dla czynnej i potrzebującej tworzyć wyobraźni. Człowiek, przeznaczony na to, żeby w nowych czasach i stosunkach był wyobrazicielem i krzewicielem nowych zwrotów myśli, pragnień serca nie nowych, ale odmiennych, sądu, zwróconego poważnie i surowo na samą głębię duszy, a połączonego z najgorętszą, najsilniejszą miłością: przeznaczony na to, by

W smutku wielkim patrzał dokoła
Na braci serca i na braci czoła,
Złe z dobrem ważąc na sumienia szali.

Nazywał się Józef Szujski.

Jako historyk, jako moralista i pisarz rzeczy politycznych, wiadomy przynajmniej, jeżeli nie znany. Każdy o nim słyszał, wielu o nim mówi; niektórzy nawet go czytali. Sądzili go, naturalnie, bardzo różnie.

Poeta jest mniej głośny. Wiersze z lat młodych utonęły w ówczesnych pismach peryodycznych i po-

szły w zapomnienie: dramata rzadko ukazywały się na scenie, a zawsze tylko z warunkowem, niezupełnem powodzeniem. Zbiorowe wydanie, kiedy wyszło po śmierci autora, spotkało się z budującą, jednomyślną obojętnością publiczności i krytyki, tam, gdzie było znanem: gdzieindziej wcale znanem nie było. Mówią, że przyczynia się do tego cena, niby za wysoka; sądziłbym raczej, i dla ogółu czytających korzystniej, że właściwa poecie, nieraz trudna, forma przeszkadza niejednemu do zasmakowania w treści. Uprzedzenia, osobiste niechęci, mogły także dorzucić swój grosz do tej składki na nieznajomość Szujskiego. Dość, że składka udała się świetnie, i autor «Jadwigi«, »Zborowskich«, »Władysława IV«, »Poważnych chwil«, jest czytającej publiczności naszej prawie obcym.

Ale czy jest obojętną, nie znaczącą figurą w dziejach naszej literatury, naszej poezyi? — To inne pytanie. Była w nim, jak w jego wielkich poprzednikach, »nad śmierć silniejsza siła ukochania», była bystrość wzroku i głębokość sądu, jaką w jego pokoleniu nie dorównał mu podobno nikt; była namiętna żądza, i, co lepiej, stateczna, niezłomna wola i praca dźwigania i podnoszenia, tragiczna tem, że, (jak zwykle w naszym świecie), bezskuteczna, albo mało skuteczna. Były błyski genialnej intuicyi, połączone z doskonałą znajomością rzeczy w historyku; były u moralisty i polityka prawdy i słowa, wstrząsające do samego dna duszy i sumienia, przejmujące smutkiem i strachem, ale zarazem rozkazujące żyć i żyć uczące; była w jego poezyi nieraz trudność i niedoskonałość formy, ale była w niej treść i dążność ta sama, była

śmiałość i siła nie myśli tylko, ale i słowa, i była piękność nie zawsze sobie równa, ale rzeczywista, rozmaita, poważna i surowa częściej, czasem wdzięczna i lekka, zawsze własna, nigdy pożyczona, nigdy pospolita, nigdy pusta i czcza pod ponętnym pozorem. A przez to nie w prozie tylko, lub w nauce, ani w samem praktycznem historycznem życiu, ale i w poezyi ma on prawo liczyć się do ludzi najznakomitszych, jakich u nas druga połowa tego wieku widziała.

Jak go dać poznać?

Trzeba-by opowiedzieć wszystkie jego życia koleje, i wszystkie za jego czasów dzieje, trzeba-by próbować nie zgłębić i skreślić, ale naznaczyć przynajmniej, dać do domysłu, jakie mogły być boleści i jakie walki z sobą samym i z ludźmi, jakie w duszy uciski i rozpacze, jakie z zewnątrz prześladowania i krzywdy; trzeba-by pokazać go w związku ze wszystkiemi zdarzeniami i zagadnieniami jego czasu. A gdyby to nawet było możliwem, jak nie jest, to zostawała-by jeszcze trudność druga. «Tyś świadek niepewny, podejrzany: tyś towarzysz i przyjaciel, uczestnik i pomocnik jego prac, wyznawca jego pojęć i zasad, zatem stronniczym, uprzedzonym być musisz. Choćbyś nie chciał, widzisz go i pokażesz innym, niż był». Tak może nie jeden pomyśli. A cóż na to odpowiedzieć? Że przyjaźń nie jest zaślepieniem, że wspólność prac i dążności, jednakowe zrozumienie i celów życia, i środków, nie pociąga za sobą bezwzględnego uwielbienia, czy talentu jako takiego, czy każdego z osobna jego dzieła? odpowiedź byłaby słuszna i rzetelna. Ale i ta może nie wystarczyć. Cóż więc robić? Nie mówić wcale? Kiedy jest i powinność i gorąca chęć mówie-

wznoszenia się w górę; rozum, który w szczęśliwych chwilach (nie zawsze) już wtedy nie jedno zagadnienie śmiało podejmował, nie jedną trudność pokonał. Za poetę się miał, poezyę chciwie pożerał, i naturalnie, marząc o tem, że będzie kiedyś następcą Mickiewicza i innych, pod ich wpływem się kształcił. Że młody chłopiec owych czasów miał poezyę za najwyższe, najpotrzebniejsze powołanie, to zupełnie naturalne. On, marząc o tem, że poprzedników prześcignie, naśladuje ich, sam o tem nie wiedząc; najwięcej w swoich drobnych wierszach Ujejskiego (w owym czasie znowu rzecz naturalna), którego wielbi, kocha, ale zarazem prawie przeklina za to, że już wypowiedział to, co on sam miał w sercu i głowie. Ale miał i śmielsze ambicye. Drobne formy mu nie wystarczały. Poezya jest na to, by podejmowała i rozwiązywała wszystkie największe kwestye osobistego i zbiorowego życia. Dramat filozoficzny, albo dramat tendencyjny i polityczny, Faust, Kain, Irydion, to cele, to wzory, które sobie stawia piętnastoletni gimnazyasta. Pisze też dramata fantastyczne, allegoryczne, w których rozświeca własne myśli i pragnienia, na wypadkach i ludziach różnych ze starożytnego i chrześcijańskiego, czasem ze współczesnego świata.

Ze zbiorem kilku takich poematów i z wielką liczbą drobnych wierszy, z głową, pełną śmiałych marzeń, ale pełną także i myśli, i wiadomości, ze wspomnieniem jakiejś już przebytej chłopięcej miłości, przychodzi do klasy siódmej do Krakowa. Ostatnie dwa lata gimnazyum schodzą pod względem nauk świetnie, pod względem stosunków przyjemnie. Z nowymi kolegami zrozumieć i pogodzić się nie zawsze

łatwo, bo nie chcą wierzyć w dojrzałość jego filozofii, ani w piękność jego poezyi, i nieraz bez litości oblewają zimną wodą jego marzenia o chwale. Ale jest jakiś młodociany, instynktowy szacunek wzajemny, który ich łączy i do siebie ciągnie; kiedy odtrąca ich od siebie, to, co w nim razi jednych jako zarozumiałość i pretensya, jego w nich jako zbytek rozsądku, chłód, przedwczesna dojrzałość i miara. Nieskończone rozprawy toczą się o wszystkiem: o polityce i filozofii, o religii i o najlepszym sposobie uszczęśliwienia ludzkości; ale tocząc się o wszystkiem, schodzą najczęściej na poezyę: Szekspira i Greków, Mickiewicza i Niemców, i jego własną wreszcie, albo tę przyszłą, wielką, która przyjść powinna. On utrzymuje — już wtedy, jak do końca — że sztuka nie jest dla sztuki, że poezya (jak wszystko) ma wyższym celom i prawom służyć, i być «kapłanką idei». Jednak (choć na pozór koncessyi nie robi) przypuszcza stopniowo do myśli przekonanie, że poezya, choć nie dla sztuki samej, to przecież sztuką być musi, że Szekspira i Greków tragedye działają silniej na uczucia i wyobraźnie, aniżeli jego «ideowe» dramata; i zaczyna marzyć o regularnej, scenicznej, przedewszystkiem o historycznej tragedyi polskiej. Uczy się do egzaminu dojrzałości, a przytem czyta bez miary i bez ładu, bez wyboru. Historyków i starych pisarzy polskich, estetyków niemieckich, Ojców Kościoła, Dantego, wszystko chce znać, ze wszystkiego wyciągnąć wniosek, jak kiedyś na tym świecie być może. Na uniwersytecie czasu i swobody więcej, więc więcej też, nierównie więcej tego czytania i uczenia się, więcej marzenia o poezyi i pisania jej. Przyszły historyk

nie domyśla się, że ma być historykiem: wertuje kroniki, bo mu one do przyszłych dramatów pomódz mogą. Pomysły roją się tłumnie coraz nowe; jeden poczęty spycha zaraz drugi i trzeci, a wszystkie domagają się wykonania, pilno, natarczywie, despotycznie. Wykonywają się też niektóre, razem, równocześnie. Dramata, powieści poetyczne, powieści z bohaterskim epickim zakrojem, przekłady z Eschyla i z Szekspira, z Anakreona i z Dawida. Drobnych wierszy coraz więcej.

Po pierwszych, dziecinnych wierszykach, jakież były dalsze z jego pierwszej młodości?

Oto naprzykład «Spowiedź», w której studencik zwierza się drzewom swojej rodzinnej wioski ze swoich nowych wrażeń i radości:

O drzewa wy moje, coście mnie słuchały,
Gdym śpiewał niebiosom dziecięcy i mały,

Słuchajcie mnie znowu, gdy w wonny wasz wieniec
Marzący, stęskniony przychodzę młodzieniec.

Nauczę was imion, co duszy mej drogie,
I skarby mych marzeń powierzę ubogie.

Więc naprzód wam powiem, wieść powiem wesela,
Żem pomiędzy ludźmi znalazł przyjaciela.

I w ciszy żyjemy, i serc naszych strzeżem,
By czystym być w domu, a w świecie rycerzem.

By godnym być ojców, co pod waszym cieniem
Usnęli z żelazną duszą i ramieniem

Innym razem, ale w czasie mało co późniejszym (1853), to już inne zwierzenie: nie przyjaźń, ale jakaś

chłopięca miłość odzywa się Na wiejską nutę, a wdzięcznie.

Oj, księżycu blady — lub ty, gwiazdko mała,
Żebyś ty z twej góry na ziemię spojrzała!

Za temi wodami, za temi lasami
Znam ja tam dziewicę z modremi oczami.

Jam oddalon górą, jam przegrodzon rzeką,
Aleś ty wysoko, więc widzisz daleko.

Aleś ty litośny, bo smutek masz w licu,
Więc mam zaufanie do ciebie, księżycu.

Poszukaj jej wszędzie, poszukaj skwapliwie,
Może w gaju będzie, a może na niwie.

Może będzie teraz w ogrodzie marzyła,
Lub do Matki Boskiej cicho się modliła;

Może już w tej chwili w komnacie uśpiona
Śpi, skrzydły anioła-stróża osłoniona.

Poszukaj jej wszędzie, a poznasz ją przecie,
Bo to najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

A kiedy ją spotkasz, to pojrzyj w oczęta,
Co tam myśli o mnie duszyczka jej święta.

Czy się na mą miłość dziecięcą nie gniewa,
Czy ona wesoła, czy ona szczęśliwa?

A kiedy się dowiesz, racz do mnie tu wrócić,
A cicho, by mojej dzieweczki nie zbudzić.

Ale ta wdzięczna świeżość młodzieńcza, prawie dziecinna, to tylko jeden ton jego uczuć. Są inne,

dziwniejsze, głębsze, dowodzące że on w swoich siedemnastu leciech już się wiele sam z sobą pasował, już nie jedną nieprawdę zwyciężył, nie jedną prawdę wyjaśnił sobie i poznał. Powiedział sobie, że «nie trzeba wierzyć», «zaprzestał chodzić do kościoła». Dumna praca wyniosła innych i zapewniła im sukces; trzeba spróbować tego samego środka. Zaczął więc czytać i czytać, aż się stał racyonalnym filozofem...

Dopiero gdy się dowiedział, że człowiek jest

> Do samowiedzy podniesionem błotem,

że

> W dziejach świata konieczność zasiada,
> A co przeciwne, musi schodzić z drogi,

wtedy oburzył się na te księgi i nauki. Coś było w duszy, co podniosło swoje veto przeciw takiemu rozwiązaniu tajemnic i dziejów świata. Już to byłoby dość dziwne, zważywszy, że poeta ma lat siedemnaście; ale jest coś dziwniejszego. Tak zbolałemu i niewiedzącemu co ma myśleć i komu wierzyć, zaczął inny głos prawić

> coś o trzecim świecie,
> O Chryście Panu i o Paraklecie.

To Mickiewicza messyanizm, to Krasińskiego Epoka Ducha Św. Ale i to nie trafiło mu do przekonania: to fałsz, dobrze osłoniony, ponętny, ale także fałsz! Żeby młodzieniec z jego pokolenia, i w wieku prawie jeszcze dziecinnym, osądził tak odrazu i pewno to, co starsi, co dojrzali, uważali za prawdy genialne, jeżeli nie za objawienie Boże, to znak, że ten chło-

piec myślał już bardzo głęboko, bardzo poważnie, bardzo rzetelnie.

Ale drobne wiersze nie wystarczają młodemu poecie. Snują się po głowie pomysły tem ponętniejsze, im większe, i chowają się na później: ale jeden zaczyna się wykonywać już teraz na ławkach siódmej klasy. Wybór przedmiotu i formy jest śmiały, a pojęcie przedmiotu znowu godne uwagi. Jakim sposobem uczeń, zajęty szkolną pracą, miał czas na czytanie starych kronikarzy? To tajemnica dziwnej czynności, i pracowitości, i zapału. Dość, że przyszły historyk wertował już i Piaseckiego, i Kobierzyckiego, i Jakóba Sobieskiego, i z nich odniósł silne wrażenie tragicznej katastrofy cecorskiej. Stary Hetman, od wszystkich współczesnych lepszy, przez wszystkich oskarżony naprzód, a potem opuszczony, wysłany na wojnę jak na rzeź, bez sił dostatecznych, a idący ze świadomością i postanowieniem, że położy głowę za bezpieczeństwo i cześć wszystkich, wydał mu się słusznie postacią jedną z najwznioślejszych w całych naszych dziejach. Stąd powstała «*Tajemnica śmierci hetmańskiej*». Powieść tylko, nie epopeja, ale powieść na duże rozmiary, a gdzieniegdzie z prawdziwie rycerskim, bohaterskim popędem i tonem. Jaka jest w całości? Niedokończona naprzód. Brak jej początku, i brak samej bitwy cecorskiej. Potem nierówna, nie bez ustępów słabych. Ale w lepszych niezwykła uczuciem i życiem, a w całości uderzająca pomysłem, tendencyą. Żółkiewski, przewidując nieuniknioną zgubę, wysłał z obozu swego synowca, Łukasza, po posiłki niby, na prawdę, żeby go ocalić. Łukasz musiał słuchać, i pojechał. Potem nastąpił bój i zgon Hetmana, w zna-

cznej części z winy Samuela Koreckiego, jego wroga, który go zdradził. Łukasz, choć nie winien, wyrzuca sobie swoją nieobecność w bitwie, jak wstyd i jak zdradę: Korecki, winny, ma gorsze zgryzoty. Oba chcą odpokutować, odpłacić, i oba, nie wiedząc o sobie, udają się do Stambułu, żeby choć głowę Hetmana wykupić, a rycerskiej służby nie godni, poświęcają się na służbę Boga i nieszczęśliwych w zakonie Trynitarzy. Walka czystego, rzetelnego ducha publicznego z prywatą, uczucie obowiązku, posunięte do najwyższego heroizmu, a wreszcie ekspiacya, skrucha i pokuta po złym czynie, a choćby tylko po niedostatecznej zasłudze, to jest treść tragiczna i treść moralna tego poematu, to pojęcie historycznego przedmiotu, pierwszy raz kiedy Szujski takiego przedmiotu dotykał. Pojęcie i tendencya, które w dalszem życiu będą się stale i zawsze powtarzały w dziełach historyka, polityka, i w dziełach poety także.

Z wykupioną relikwią wracają Trynitarze do Żółkwi i opowiadają hetmanowej, co zrobili. Z tego wyjęty jest ten ustęp, jeden z najlepszych, w którym Łukasz opowiada, jak na cecorskiem pobojowisku szukał zwłok Hetmana:

Słońce wschodziło nad pobojowiskiem,
Kiedym po polu tem straszliwem brodził;
Nogi mi drżały na tym gruncie śliskim,
Co moment trupam rannego znachodził,
Co wołał śmierci. Nie słyszałem krzyku...

Widziałem Strusia; oparty o konia
Konał — więc chciałem potrzymać mu skronia,
Alem odskoczył, bo on straszne słowo
Na mnie miał jeszcze, kończąc, na języku,

Straszliwem bielmem po mnie jeszcze toczył
I skonał, a twarz odemnie odwrócił.

Przy nim się we krwi Rogaliński broczył;
Chciałem mu pomódz, on mnie wzgardę rzucił
Na blade czoło, i popatrzył w słońce,
Aż mu źrenice stanęły patrzące,
I skonał także.

Bałaban legł dalej,
Ale już nieżyw. Ciury się patrzali
Na mnie z pogardą, odeszli z milczeniem,
Łup swój unosząc.

Ja snułem się cieniem
Dalej — a słońce kroków mych śledziło.
Wietrząc, czy śladów hetmana nie było
Gdzie; niespalony namiot widzę jeszcze,
Brewiarz Szymona w wietrze zaszeleszcze,
Schylam się — czytam — karta się otwarła
Na słowo: Judasz! Ziemia nie pożarła
Mnie jeszcze wtenczas.

Chryp mnie zbudza głuchy:
Siwek hetmana leżał wśród posuchy,
Z przebitą piersią: poznał mnie, gdy zoczył,
I jeszcze siłą ostatnią poskoczył
O kroków kilka, ślepiami strasznemi
Spytał: tyś został — nie zginął wraz z niemi?
I łeb odwrócił — zdechł nie patrząc na mnie.

A to nie dosyć jeszcze było dla mnie;
Ja żyłem jeszcze, żyłem tam od rana
Aż do wieczora na tem bojowisku,
Bom chciał odszukać — odszukać hetmana!

Leciałem naprzód, straszliwym rozumem
Myślałem, jak go znaleść między tłumem?

Rannych na chwilę przed zgonem pytałem:
Gdzie hetman? Wody im wprzódy nie dałem,
Aż powiedzieli. I tym trupim szlakiem,
Dopytywaniem i męczeństwem takiem
Zaszedłem w miejsce z wszystkich najstraszniejsze,
Najkrwawsze i od trupów najpełniejsze:
Tu musiał zginąć — rzekłem w głos chrypliwy.
Wieczór był — słońce ponad krwawe niwy
Już zachodziło i świeciło jeszcze
W krwi zsiadłej w zbrojach — a kruki złowieszcze
Skrzydła swe czarne w zachodzie kąpały,
Kiedym się puścił w mój przegląd zuchwały.

Musiałem cierpieć — ową chwilę ciemną,
Musiałem cierpieć — bo wtedy nade mną
Kruki i konie się ulitowały.

Kupa umarłych leżała dokoła
W małym wąwozie — z Tatarów posada
Była — a na nich tu, ówdzie, trup polski.
Jak orzeł, który na wilka przypada,
Z świecącym mieczem leżał tam młodzieniec
Na padłym Turku. Był to Odrzywolski!
Splątany z trupem, silnemi ramiony;
Zabił Turczyna, lecz w krzyż ugodzony
Zginął zdradziecko,

Hetman tu być musi —
Myślę raz drugi, — bo już ten młodzieniec
W jego pomocy Turczyna znać dusi.

W górze kilkaset trupów widać wieniec:
Turków i naszych.

. . . . . . . . . . , . . . . . .

Z boku leży
Człek w poszarpanej we walce odzieży,

W odzieży giermka; poznałem pacholę,
Młode hetmańskie — to pacholę przecie,
Co nic nad pana nie kochało w świecie,
I hetmanową znać podzielił dolę.
Zwaliłem trupa. Księżyca czerwona
Szyba mi świeci, koń zarży ponuro,
Ujrzałem białą sukienkę Szymona,
Krucyfiks w ręku; leżał rozciągniony,
Z czerwoną wielką w świętej piersi dziurą...
Odsuwam księdza — kadłub utrącony
Leżał tam w zbroi przy księdzu! O Chryste!
To był pan Hetman!

Łukasz dwie ogniste,
Straszne łzy ukrył pod czarną kapicą
I milczał długo, aż wreszcie rzekł dalej:

Zwołałem ludzi, aby ich zabrali,
I pod kościelną schowali kaplicą.
Samem się nie tknął trupa, Bóg mi świadkiem,
Ani umyślnie, ani też przypadkiem;
Nie dałem go też dotykać nikomu,
Lecz starą, wierną szlachtę z kresów sprosił,
Aby go niosła do Bożego domu,
Gdym sam niegodny był, abym go nosił.
Taj-ż w świat poszedłem — piechotą — po żebrze.
Sprzedałem, com miał w złocie, albo srebrze,
I u nabożnych Chrześcian wszędy byłem,
Na głowy wykup pieniędzy prosiłem;
A sam się żywił, jak mógł, drogę całą,
Co mnie ubóstwo na strawę podało.
Aż do Stambułu zaszedłem nareszcie,
By głowy ojca poszukać po mieście.

Z końcem gimnazyalnych nauk, ze swobodą uniwersytecką, coraz więcej poetycznych marzeń i pomysłów. Jedne nie wykonały się nigdy, inne, zaczęte,

pozostały fragmentami, jeszcze inne zmieniały w wykonaniu plan i kształty: ale było ich wiele. Wiele także i drobnych wierszy: tem więcej, że natchnienia i treści dostarczała mu miłość nowa, zrazu bardzo młodzieńcza i prawie dziecinna, ale z czasem im dalej, tem silniejsza i głębsza, aż się w końcu stała dozgonną miłością męża do żony.

Oto naprzykład jeden z tych ówczesnych wierszy:

### ZAKON MIŁOSNY.

Straciłem wolność na zawsze — jestem w zakonie miłości,
A ciężką mamy regułę — chociaż w niej niema przykrości.

Professyą złożyłem korny — po długim, oh! nowicyacie,
Przed moją księnią niebieską — w bieluchnej, powiewnej szacie.

Miasto świec świeciły gwiazdy — za całun służyły kwiaty,
Wonie przeczyste wzlatały — z róż kadzielnicy bogatej.

Dwie lipy były kościołem — za organ szumiały strumienie,
Słowik, gaików kapelmistrz — w jaśminach zawodził swe pienie.

Narcyzy stały dokoła — z liliami, obrzędu to świadki,
A dalej cały lud Boży — fiołki, i dzwonki, i bratki.

Pod lipą wielebna ksieni — w pontyfikalnym ubiorze,
Niebieską przepięta wstęgą — na główce bieluchne dwie róże.

W ręku swym księgę trzymała — w purpurę oprawną, maleńką,
Dzieje Romea i Julii — Szekspira kreślone ręką.

Więc się przybliżam klęczący — i rękę na książce tej kładę,
Przysięgam na słońce i księżyc — i gwiazdek niebieskich miriadę.

Lecz ona, jak Julia Kapulet: — Nie przysięgaj mi na księżyc, — rzecze —
Bo księżyc dziś świeci na niebie — a jutro z niebios uciecze.

Ani na słońce i gwiazdy — co w zamian dla ziemi tej świecą,
Bo ja chcę, by miłość bez zmiany — błyszczała mi twoją źrenicą.

A gdy chcę takiej pewności — przysięgę od ciebie mieć muszę.
Więc przysiąż, że kochać mnie będziesz — jak czystą i piękną masz
[duszę.

Przysiągłem, i odtąd statecznie — jestem w zakonie miłości,
A ciężką mamy regułę — chociaż w niej niema przykrości.

Dzień cały i noc ja przetrawiam — w cichej o niej medytacyi,
Jakich cnót jest i zalet prawdziwych — i jakiej piękności i gracyi.

Miłość moją z rozkoszą i dumą — powiadam niebiosom i ziemi,
I głoszę jej imię wśród kwiatów — i między gwiazdami jasnemi.

Mą tęsknotą i moją boleścią — mem natchnieniem i moim zachwytem
Dzielę się z każdą ptaszyną — z każdą chmurką pod niebios błękitem.

Pierwsza myśl ma zawsze o niej bywa — i ostatnia zawsze jej się
[tycze,
A gdy zamknę stęsknione powieki — na powiekach widzę jej oblicze.

I nad łożem mojem zakonniczem — kiedy leżę z dłońmi złożonemi,
Ona stoi modrą wstęgą spięta — jak anioł, przybiegły do ziemi.

Czasem smutna i z główką schyloną — z złożonemi boleśnie rączęty.
Czasem dumnie wzniesiona do góry — niby cyprys nad grobem wy-
[gięty.

Czasem pusta, jasna, uśmiechniona — niby Wenus, wyszła z mórz
[powicia,
I znów silna i duchem natchniona — na szermierkę w zawierusze
[życia.

Bywają dnie postu i smutku — i ćwiczeń bolesnych koleje,
Gdy luba skaprysi czasami — gdy miłość się z ócz jej nie śmieje.

Gdy się chmurzy nad jej piękną główką — albo świat nam zagrozi
[zazdrosny,
To ból ciężki powstaje w mej duszy — wtedy ciężki mój zakon
[miłosny.

Nadspodziewanie, bo nie było jej w młodzieńczych marzeniach i programach, powstała «Śmierć Proroka». Wywołała ją śmierć Mickiewicza, rozmyślanie o jego życiu. Mojżesz czuje się najwyższym wśród swego ludu, jest tak potężny, że Bóg jego jednego mógł, jego musiał wybrać na wodza Izraela, z nim jednym mógł rozmawiać w gorejącym krzaku i na szczycie Sinai. Mojżesza świadomość siebie staje się pychą. A tymczasem Izrael na puszczy omdlewa, umiera z pragnienia: szemrze i miota się na proroka, który go wywiódł z Egiptu, a obiecał prowadzić do Chanaan. Mojżesz chce cudu, chce Boga do cudu zmusić, narzucić mu swoją wolę gwałtem. Biblia mówi o trzykrotnem uderzeniu laską w skałę — daremnem. Młody poeta to zmienia, i Mojżesz nie laską uderza, ale głową zmarłej z pragnienia własnej córki. Woda nie wytrysła! Starżec stracił łaskę, stracił moc czynienia cudów, dlatego, że ją sobie i swojej woli przypisywał, dlatego, że na wolę i moc Bożą spuszczał się nie dosyć. W zgryzocie i upokorzeniu nie wie, co ma począć dalej; wtedy staje przed nim anioł, przywraca łaskę, przynosi przebaczenie, ale oznajmuje i wyrok. Za brak wiary i poddania się, za zuchwałą dumę, Mojżesz musi odnieść karę: nie wejdzie do Ziemi Obiecanej, tylko ją przed śmiercią ze szczytu góry Abarim zobaczy i pobłogosławi. Wprowadzi do niej lud ten Jozue, który nigdy na siebie nie patrzał,

o sobie nie myślał, wyrzekał się wszystkiego, w czem swoje szczęście widział.

Ten Mojżesz był wyobrażeniem Mickiewicza. Czem w życiu jednego było trzykrotne uderzenie w skałę, tem był drugiego Messyanizm: natarczywe domaganie się cudu, wiara w zależność cudu od ludzkiej woli, chęć zmuszenia Boga do cudu.

Dramat ten — misteryum, jak go autor nazwał — prozą pisany, nosi w języku i stylu wyraźne ślady wpływu Krasińskiego; w chwili stanowczej, kiedy Mojżesz głową córki uderza o skałę, ma tragiczność przesadną, zbyteczną, przez to niesmaczną i marną. Ale młodości przesady takie wybaczyć jest łatwo, a pewnej wielkości w dumie, później w żałości, nie można tej postaci Mojżesza zaprzeczyć. Jest ruch, jest życie i w tych scenach, kiedy lud szemrze i burzy się na proroka: i jest zwłaszcza dziwnem u człowieka tak młodego takie pojęcie i wytłomaczenie tej historycznej postaci, o której myślał.

Ostatni to, a zarazem jedyny cały i ogłoszony, z tych dramatów allegorycznych, o których marzył, których wiele pisał chłopięciem, a prawie dzieckiem. Coraz lepsza znajomość i coraz gorętsze podziwianie tragików greckich, rozmyślanie coraz głębsze i dojrzalsze nad Szekspirem, zwracają młodego poetę stanowczo w stronę dramatu regularnego, scenicznego. Pcha go w tę stronę sama potrzeba, sam wielki brak naszej poezyi. Wszakże ona do tragedyi dąży tylko, ale do niej jeszcze nie doszła: niema tej, na którą patrząc rzeklibyśmy: oto ta jest taka, jaka być powinna, jakiej od wieku chcemy i szukamy. A bez niej, czyż godność i chwała poezyi może być zupełną? To

pragnienie, w którym ambicya osobista była, ale była w drugim rzędzie dopiero, trzymana w karbach przez cel szlachetniejszy i wyższy, to prągnienie sprawiło, że poetyckie powołanie Szujskiego, które on miał wtedy za główne, ustaliło się w tym kierunku tworzenia dramatycznego. Tragedya sceniczna, tragedya historyczna, z wielkich zwrotów i wielkich postaci dziejowych, tragedya z walki politycznych myśli z politycznemi przywarami, oto co świeciło teraz przed nim, jako ideał, ku czemu rwał się z całym zapałem swojej natury namiętnej, z całą stanowczością i zaciętością swojej natury wytrwałej. Jadwiga, Zygmunt August, Jan Kazimierz, Sobieski, stali mu zawsze przed oczyma duszy — a po części wcielili się w dramata. Michał Wiśniowiecki był skończony — słaby zresztą — ale zaginął. Najdawniejszym z tych, które ocalały i do nas doszły, jest «Samuel Zborowski».

Samuel, wywołany z kraju za zabójstwo Wapowskiego, pojechał do Hermansztadu, do księcia Siedmiogrodzkiego. Naturalnie (jak we wszystkich o nim dramatach i powieściach), zakochał się w synowicy księcia, Gryzeldzie. Kiedy książę został królem Stefanem, Zborowscy, ufni w pomoc, jaką mu dawali przy elekcyi, sprowadzili brata w granice Rzeczypospolitej, i osadzili go tajemnie na zamku Czorsztyńskim, gdzie ma czekać spodziewanej łaski. Młody rycerz nudzi się i tęskni w tej bezczynności; rwie się do wojny i do sławy, a żyć musi, jak ptak zamknięty w klatce. Ale przez Czorsztyn drogą od Węgier ciągnie do Krakowa na dwór stryja księżniczka Gryzelda. Spotkanie; nie wyznanie wzajemnej miłości, ale dość wyraźne jej oznaki. Księżniczka bierze rycerza na swoją po-

rękę i każe mu jechać pośród swego orszaku. Ona wyprosi u króla tę łaskę, to przebaczenie, których bracia dotąd otrzymać nie mogli.

To prolog.

Akt pierwszy w Krakowie, na zamku. Trzech Zborowskich: Andrzej, Krzysztof i Jan, z nimi stronnik i przyjaciel Górka, czekają na króla, chcą zanieść prośbę za Samuelem. Wchodzi król, słucha: i odmawia. Spokojnie, łagodnie, ale stanowczo. Prawa łamać nie może; niech Samuel czeka, niech się gdzie w służbie zagranicznej odznaczy, wtedy może będzie czas mówić o łasce. Im bardziej gorzkie, im zuchwalsze przymówki krnąbrnych panów, tem mniej król ustąpić może; rozchodzą się w nieprzyjaźni, jeszcze nie otwartej, ale już zupełnej. Chwilę później głos dzwonów oznajmuje przyjazd księżniczki Gryzeldy, a król oświadcza kanclerzowi, że mu ją chce dać za żonę. Na to sprowadził ją do Krakowa, by pokazać na jego przykładzie, że zasługą tylko i dzielną służbą dochodzi się do wyniesienia, a zuchwalstwem nie wskóra się nic z królem, który nie chce być malowanym. Zamoyski zna księżniczkę, wielbi ją, ale błaga króla, aby od zamiaru odstąpił. Zazdrości, nienawiści, nie było-by końca; banitę Samuela, niegdyś przyjaciela, ugodził-by tem w samo serce. Zaczyna się walka miłości z heroiczną cnotą i wyrzeczeniem się siebie. Gryzelda, ufna w moc, jaką ma nad stryjem, który ją pieści i psuje, ledwie stanęła na zamku, stawia przed królem Samuela, którego potajemnie sprowadziła, i łudzi się, że prośba, że widok rycerza, zmiękczy serce króla. Daremnie; król łaski odmawia. Samuel odchodzi wrzący zemstą — księżniczce stryj zapowiada, że przyrzekł jej

rękę Zamoyskiemu. Ona odmawia z odwagą, z oburzeniem, i mdleje.

Ale z początkiem aktu drugiego już namyśliła się inaczej. Jeżeli żoną Zamoyskiego zostanie, to potrafi wstrzymać w jego ręku miecz kary, zawieszony nad głową Samuela. Poświęca się; oświadcza królowi, że gotowa jest zostać żoną kanclerza. W tym samym akcie — jedności czasu trzyma się wielbiciel Szekspira — odbywa się wesele. Na rynku krakowskim ciągną maszkary uroczystym pochodem, gawiedź patrzy ciekawie, żaki krzyczą wiwaty — Samuel, który siebie sądzi zdradzonym, a Gryzeldę nikczemnie do zamężcia zmuszoną, chodzi między tym tłumem, jak obłąkany, lub opętany. Tak samo chodzi za nim jego dawna kochanka, teraz zdradzona, Katarzyna Włodkowa. Ta teraz dopiero od kozaka, sługi Samuela, dowiedziała się, że Samuel kocha Gryzeldę; zatrzymuje go, pyta, od nieprzytomnego z rozpaczy słyszy słowa obelżywe — poprzysięga zemstę. Nowa zmiana dekoracyi: uczta na zamku. Podczas uczty Gryzelda zemdlała, ujrzała gdzieś w kącie Samuela. Samuel się ukrył, żeby na nią popatrzeć, żeby na swego niegdyś przyjaciela wylać cały war swojej rozpaczy, nienawiści i wzgardy. Zamoyski się tłómaczy, uniewinnia, zaklina Samuela, żeby zwyciężył w sobie zemstę, Rzeczypospolitej i własnej duszy nie gubił: na próżno. Akt kończy się, jak pierwszy, krótką rozmową braci Zborowskich, Krzysztofa i Andrzeja, zmową na króla, do której teraz przystępuje Samuel, i temi samemi słowami Krzysztofa: «a teraz mi drżyj królu Stefanie».

Usterki są zbyt widoczne. Gryzelda z miłości dla Samuela poświęca się, żeby go ocalić, a tymczasem

jej zamężcie nie ma z tem ocaleniem nic wspólnego i pomódz mu nie może. Nie jej poświęcenie, ale jedynie tylko ucieczka może uratować mu życie, bo jeżeli banita da się złapać, to straconym być musi, czy Gryzelda jest, czy nie jest żoną Zamoyskiego. Drugi błąd, a nie mniejszy, to ta Włodkowa, namiętna w miłości a nieubłagana w zemście, a tak dziwnie nieświadoma i nie strzegąca uczuć i kroków Samuela, że teraz dopiero przypadkiem od kozaka dowiaduje się o jego zdradzie. Poprzysięga zaś zemstę nie za zdradę, ale dopiero za słowną obelgę. Takich błędów, dowodzących wielkiej młodości a niedostatecznej wprawy i rozwagi autora, jest więcej: do ważniejszych należy może Zamoyskiego doskonała heroiczna cnota, tak wzniosła i tak jednostajna, że aż trochę nuży. Absolutny ideał dobrego obywatela wypadł cokolwiek blado. Pod względem moralnym udał się doskonale, dzięki zdrowym, szlachetnym pojęciom autora: ale dramatyczny nie jest, choć mógł być takim z tą naturą, jaką mu autor dał, i w tej sytuacyi, w jakiej go postawił.

Ale przy tych wszystkich błędach jest życie w niektórych scenach, jest już pewna znajomość i trafna charakterystyka niektórych historycznych postaci, a zwłaszcza historycznych sił i pierwiastków. Zborowscy i ich stronnicy mają hardość, zawziętość, ironię; w dalszych aktach zwłaszcza występują wyraźniej te zalety, ten dar przenikania i kreślenia historycznych stosunków i ludzi. Trzeci akt naprzykład zaczyna się sceną Proszowickiego sejmiku, na którym Zborowscy burzą szlachtę na króla, wystawiając wymownie swoje mniemane krzywdy. Sofistyczna sztuka Andrzeja, pro-

ste, szlachetne, namiętne i zrażone serce Samuela, łatwowierność opinii, przewrotna złość Krzysztofa, wszystko to żyje, rusza się, przemawia swoim właściwym językiem, staje przed oczyma w całej swej prawdzie — i w swojem świetle smutnem.

Po historyi romans, po polityce miłość. Włodkowa chce nakarmić swoją nienawiść i zemstę widokiem Gryzeldy, chce się dowiedzieć, jak ona Samuela kocha. Pod pozorem prośby o wstawienie się do kanclerza w jakiejś sprawie, dostaje się do kanclerzyny. Wprawne oko rywalki przejrzało od razu nawskróś serce młode i piękne, które się nawet swoich uczuć nie wypiera, tylko w ich imię właśnie błaga o litość nad kochanym, o zaniechanie zemsty. Napróżno: Włokowa urzędownie zawiadamia kanclerza, że banita kryje się w Krakowie i okolicy. Starosta krakowski teraz musi go ująć, jeżeli znajdzie; stracić, jeżeli ujmie.

Ale Samuel w tej chwili daleko, w rodzinnym Zborowie, ze szlachtą, ze swymi kozakami, układa wielki zamach: napad na Kraków, na kanclerza, na króla... Jego bracia, Krzysztof i Andrzej, śmieją się w duchu z awanturniczego planu, a chwytają się pewniejszego.

Najemny morderca skrytobójstwem pomści ich na królu, a tron wystawi na nową elekcyę. Samuel, już z powrotem w Krakowie, dowiedział się o zamierzonej zdradzie, odwrócił ją i udaremnił; ale, oburzony na braci i nie chcąc z nimi mieć nic wspólnego, przestrzeżony przytem listem Gryzeldy (z wiedzą Zamoyskiego), że jeżeli się nie usunie, to zginąć będzie musiał, postanawia ruszyć w świat za granicę.

Na pierwszym kroku tej drogi wstępuje do Ło-

bzowa i żegna się z Gryzeldą, na zawsze. Potem, w ciemną noc błądzi, wpada w zasadzkę, którą mu zgotowała Włodkowa, i przez nią wydany jest staro-ścińskiej straży.

Właściwa tragedya dziejowa występuje najwyraźniej (z natury rzeczy) w akcie ostatnim. Zamoyski chciałby się wahać, a nie może: obowiązek, wzgląd na przyszłość Rzeczypospolitej, każe mu podpisać wyrok na Samuela. Jan Zborowski — jeden uczciwy między braćmi Samuela — przychodzi prosić o łaskę; kanclerz tłómaczy dlaczego ułaskawić nie może. Tłomaczy to po raz drugi Samuelowi samemu w tej (historycznej) scenie w więzieniu, kiedy go prosił o odpuszczenie. Obadwa może za wiele się rozczulają, za wiele w końcu płaczą i kochają się; ale jednego żal za życiem i żal o śmierć i wyraża się pięknie, i mięknie, ustępuje dobrze: a drugiego słuszne racye mówią bardzo poważnym, przekonywającym głosem. Rzecz jest bardzo charakterystyczna i godna uwagi, że ten Zamoyski, w dwudziestu latach autora skreślony, tak pojmuje i sądzi stan Rzeczypospolitej, jak go pojmował i sądził autor «Historyi w dwunastu księgach», «Rozstrząsań», i wszystkich pism, odnoszących się do ówczesnych spraw i dziejów.

Więzienie na zamku.

SAMUEL *(sam, wstaje od klęcznika, gdzie się modlił).*

Skończyłem z Bogiem, teraz z światem trzeba.
Łaską dla świata spłacić łaskę nieba,
To ciężka sprawa. Żal mi tego świata,
Choć się nań gniewam. O! ginąć tak młodo
Na obrzydzenie, postrach pokoleniom,

Bez czci i sławy, ginąć z ręki kata,
W dzień, co się śmieje majową pogodą,
Gdy drzewa kwitną, łąki się zielenią,
Gdy mnie świt słońca powita jaskrawy
I spyta cicho: Coś zrobił dla sławy?
Ginąć tak młodo, kiedy silne ramię
Wre żądzą życia, gdy piersi tak ciasno,
Że jak ptak bije w zorzę słońca jasną,
Gdy serce ledwie jej biciem nie złamie...
Boję się śmierci... O gdyby na stepie
W rycerskim boju tak poledz młodemu...
I wiedzieć przecie, że w białym czerepie
Gniazdo uściele czajka, morskie ptaszę,
Że na kurhanie panu koszowemu
Zanuci piosnkę rycerska drużyna
I grób ogniskiem wesołem opasze...
I koni tentent z snu go budzi głuchy
Na znak, że jadą szlakami Samuchy.
Lecz tutaj, tutaj! rycerskiego syna
Tu nie stać na śmierć!

Patrzę po żywocie
Moim i pytam: Skąd mnie taki koniec?
Czyliżem życia nie zmarnił w tęsknocie?
Czyliżem bólów nie doświadczył krocie?
Czylim sam winien był?... Mnie czarny goniec
Piekła słał w życie na same bezdroża,
Że mi nie widna sprawiedliwość Boża.

Gdzie moi bracia, druhy, przyjaciele?...
Odbiegli wszycy. O! Panie! za wiele...
Oto już stoję u wieczności proga,
Ale się gniewam na ludzi i Boga...
Nie! nie na Boga! wielkie moje grzechy...
Bluźnię... o Panie! ja się śmierci boję,
A tyś opuścił tak dzieciątko twoje,
O! Panie Boże! pomocy! pociechy!

JAN ZAMOYSKI (*wchodzi*).

SAMUEL *(odwracając się z twarzą spłakaną).*

To ty? kanclerzu! ty! i w tej godzinie?
O ja myślałem, żeś ty szlachetniejszy
I większy, jak się pokazujesz ninie.

ZAMOYSKI.

Panie Samuelu! nie szydzić przyszedłem,
Bom twój współrodak, bom jest Chrześcianin,
I niegdyś uczczon przyjaciela mianem;
Ale ci pomódz, byś stanął przed Panem
Czysto i godnie, i nie jak poganin,
Co zgubne myśli z sobą w grobie chowa.
Przyszedłem tutaj starostą Krakowa,
By ci powiedzieć, że iście silniejszy
Król i ojczyzna i moc niebios Pana:
Że twa prawica upadła strzaskana,
Którąś się rzucił na świętość twej ziemi.
Ciężaru z piersi wyznanie umniejszy,
I łatwiej pójdziesz ścieżkami wiecznemi.

SAMUEL

Nie moc mnie twoja, lecz me grzechy wzięły;
Dusza mnie własna grzeszliwa pożyła.
Lecz idź kanclerzu — przede mną mogiła,
Nie chciej, by myśli światowe stanęły
Między mą duszą i moją mogiłą.
Pan mnie obdarzył łaski swojej siłą,
Skruchą i żalem. Nie burz mi więc ciała,
By mnie moc Pańska znów nie odbieżała.
Krew mam gorącą, i ku grzechom skłonny.
O! idź odemnie, hetmanie koronny.

ZAMOYSKI.

Nie mogę odejść wprzód, niźli się dowiem,
Z kimeś na króla twego się sprzysięgał,
Z kimeś knuł zamach, w którem król miał zdrowiem
I życiem swoje przypłacić starania

Koło naprawy pospolitej rzeczy;
Wyznaj Samuelu, miej duszę na pieczy.

SAMUEL.

Napróżno będziesz w głębie duszy sięgał
Włoskiemi twemi sztukami badania.
Moich nie zdradzę. Jam nie jest papistą!
Choćbyś się z mocą sprzymierzył ognistą
Samego czarta. Kanclerzu! kanclerzu!
O idź ode mnie!

ZAMOYSKI.

Tyś nie był w przymierzu
Z królobójcami.

SAMUEL.

Byłem z braćmi memi,
Rokosz podniosłem przeciw mojej ziemi;
Byłem banitą, a w kraju bawiłem,
Chciałem was zwalczyć, chciałem ziemi pyłem
Przysypać ciebie, bom cię nienawidził,
I mego czynu nie będę się wstydził.
No! tyś zwyciężył. Będziesz Polską rządził,
Będą cię Polski opowiadać dzieje,
A moje prochy wiatr niebios rozwieje,
I zginę marnie, zginę z ręki kata,
Bez łzy i cześci. Tak Pan Bóg rozsądził...

. . . . . . . . . . . . . . . . .

ZAMOYSKI.

Śmierć mi twą przebacz.

SAMUEL *(po namyśle)*.

Nie! nie! nie przebaczę!
Duchy mnie za to nie przeklną niebieskie,
Kiedy zamieszkam ich kraje królewskie,
Że nie przebaczę. Tyś mi stał na drodze,
Żem się zabłąkał i ohydził srodze,

Ze bez wawrzynu i odarty z cześci
Idę tam z piersią, skarbnicą boleści...
Ja nie przebaczę! bobym nie miał potem
Czem rzucić tobie na głowę wsławioną,
Gdybyś tam przyszedł i znienawidzoną,
Głowę, by anioł, olśnił światłem złotem,
A mnieby jeszcze było źle i w niebie.

ZAMOYSKI.

Na wszystkō święte ja zaklinam ciebie,
Przebacz Samuelu. Ja ciebie kochałem,
Jeno nas Pan Bóg wieczystym rozdziałem
Utrapił w życiu, i dwie bratnie dusze
Rozerwał w świata dzikiej zawierusze.
Ciebie przekleństwo domowe zgubiło,
A ja zostanę nad twoją mogiłą
Zwycięzcą ziemskim, lecz w drogach zbawienia
Potrzebującym twego przebaczenia
Mnieć było dano widzieć stan macierzy,
Mnie, maleńkiemu tego ludu słudze;
Ja byłem sławnym, ale gdy się zbudzę
Na głos anioła i duch mój pobieży
Gdzieś w nieśmiertelność, to mnie ciężko będzie,
Bo wielkim ziemi, bo bogatym duchem
Tak trudno w niebo przejść, jak owem uchem
Igły wielbłądom. Pan tak uczył rzesze.
Więc przebacz, bracie, ku zmarłych pociesze.

SAMUEL.

Nie... nie przebaczę. Patrzaj, ta ognista
Szyba mnie słońca raz ostatni wschodzi,
Wschodzi wesoła, ciepła i przeczysta,
A wieczór glinę mogiły zczerwieni.
Oba byliśmy silni, wielcy, młodzi,
Do dwóch słonecznych podobni promieni,
Co swem ramieniem ujmują miłośnie
Obszary Polski, tęskniące ku wiośnie.

Oba byliśmy żądni szczęścia, sławy;
Ty jesteś wielkim, a ja kark mój krwawy
Złożę na ziemi. Mnie ciężko umierać!
Nie chcę ja nieba, jeno chcę żywota!
Robak, co będzie mnie w grobie pożerać,
Nie wyżre mi tęsknoty, co się mota
O duszę żmiją, że ginę tak marnie!
Anioł, co z duszą mą do góry wzleci,
Myśli mej błędnej z ziemi nie zagarnie,
Ani mych marzeń, mych rycerskich dzieci.
Więc mnie ta światłość nawet wiekuista
Nie uszczęśliwi. Toć ci nie przebaczę.

W ciągu rozmowy dowiaduje się Zamoyski, że Samuel ocalił króla od zamachu braci. Chce cofnąć wyrok, przywróceniem mu życia i cześci: ale Samuel nie chce. Na wstyd i na występek braci woli nie patrzeć — woli umrzeć wielkim przykładem i nauką dla wszystkich, którzyby w Rzeczypospolitej wichrzyć chcieli, i śmiercią swoją do jej bezpieczeństwa i przyszłości usłużyć.

Dramat kończy się zupełnem pojednaniem obu przeciwników, pojednaniem, w tem samem pojęciu obowiązku i w jego miłości. Nie dzieli ich nawet miłość Gryzeldy, bo ta ze swoich walk i poświęceń umarła w dzień podpisania wyroku na Samuela. Umarła także z żalu i zgryzoty Włodkowa, w chwili, kiedy jej Samuel, idąc na śmierć, przebaczył.

Taki był pierwszy dramat Szujskiego. Pełen młodzieńczych wad: długości, uczuciowości zbytecznej, figur do akcyi niepotrzebnych, a nie czyniących za to zadosyć swojem własnem życiem lub wdziękiem (Kozak Wojtaszek); dramat nie wolny od takich błędów, które, jako autorowi wrodzone, zostaną w nim

(w różnych stopniach) na zawsze.· Ale dramat także nie bez poetycznego wdzięku w figurze głównej, nie bez życia, ruchu, trafnie pojętego i oddanego charakteru w pobocznych (Batory, bracia Zborowscy, szlachta na sejmiku). Ciekawy także i od późniejszych odmienny przez to, że materyał historyczny jest weń wprowadzony z umiarkowaniem i rozeznaniem: nie wszystko, co do owych czasów i wypadków należy, ale to tylko, co bezpośrednio i koniecznie należy do wybranej sprawy dramatycznej. Później, przy dokładniejszej i głębszej znajomości historyi, Szujski takiego wyboru nie robi, i kładzie w dramat wszystko prawie, co w rzeczywistości w danej sprawie było i działało; a ten zasób, ten niekiedy nadmiar historycznego materyału, sprawia, że przedmiot dramatyczny nie może być jasny, albo jest nie dość rozwinięty. Dlatego to mówiono, że historyk zabił w nim poetę (nie całkiem słusznie). Ale teraz on jeszcze historykiem nie jest, ani być nie myśli: patrzy na historyę, jak na kopalnię przedmiotów poetycznych, na fakta i ludzi ze stanowiska ich przydatności do poetycznego, dramatycznego przedstawienia. «Samuel Zborowski» wskazuje, jak talent Szujskiego byłby się dalej w tym kierunku mógł rozwijać, gdyby powołanie poetyczne nie było się splątało z innem, ważniejszem, praktycznie potrzebniejszem, gdyby temu nie było ustąpiło pierwszeństwa.

Wkrótce potem kończy się faktycznie — nie oficyalnie — uniwersyteckie życie Szujskiego, a w jego życiu wewnętrznem gotują się ważne zwroty i zmiany. Śmierć matki powoduje potrzebę wytchnienia, ochłonięcia z pierwszego smutku; stąd długie pobyty na

wsi u krewnych, a przerwę nie w nauce, ale w urzędowych naukach, w wykładach. Boleść — pierwsza w życiu tak prawdziwa i wielka — sprowadza głębokie rozmyślanie, i surowy (zbyt surowy) sąd o sobie samym: sprowadza także (nie na zawsze jeszcze) popędowy, gorący powrót do wiary. Ten nie trwa, cofa się jeszcze; jeszcze raz wraca dawny bunt, dawne uczucie, że jakaś nowa nauka jest potrzebna, dawne marzenie, że on powołany jest ze swymi przyjaciołmi do określenia i ustalenia tej nauki. Messyanizm Mickiewicza w różnych kombinacyach i odmianach wydaje mu się tą nowością. Ale w tej chwiejności jego pojęć, w tym odmęcie uczuć różnych a namiętnych, jest już stała i niewzruszona dążność do zjednoczenia się z Bogiem, jest gorące żarliwe pragnienie tego zjednoczenia, i przekonanie, że w niem tylko znajdzie tę prawdę, której szuka; jest rozmyślnie i z przekonania poddanie swojej woli pod wolę Bożą — czyli, jest miłość wielka, rzetelna, choć wiara wiotka (a jak on czasem myśli — żadna). Wraca i ona po paru latach tej walki; objawia się skruchą, instynktowym popędem, który młodzieńca pcha do konfessyonału — a zostaje już na zawsze. Pojęcie życia, pojęcie obowiązku i służby, już się odtąd nie chwieje i nie zmienia. Ostateczna dojrzałość umysłu, sąd o rzeczach i wypadkach, potrzebuje jeszcze i czasu, i doświadczeń, i cierpień nowych; ale treść moralna człowieka, kierunek i charakter jego dalszego życia, są postanowione i ustalone na zawsze.

Wzrasta także, dojrzewa, inne uczucie, które w tem życiu miało być stanowczem: zamiar ożenienia się, jeżeli Bóg poszczęści, a wzajemność się znaj-

dzie, w każdym razie zamiar starania się o żonę. Zamiar uwieńczony zrazu warunkowem, później stanowczem zezwoleniem rodziców, a wskutek tego dla przyszłego małżonka konieczność zapewnienia sobie stałej posady i sposobienia się do egzaminów nauczycielskich (do których nigdy nie przyszło). Wśród tych przejść i zmian, czytanie i pisanie nie mniej, owszem, więcej, niż przedtem; czytanie historyków i filozofów głównie, pisanie głównie poezyi w najrozmaitszych rodzajach, a przedewszystkiem w dramatycznym, Rzeczy własne i przekłady. I wreszcie od roku 1857 i 58 zaczynają ukazywać się w pismach peryodycznych Szujskiego wiersze, zrazu nieśmiało, nieznacznie, im dalej, tem częściej i liczniej.

Są rzeczy bardzo ładne między temi nieznanemi, zapomnianemi wierszami. Z miłosnych naprzykład «Urojony Rywal», którego poeta chciałby widzieć razem bohaterem, geniuszem, świętym, ideałem wszystkich doskonałości, bo tylko taki wart być przez nią kochanym, takiemu on gotówby jej ustąpić. Albo to «Westchnienie» żalu i upokorzenia, że nie jest rycerzem, że w ręku ma pióro, nie szablę: z nią w ręku śmielej prosiłby o rękę dziewczyny, i czułby się godniejszym jej serca. Czasem droczy się już z narzeczoną, czasem z nią marzy i gwarzy o wspólnej przyszłości: on tęskny, melancholiczny, skłonny do pessymizmu, ona pogodna, odważna i ufna.

WIOSENNA ROZMOWA.

ON.

**Możem smutny, że wiosna przeminie,**
**Że przekwitną wonne róż świątynie**

I narcyzów biały liść opadnie,
Możem smutny, że bzowe kaskady
Już nie spłyną mi do twarzy bladej,
A z narcyzem i bzami tak ładnie.

ONA.

O nie, o nie! Nie stąd twoje smutki:
Będą lilie, będą niezabudki,
Miast narcyza, goździk purpurowy;
A gdy zwiędną różowe altany,
To omamień kwiat pęknie kochany,
Jaśmin wonią otoczy nam głowy.

ON.

A gdy przyjdzie chłodny wiatr jesieni,
Gdy liść drzewa się zżółci, zrumieni,
Suchotnicy ostatnim rumieńcem,
Gdy mgły zwisną przed słońca źrenicą,
A ty będziesz bolesną dziewicą,
A ja będę bez marzeń młodzieńcem?

ONA.

Wtedy będziem siedzieć w cichej chacie,
I ustawiać sobie grat przy gracie,
I z ogrodu znosić plon obfity:
Wonne jabłka i słodziutkie grusze,
I w sen huśtać będą męską duszę
Kochające ramiona kobiety.

ON.

A gdy zima na polu przypadnie,
I świat młody tchem swym zwarzy zdradnie,
Że i widać nie będzie ogrodu;
Gdy śnieg kwiaty zmrozi i poprószy,
Gdy już nigdy nie wróci do duszy
Ptak ów rajski, co w niej lśnił za młodu?

ONA.

To wieczorem — zimowym wieczorem,
O tych czasach długim rozhoworem
Zawiedziemy przy ciepłym kominie;
I będziemy szczęśliwi nadzieją,
Że nam wiatry nic już nie rozwieją,
Że nam więcej nic już nie przeminie.

Innym razem tłómaczy jej, dlaczego w samem szczęściu musi im być smutno, dlaczego nie mogą radować się tak, jak inni młodzi na świecie; albo w «Zimowej Głuszy», gdy cicho płatami śnieg pada, «Świąteczną Godziną», gdy sam siedzi w swoim pokoju i starą kronikę otwiera, stają przed nim i otaczają go tłumnie dawne postacie, «biskupy poważne i dygnitarze»,

I smutno chylą się ku mnie,
Cichemi pytając słowy:
Co z wami, ah, z wami się stało?

Z tych opylonych kart starej kroniki «wychodziły widzenia różne: widzenie Kingi, naprzykład, jak przed Tatarami z ludem ucieka, a gdy rzuci za sobą wstążkę, to wstążka zmienia się w rzekę, i Dunajec wstrzymuje goniących; gdy rzuci koronę, to z ziemi podniosą się góry, i Święta z ludem schroni się w Pieninach; sądecka legenda ładna, zamieniona w balladę. Albo znowu: król Łokietek słucha smutno wróżby, że zgubiony w Wiśle «Pierścień» jego córki nie rychło, o, nie rychło się znajdzie. «Król Chrobry» z drużyną rycerzy śpi gdzieś w Tatrach i czeka na dzień, który go ma zbudzić. A każda legenda, każde takie widzenie ma swoją myśl i treść głębszą, swoją naukę

i przystosowanie. O, bo sztuka nie dla sztuki, widzenie nie dla wrażenia, nie dla pragnienia: dla nauki, dla woli, dla siły, myśli młody poeta, i tych od siebie żąda, tych dla drugich pragnie, do tych chce siebie i drugich wćwiczyć, wprawić, przyuczyć. Cześć i żądza woli, hartu, charakteru, to jego górujące uczucie i jego znamienna cecha, to znak, po którym się jego dążenie, działanie i życie od wielu poprzednich i współczesnych odróżnia, odznacza.

Ciekawa pod tym względem — nie bez śmiałości i dumy — jest ta «Prometejska modlitwa», w której on, rozmiłowany poetycznie i w wielkim Eschylu i wielkim, od bogów prześladowanym, Tytanie, o jedną cnotę prosi, jedną boginię chce wielbić — siłę.

Ze wszystkich bogiń Olimpu szczytu,
Jedną wybieram sobie!
Alke potężna, boginio siły,
Nie z mgły niebieskiej, ale z granitu.
Chcę żyć i umrzeć przy tobie.

Gdy gwałt i przemoc na mnie się zwalą,
Gdy Kronion z niebios gniewem swym grzmota,
Ty mnie ochraniaj rycerską stalą,
Bądź towarzyszką mego żywota.
Gdy Prometeja w twarde kują pęta,
Nie daj mi jęku wydrzeć z piersi hardej,
Ale stać niemy z spojrzeniem pogardy,
Alke, ty święta!

Kiedy sam będę, Prometeusz skuty
U nieczułego nędznej ziemi głazu,
A Okeanid chór, łzami zasnuty,
Przyjdzie bolesną gromadą,
Jak jaskółek stado,
Oblatać granit Kaukazu;

Kiedy maleńcy Kroniona poddani
Radzić mi będą pokorę i skruchę,
Kiedy ziejąca paszczęka otchłani
Otworzy ku mnie tonie swoje głuche:
Alke! Bądź ze mną!
Alke, w poważnej, długiej, czarnej szacie,
Nie daj mi zadrżeć w bólu majestacie
Trwogą daremną!

Gdy mi przed oczy postawią konieczność,
Niech im kłam zada mego łona wieczność;
Kiedy mi bogów stawić będą moce,
Nieubłaganość wielkiego Kroniona,
Niechaj ma wola wielkość ich druzgoce,
Jak on niezgięta, silna, nieskończona.
Potrzebie niech ugną się mali,
Niech karły do nóg się jej walą.
Nie mogąc płynąć za falą,
Ja niechaj płynę wbrew fali:
A nie pohańbię mych ojców i braci
W pokornej i skromnej postaci.

Nie... wyprężony w męczeńskiej postawie,
Rozkrzyżowany w dumnej mojej męce,
Gdy o granity białą pierś pokrwawię,
A w walce z sępem potargam me ręce,
Niech nie pomyślę o rozkuciu przecie,
Ani o wonnym w Olimpie nektarze;
Niech nie pomyślę, jak niebios mocarze
Długim szeregiem szliby w powitanie,
By mi osłodzić tryumf ich na świecie:
Niech raczej ginę — ginę, jak Tytanie!

Bo oto czuję, że mi kiedyś może
Równy mnie Tytan pomoc z góry niesie,
Że mu na piersiach hardy kark położę,
W przyszłości czuję ciebie, Heraklesie!

O tem pragnieniu woli, o tem dążeniu stanowczem do jedności w życiu, do poznania celu życia i służenia temu celowi, w uznaniu i przekonaniu, że przez Boga tylko i pod Bogiem człowiek służyć mu może rzetelnie i skutecznie, świadczą najlepiej może, najwyraźniej, «Poważne chwile». Zbiór to wierszy (wydany w r. 1860), w których autor złożył niejako spowiedź powszechną swojej młodości, swoje «duszy dzieje», jak się sam we wstępie wyraża. Wahał się długo, czy ma je ogłosić, odsłonić na widok publiczny tajniki swojej myśli i sumienia. Ale uznał, że mogą przydać się drugim; że manowce, po których sam się błąkał, staną może innemu na przestrogę i nauczą go, gdzie droga prosta — i wydał.

Rzecz to za długa, iżby można dać ją poznać należycie; może za ciężka na to, by mogła kiedy mieć wielkie i powszechne powodzenie. «Samotne z Bogiem sumienia rozmowy», to przedmiot do medytacyi pobożnej, nie do poezyi: powie nie jeden, i zajrzeć do nich nie zechce. Jest to obraz walk, jakie chłopiec młody stacza z swoją własną myślą, śmiałej ufności, jaką pokłada we własnym swym rozumie, gorzkiej żałości i czczości, jakiej doznał, gdy się zawiódł, rozpaczy, w jaką wpadał, gdy nie mógł dojść, czem jest i na co żyje. A wreszcie zrozumienie tajemnicy życia, rozwiązanie zagadki, zgodzenie się dobrowolne, świadome, zupełne, na to życie, jakie Bóg człowiekowi dał — to są «Poważne chwile», to Szujskiego «duszy dzieje»; i tak je też opisał.

Zrazu to chłopiec, w którym myśl się budzi, a obudzona, pragnie mądrości, prawdy: chłopiec w walce z matką, która doświadczeniem, błaganiem,

modlitwą, przestrzega przed mądrością niebezpieczną, niecnotliwą — napróżno! Pokusa zbyt ponętna, złudzenie i pragnienie młodości zbyt potężne: syn nie chce być «potulnym chłopczyną» i dać się wodzić na pasku, chce latać własnymi skrzydły, jak orzeł, i śmiało samemu słońcu patrzeć w oko.

Więc przedsięwziąłem wszystko badać skrzętnie.

Szukał Boga w dziejach przeszłych i w otaczającym świecie, szukał go wszędzie — i wszędzie znalazł odpowiedź, że go niema.

Wtedy poznał, że jest, poznał po próżni i czczości swego serca, po osłabieniu swojej myśli, po małości i niedołężności swojej siły.

Szedł na mnie, i bój wielki wszczął się między nami,
Szedł jak wichr, i poruszył duszy tajnikami...
Zadrżałem: alem oczy przesłonił rękami.

Widział, ale nie chciał widzieć; poznał, ale nie chciał uznać:

Kto raz Cię obrażał, o Panie na niebie,
Ten zaraz i łatwo nie wróci do Ciebie,
Lecz długo, boleśnie, w ciemności obłędzie,
Szukać Cię będzie.

Będzie dążył, będzie próbował znaleźć, a nie zdoła; będzie chciał wierzyć w życie, a śmierć wyda mu się tylko marnym końcem marnego bytu; będzie pragnął uwierzyć w miłość i opatrzność, a w duszy osiędzie mu tylko rozpacz, wiara w nicość lub w boleść bez końca.

Następuje zwrot. Zmiłowanie przyszło pod surową postacią nieszczęścia. Śmierć matki wstrząsła

tę duszę do samego dna, prawda cierpienia wprowadziła go na drogę, w której się prawda życia znalazła.

Kiedy drży człowiek pośród ziemskiej drogi,
To mu ty zsyłasz Anioła przestrogi.
Kiedy słabnieje, Ty, jak rosę drzewu,
Grom polom, zsyłasz mu Anioła gniewu.
A gdy ócz jego nie pomogą żary,
To ślesz na ziemię Cherubina kary.

I Anioł kary na grzeszną skroń zlata,
Smutny i blady goniec Niebios świata,
A co najdroższem było dla niej z ziemi,
Bierze i niesie skrzydłami srebrnemi:
Aby, gdy inne mu gwiazdy nie świecą,
Najdroższa dusza opieki źrenicą
Świeciła z góry i, gdzie gwiazd korona,
Opadłe winą podniosła ramiona.

Oto, doznając takiej Twej opieki,
Panie! Ja Ciebie wielbić chcę przez wieki...

Idzie potem kilka wierszy, poświęconych «Jej cieniom»; piękny, rzadki w poezyi świata wyraz dziecinnej po rodzicach żałości:

4.

Ołtarze pańskie święte, sklepienia kościołów,
Postacie świętych, kształty bieluchne Aniołów,
Lampy, miłości Pańskiej symbolem jarzące
I wy znaki pogrzebne, świece gorejące,
Kiry i białe krzyże, dzwony, co w cmentarną
Ciszę ronicie pieśnią boleści ofiarną:
Kocham was, choć niegodny, boście ciąg żywota
Jej otaczały, jako nić różańca złota,
I od kolebki dziecka, aż do trumny wieka
Święta waszych tajemnic strzegła ją opieka.

Zrodziła się i zmarła w waszej świętej stróży;
Przy chrzcielnicy ją wzięto między namaszczone
Niewiasty Pana — pośród świata burzy
Uciekała pod Pańskie sklepienia święcone,
A modlitewnie zgiętej nieraz wielcy w Bogu
Podawali myśl dobrą u kościoła progu,
I Anieli z ołtarza łzy jej i boleści
Nieśli, w górę wzlatując z słowem dobrej wieści,
Aż w świętej służbie Pańskiej, modląc się przed chwilą,
Uleciała ku niebu lekkością motylą.

W tobie żyła i zmarła, mój święty kościele,
W tobie spoczywać będzie, jako bujne ziele,
Jak kłos pełen nadziei, kłos pełen jędrności,
Bogaty w plon obfity na dzień Wszechmiłości!...

5.[1])

Rodzinne pola i ojczyste lasy
Zazielenione, strojne w tyle krasy,
Rzewnemi po was spoglądam oczyma,
Ona was znała — jej już w świecie niema!

Ona was znała i oko jej święte
Patrzało na was, jasne, uśmiechnięte,
Pierś macierzyńską wasza woń krzepiła,
Zdrową i szczęsną wpośrodku was była.

W kościołku wiejskim tutaj uklękniona,
Poważna, cicha — swej duszy ramiona
Wznosiła k'niebu — a k'ziemi spuszczała,
Gdzie głowa syna pacholęcia lśniała.

W cichej komnacie — tutaj, wśród rodziny,
Głos jej miłosny drżał z duszy głębiny,

---

[1]) Po śmierci matki wyjechał Szujski do rodziny, do Zbyszyc, w Sądeckiem. Wiersz ten widocznie, a prawdopodobnie wszystkie, poświęcone «Jej pamięci», tam były pisane.

A serce wielkie, pobożne i święte,
Wznosiło nad nią skrzydła rozciągnięte.

I dziś tu wszystko jak było przed laty,
Lecz smutniej śpiewa wieszcz niebios skrzydlaty,
Lecz smutniej dzwonek jęk po jęku roni,
Kiedy w pól ciszę Anioł Pański dzwoni.

I kiedy ziemię rolnik pługiem orze,
A ziemia wnętrze miłosne rozkuwa,
To sobie myślę: w tej ziemi jej łoże,
Tam ona cicho po trudach spoczywa.

I kiedy rankiem skowronek podlata,
Lub gdy wieczorem w lasku słowik pieje,
To mnie się zdaje, że z tamtego świata
Ona żywota opowiada dzieje.

Oh! bo zgon z światem zmarłej nie rozdzielił,
Ani śmierć węzłów serca nie przecięła,
Bo ją Pan tylko w duchu wyanielił,
By wszystkich razem miłością objęła.

6.

Dziwną miłość w sercu mojem czuję,
Odkąd sierotą po ziemi wędruję.
Odkąd mi serce miłosne ubyło;
Nad każdym domem i każdą mogiłą
Spokoju słowo mówię chrześcijańskie,
Pielgrzymem idę w świat — a w imię Pańskie.

I kędy dobrzy witają mię z proga,
Błogosławieństwu ich polecam Boga;
I kędy smutni zajdą na me drogi,
Życzę spokoju i pociechy błogiej;
A kędy grzesznych napotkam na ziemi,
Życzę, by Pan się zmiłował nad nimi.

I przez łzę cierpień, jak przez niebios tęczę,
Świat mi się w barwy ubiera młodzieńcze
I zdaje mi się, żem w bólów mych jęku
Dosłyszał lutni Pana mego dźwięku;
Słyszał w samotnej serca mego ciszy,
Co nigdy żaden szczęśliwy nie słyszy.

I już mnie głosy niesforne nie rażą,
Ani z zbestwioną śmiertelnicy twarzą,
A com czuł kiedy w marze lub natchnieniu,
To mi się w wiarę wzmocniło w cierpieniu,
Jakby na serca bolesnego skali
Anieli wiarę krwią mą namazali.

Zwątpienia potwór serca mi nie ruszy
Bom pod opieką jej anielskiej duszy,
Bo gdym jej tęskny szukał koło siebie,
Musiałem wzrok mój potoczyć po niebie,
I gwiazd się pytać, gdzie mi się podziała
Anielska dusza ta, co mnie kochała.

I w bólach moich nie rzucam się więcej,
Lecz lecę ku nim w weselny, dziecięcy
Krzyk — i o przyszłość nie trapię już głowy,
Bo mi powiada blask świtu różowy,
Bo mi powiada blask wieczoru cichy,
Bo ptaków pienia i kwiatów kielichy
Wołają w zgodne wspaniałe wołanie:
O zmartwychwstanie ona! zmartwychwstanie!

7.

O zmarła moja, jeżeli grzeszę,
To ty uciekasz zdala przede mną
W błogosławionych kryjesz się rzeszę,
A mnie tu smutno i ciemno!

Ale gdy lepsza myśl mnie obudzi,
Do dobrych czynów dłoń się otwarła,

To pośród świata, to pośród ludzi,
Widzę, jak do mnie śmieje się zmarła.

I w każdej czystej, pobożnej chwili,
Toś ty tak blizko, tak blizko przy mnie,
Że się ma postać ku tobie chyli,
A w powitalnym pieśń kwili hymnie.

Że się dłoń moja wyciąga k'tobie,
Że miejsce dla cię wygodne robię,
Bo wiem, że wtedy idziesz wraz ze mną
I już sierocie wtedy nie ciemno.

8.

Panie! dzięk Tobie niesiem, że nikt z tego żniwa
Nie ginie i w nicości duszy nie podziewa,
Ale miłosną ręką, jak pasterz troskliwy,
Każdą duszę masz w pieczy Twojej miłościwej.

Panie! dzięk tobie niesiem, że tracąc miłosne
Dusze nasze, patrzymy w wieczną niebios wiosnę,
I każda jasna gwiazda, każdy kwiat nam wszędzie
Powiada wonią swoją, że im dobrze będzie.

I że ramiona nasze, choć człek karłowaty,
Dostają aż w nieznane, archanielskie światy,
A łza, co tutaj pada, jak deszcz dobroczynny,
Gasi cierpienia tego, co tam jeszcze winny.

Dzięk Tobie, że tam z góry w Twe odziane blaski
Schodzą k'nam drogie dusze Aniołami łaski;
Żeś trzy światy: tryumfu, walki i żałości —
Powiązał jednym, świętym pierścieniem miłości.

Po takiem zrozumieniu dopiero przychodzi prośba, a pod formą prośby postanowienie, ślub, złożony na dalsze życie:

Nie chciej, o Panie, bym lampą kamienną
Lśnił Twoich myśli oliwą promienną,
A sam był ciemny, słabiuchny i kruchy,
Jak grzeszne duchy.

Nie chciej, o Panie, bym patrzał na Ciebie,
Jak z Aniołami tryumfujesz w niebie,
A sam nie ruszył na tryumfu drogi
Przykutej nogi.

Nie chciej, o Panie, bym okiem natchnienia
Przebijał tajnie Twojego istnienia,
A potem, wsparty na lutni rozumnej,
Spoczywał dumny.

Nie chciej, o Panie, bym u Majestatu
Wyroki Twoje czytał temu światu,
A dumnem okiem patrząc w ich konieczność,
Stracił swą wieczność.

Nie chciej, o Panie! bym się z Tobą mierzył,
Ufał w natchnienie — z wiedzy ducha wierzył,
Bym na mych skrzydłach wzniesiony wysoko
Patrzał w Twe oko.

Bo lampy onej los mnie spotka lichy,
Straciwszy światło, straci powód pychy,
A bezczynnemu wyznawcy Twych czynów
Dasz garść wawrzynów.

Lecz z łaski swojej nieśmiertelnych stoków
Z myślą proroków daj życie proroków,
Lecz daj mi chwałę, miast liścia wawrzynu,
Dobrego czynu.

Lecz daj mi lichych na duchu prostotę
I dzieci małych daj mi usta złote,
Aby me usta, co wieki sądziły,
Pacierz mówiły.

Lecz daj mnie wielkość utopić w miłości,
Lecz daj natchnieniu roztajać w świeżości,
Niechaj me światło nad głową po zgonie
Cnotą mi płonie.

A potem dopiero, w kilku wierszach ostatnich, wyznanie, jak on pojmuje «Treść Dziejów», jak tajemnicę śmierci, jak tajemnicę życia i jego cel.

Oto, co podług niego jest treścią dziejów, i co ma być ich końcem:

TREŚĆ DZIEJÓW.

Kiedy Bóg ludzi zdumiałych rozdzielił,
Gdy duch ich strzaskał piorunem swej kary,
Wtedy z łask źródła jeszcze im udzielił:
Zapał miast cnoty — natchnienie miast wiary.

Wtedy im jeszcze ścieżkę pozostawił,
By dojść do Niego — bólu i tęsknicy,
I rozproszonym jeszcze błogosławił
Z łzą wilgłą w oku i łaską w źrenicy.

Więc choć łask jego zapomną na ziemi,
Choć rzucą błotem na najświętszą rękę,
To duch ich wewnątrz dźwiękami srebrnemi
Roni w przestwory tęsknoty piosenkę.

Aż zsieroceni, w nędzy ducha nagiej
Powrócą kiedyś marnotrawne syny;
Wtedy On, pełen bolesnej powagi,
Pójdzie powitać pobite drużyny.

I będą prosić Wszech Pana w pokorze:
«Daj nam ostatnim być przy Twoim progu,
Ale przy Tobie, o Panie, o Boże,
Ale przy Ojcu — ach! ale przy Bogu!

A cóż będzie tajemnicą życia, jego prawem jego wartością, zasługą i skutkiem?

Dwojakim ruchem Ty kazałeś, Panie,
Dążyć ku Tobie, dążyć w zmartwychwstanie,
Z świata — w świat duszy, i w świat — z duszy świata.

Świat nam opuścić kazałeś zwodniczy
I duszę w piersi zamykać sklepienie,
Z tobą zamieszkać w ciszy tajemniczej,
Jak kapłanowi, co ofiarę pali,
By twe wyroki w serca słyszeć drżeniu,
Znicestwieć w Tobie, i w tem znicestwieniu
Być twą prawicą ukowaną z stali.

A potem nakształt rosy różnowzorej
Na łan Twej siejby padać rozwinięty.
Jak kwiecie pola, jak owoc jabłoni,
Rosnąć nie sobie, swojej nie czuć woni,
Rozwielokrotnić się w drobnej usłudze,
W tysiącznych trudach i w ciągłem czuwaniu
Swe zrobić cudzem, swojem zrobić cudze,
I wyznać Ciebie w swem własnem zaprzaniu.
Znicestwieć znowu — ale z znicestwienia
Każdego czasu wstać w pełni istnienia,
Każdego czasu, gdy wołasz z niebiosów,
Stanąć pokorny,
Z jednaką twarzą czekać Twoich ciosów,
I gdybyś piekła sul na piersi żary,
Nie pytać nieba o słuszność wyroku,
Ale sumienia o przyczynę kary;
Konając, ojca widzieć w Twojem oku,
Konając, nucić hymn Twej świętej wiary.
Tym wiecznym, świętym, nieodmiennym ruchem,
Panie, Tyś kazał iść za swoim duchem,
I dolę człeka słabiuchną i lichą
Z anielskiej doli powiązał łańcuchem.

Oto do czego doszedł po długiem bolesnem szukaniu i błądzeniu. To konkluzya, która mu wystarczy, prawda, której trzymać się będzie do śmierci, drogoskaz czy program na cały dalszy bieg życia. Jeden powie może, że to poezya ciężka, inny, że pojęcie życia fałszywe, bo religijne; ale kto rzetelnie z dobrą

wiarą zechce przeglądać te dzieje jego duszy, ten będzie musiał zdumieć się i zbudować na widok tego, co ten młodzieniec sam z sobą przemyślał i przewalczył, na widok tej szczerości uczucia i stałości woli, która prawdy i dobra pożąda namiętnie, a poznawszy, przyjmuje odważnie, poświęca się na jej służbę bez warunków, zastrzeżeń i ograniczeń; na widok tego życia, które do poznanej prawdy, do przyjętego zobowiązania i ślubu przypada zupełnie, doskonale, bez jednej chwili wahania czy zaniedbania, roztargnienia czy zniechęcenia. To musi przyznać nawet ten, komu Szujskiego pojęcie wydałoby się fałszywem. A kto je ma za prawdziwe i dobre, co taki pomyśli o szlachetności wzniosłej, która jak piękny kwiat ukazuje się w całej swojej pełni, w chwili, kiedy ma się przemienić w coś piękniejszego jeszcze, w cnotę dojrzałego męża, zawsze sobie równą, zawsze sobie wierną, nigdy niczem nie zaprzeczoną ani umniejszoną?

Z tych prawd, które on teraz bierze do serca i chowa jak wskazówki swego obowiązku, niektóre rozpoznać łatwo jako nie nowe; w najpóźniejszym wierszu Krasińskiego, w tym, który jest ostatniem streszczeniem jego nauk, są maksymy podobne do tych prawideł życia, które teraz stawia sobie Szujski. Ale jest i krok dalej, poza i ponad stanowisko poprzednich poetów, krok, który nie znaczy i nie dowodzi, jakoby on miał być potężniejszy, większy od nich, tylko, że na podstawie prawd, jakie oni określili, następca o całą tę wysokość już za ich sprawą prawdy zupełnej, moralnej i dziejowej bliższy, mógł z konkluzyi tamtych niejedno ująć, lub dodać, lub

sprostować, prawdę tę jaśniej zobaczyć i ująć. Taką oznaką mianowicie jest w tym ostatnim wierszu przestroga czy przykaz:

«Nie pytać nieba o słuszność wyroku,
Ale sumienia o przyczynę kary».

Jak często, jak raczej zawsze, w późniejszych dziełach Szujskiego widać, że główną pracą jego myśli, zadaniem jego życia, jest: szukać tej przyczyny kary, o nią pytać, ją znaleźć i zrozumieć. Tego on chce, to robi we wszystkich swoich pismach historycznych i politycznych, w swoich uniwersyteckich lekcyach, w swojej poezyi także — podobny do lekarza, który naprzód chce i musi poznać przyczynę choroby, bo jak ją pozna, to i środki uzdrowienia wskazać zdoła.

«Halszka z Ostroga», napisana w roku 1858, drukowana w roku 1859, grana była naprzód w przekładzie czeskim w Pradze, potem dopiero po polsku w Krakowie (1861). Dramatyczna kollizya jest w niej bardzo wdzięczna. Młode dziewczę, zaledwo dorastające, prawie dziecko, ma nieświadomy pociąg do towarzysza lat dziecinnych, Dymitra, ale ma zarazem instynkt, który ją ostrzega, że ten Dymitr nie jest taki, jakim być powinien. Chciałaby módz go kochać, ale teraz jeszcze nie może: jeżeli się odmieni, to poważne, głębsze serce odda mu się z ufnością i z radością. Halszka tego nie rozumuje, tylko to czuje. Kiedy matka twardo młodego kniazia odprawia, żal jej trochę, ale poddaje się bez oporu i walki. Na to przychodzi napaść i gwałt. Wasyl Ostrogski, stryj i opiekun, który nie chce, żeby bogatą dziedziczkę wziął koroniasz, Górka, znajduje

się niespodzianie na zamku, zbrojno, i zapowiada, że natychmiast ma być ślub. Panna słyszy to z oburzeniem i wzgardą, matka z wściekłością. Obronić się nie może; ale przed tym ślubem rozkazuje Halszce przysiądz, że tego narzuconego męża będzie nienawidziła zawsze, że nigdy ani przypuści do serca, ani litości, ani współczucia, choćby nad nim śmierć była...

Halszka przysięgła.

Po ślubie, na zamku Dymitra, dochowuje tej przysięgi. Wziął ją przemocą, i przemocą może z nią zrobić, co zechce: inaczej nie. Rycerski Dymitr poznał, co zrobił, żałuje, cierpi, ale szlachetnie wyrzeka się miłości i szczęścia; Halszka jest w jego domu wolną i panią siebie.

A tymczasem mściwa Beata zaniosła skargę przed króla: odbywa się sąd. Odachowski w obronie Wasyla i Dymitra, Czarnkowski w obronie księżnej, wywodzą sprawę w długich przemowach (z Górnickiego wiernie parafrazowanych). Wyrok zapada: Marcin Zborowski obiecuje go wykonać, jeżeli inaczej wykonanym nie będzie.

W Lubarze tymczasem Dymitr schnie ze zgryzoty i z miłości. Halszka zawsze zimna i dumna, trzyma się swojej przysięgi, ale w duszy przysięgę przeklina, bo go już kocha. Oburzała się na gwałtownika: smutnego, nieszczęśliwego pokochała. Przychodzi wieść o wyroku: trzeba ratować życie, uchodzą oboje do Czech.

W akcie czwartym Dymitr w Naumburgu chory bardzo z tych zgryzot; Halszka kocha go coraz więcej — ale przysięgła! Okazać mu tego nie może. Tylko kiedy śpi, wchodzi do jego pokoju i wpatruje się w ten

obraz nieszczęścia. Od służby tylko słyszy Dymitr, że księżna nad nim czuwa, nad nim płacze, że go kocha. Szczęście zdaje się możliwem, kiedy staje w Naumburgu Zborowski. Halszka chce bronić, wstrzymywać, w tej chwili ostatniego niebezpieczeństwa wyznaje Dymitrowi swoją miłość, jemu ze szczęściem przybywa sił do obrony, ale po krótkiej walce pada.

W akcie piątym Halszka jest w Ostrogu, oddana matce, która powtórnie chce ją wydać za Górkę. Ale teraz Halszka ma swoją wolę, silniejszą, niezłomniejszą od matczynej. Nie do ołtarza jej iść, ale za pogrzebem zabitego, do Lubaru. Beata nie ustąpi, weźmie szturmem ten lichy zameczek, który się bronić nie może. Ale gdy się do niego wdzierała, córka w kaplicy wzięła ślub ze starcem, Siemionem Słuckim, i matka już jej nie przymusi. Od przemocy zasłoni ją w potrzebie sam król. Tym sposobem uwolniła się od Górki, została wierną Dymitrowi zmarłemu, któremu za życia szczęścia dać nie mogła, choć go kochała.

Sytuacya tragiczna jest, i sztuka uchodzi zwykle za najbardziej sceniczną ze wszystkich sztuk Szujskiego. Może tak jest: ale obok tego, kto wie, czy nie jest ona z nich i najzimniejszą. Te figury: Halszka w swojej stałości i miłości, Beata w swojej nienawiści i złości, Dymitr w porywczości, a później w skrusze i smutku, są sztywne, zimne, pomimo całej gwałtowności swoich uczuć (najmniej ze wszystkich Dymitr). Jaki powód? Może ten, że młody autor chciał być bardzo objektywnym, bardzo spokojnym, swojej osobistości w to dzieło nie kłaść, i ten wzgląd krępował go i mroził. Ale sądziłbym raczej, że sprawiła

to natura przedmiotu. Kiedy przedmiot nie był bezpośrednio związany z losami Rzeczypospolitej, kiedy nie dawał sposobności i pola do pokazania, co się w niej działo, do szukania «przyczyny kary» i do wydobycia z dziejów przystosowania, tam dusza Szujskiego nie była w swoim żywiole, a przez to i jego wyobraźnia, choć była czynną, zostawała obojętną. On nie płakał, nie truchlał, nie przeklinał z ludźmi, którzy na własne tylko losy płakali, o własne truchleli, za własne przeklinali. Horacy mądrze powiedział: s i v i s m e f l e r e. Szujskiego los Halszki wzruszał mało, dlatego ona nie wzrusza widza, czy słuchacza.

W wykonaniu zaś, w samym układzie dramatu, jest błąd jeden, wskazówka wielu podobnych, i wrodzonej jakiejś Szujskiego skłonności. W sytuacyach dramatycznych lubił on takie chwile naprężenia, w których ta sytuacya ma dochodzić do swego najsilniejszego i najbardziej tragicznego wyrazu. Czasem w nich przesadził, a przez to zepsuł i zniszczył efekt; czasem nie spostrzegł się, że to, co miało być punktem kulminacyjnym i głównym pierwiastkiem przejść dalszych, jest albo nieuzasadnione i z tą sytuacyą niezgodne, albo niepotrzebne, i raczej obniżające wrażenie. Taką jest tu przysięga, złożona matce przez córkę. Bez niej i sztuka, i postać byłaby bardziej zajmującą, tragiczniejszą. Halszka w napaści na zamek, w ślubie przymuszonym, miała dość powodu, by dla Dymitra być surową: w swojej naturze miała dość powodu, żeby się w tej sztywności zaciąć i zawziąć. Gdyby teraz, pod wpływem jego smutku i wdzięku,

trwogi o jego życie, ta surowość miękła powoli, topniała, przechodziła w inne uczucie, gdyby to uczucie doszło do wyznania, i gdyby w tej chwili szczęścia przyszła śmierć, czy dramat nie byłby smutniejszy, a postacie piękniejsze, żywiej przemawiające do współczucia? Zamiast tego mamy przysięgę, która tej biednej Halszce zamyka usta, zamyka serce, związuje wolę, a która w słuchaczu, lub czytelniku nie wywołuje współczucia dla Halszki, bo ten czytelnik wie, że przysięga, wykonana w uniesieniu, ważną nie jest, że z każdej uwolnić się można, a cóż dopiero, kiedy chodzi o życie człowieka, i że Halszka, gdyby chciała, wyszłaby ze swojej tragicznej sytuacyi najłatwiejszym i najprostszym sposobem: prośbą do władzy duchownej, może tylko do własnego spowiednika o rozwiązanie z przysięgi.

W wielkiej liczbie historycznych dramatów, o których Szujski marzył i myślał, wielkie miejsce zajmował «Jan Kazimierz». Ten nie wykonał się nigdy jako taki, ale rozbił się na parę mniejszych, wykonanych pomysłów. Z tego źródła wypłynął «Jerzy Lubomirski», jeden ze słabszych między jego dramatami (przez nadmiar właśnie historycznej dokładności i faktów); z tego «Obrona Częstochowy», ładna, w gawędowym, prawie ludowym tonie pisana powieść, której bohaterem jest organista Brzuchański, i jego prawdziwie bohaterskie usługi, oddane oblężonym, a przez Kordeckiego w «Gigantomachii» zapisane. Do tego cyklu wreszcie należy «Radziejowski», fragment nieszczęściem, rzecz nie bez widocznego wpływu Calderona, ale pisana z niepospolitą siłą i popędem, w wielkiem podniesieniu uczucia. Jest tylko akt drugi w oblężo-

nym Krakowie, trzeci w Częstochowie, którą Radziejowski chce wziąć podstępem, w nocy, ale przez Kordeckiego poznany i zgromiony, cofa się, i zaczyna wchodzić w siebie; czwarty w szwedzkich obozach, gdzie Radziejowski zrywa z Karolem Gustawem i chce naprawiać złe, jakie zrobił, i w Tyszowcach.

---

## II.

Przeszło lat kilka. Pism z tych lat bardzo mało. Wkrótce po ożenieniu — ożenił się Szujski w r. 1861 — powstało kilka wierszy, w których złudzenia młodości łączą się, dziwnie, z błyskami roztropności, i ze stałem, niezmiennem żądaniem statecznej woli i siły. Jest ciekawa ballada: »Obłąkani«. W Warszawie, u Bonifratrów, siedzi ich trzech. Jeden szlachcic zakuty, który tylko w swoje herby wierzy i w swoją starą karabelę. Drugi tylko w cyfry i rachuby. Trzeci, młody stolarczyk, buduje prom w kształcie krzyża, wiosłować będą anieli, a ster weźmie Matka Boska w rękę. Kończy się ballada modlitwą: »Panie, chroń od szaleństwa pychy, i od szaleństwa rozumu, i od szaleństwa wiary!« a jeżeli już jedno koniecznie być musi, to ostatnie najmniej złe, bo najszlachetniejsze.

Później już prawie nic. Jeden bardzo piękny przekład psalmu: »Super flumina« i drugi z Izajasza.

Zresztą żadnego tworzenia. Historya tylko, dawniej zaczęta, koniecznie potrzebna, pisze się dalej dlatego, że potrzebna, i na nią siła znaleźć się musi. Co nie konieczne, co z wyobraźni, lub z własnego zamiłowania tylko, to leży odłogiem. Aż późno do-

piero, bo w roku 1867 wychodzą w osobnym tomiku dramata. Dawniejsze po większej części, tylko teraz razem zebrane; jeden jest między nimi nowy, świeżo już napisany. W przedmowie mówi autor, że forma dramatyczna w poezyi odpowiada dojrzałej świadomości siebie, wyrobionej woli, zupełnej męskości społeczeństwa. Tego stopnia i postępu spodziewa się on dla społeczeństwa swojego i nie wątpi, że poezya jego wtedy zdobędzie się na dramat chwalebny i wielki. Swój uważa za próbę tylko, za jeden krok na drodze ku dramatowi przyszłemu. Ale z tej skromnej przedmowy znać, jak wysoko pojmuje dramat i jego przeznaczenie, jak wiele od tragicznego poety żąda — jak byłby szczęśliwy, gdyby mógł uwierzyć, że jego własny dramat jest tym, którego się pragnie i czeka. To był, głęboko w sercu tajony, szczyt jego marzeń i ambicyi dla siebie: jak uczucie, że do tej wysokości nie doszedł, musiało być — jeszcze głębiej ukrytem — jego bolesnem wyrzeczeniem się i rezygnacyą. W ostatnich chwilach życia, kiedy wola nie panowała już nad uczuciem, a umysł tracił świadomość rzeczywistości, odzywało się to marzenie całego życia, to rozmiłowanie w dramacie...

W zbiorze z roku 1867, na pierwszem miejscu stoi »Jadwiga«. Pisana była w roku 1860, i następnie drukowana w lwowskim »Dzienniku literackim«; później znacznie zmieniona i poprawiona. Poprzedza ją długi wiersz, niby prolog, właściwie osobiste autora zwierzenie się z wielkiej jego miłości do tej postaci i do jej historycznej zasługi, świadectwo, że z czcią niemal religijną przybliżał się do tej postaci i ośmielał się ją kreślić. Wiersz piękny; nie przytacza się tu,

bo długi, a tak związany, że wyjątków z niego oddzielać i dobywać trudno.

O dramacie samym mówi autor w innej (prozaicznej) przedmowie, że przypomina starą racinowską formę. To ma znaczyć w jego myśli, że wraca do starego sposobu traktowania przedmiotu, że się nie wzdryga przed obszernem, długiem, dziś nie modnem, wypowiedzeniem uczuć i myśli, że trzyma się zdala od realizmu Szekspira, cóż dopiero od nowoczesnego. Ale, naszem zdaniem, nie u Racine'a i Francuzów, u Niemców raczej trzebaby szukać podobieństwa, i może (bez wiedzy autora) wpływu. Czysty idealizm Schillera, jego dyalog w długich a uczuciowych przemowach, Ifigienii Göthego wzniosłe zakończenie przez pojednanie i zgodę, obu styl wspaniały i uroczysty w swojej prostocie: oto co raczej przypomina się czytelnikowi »Jadwigi«, jako jej możliwy wzór, choć nie jako jej osiągnięty stopień. Wzór dobrze obrany. Do tej postaci trzeba było idealnych tonów Schillera, do tego rozwiązania trzeba było wspaniałego majestatu Göthego.

Że Szujski ze wszystkich swoich dramatów o ten dbał najwięcej, że ze wszystkich swoich postaci najgoręcej pragnął, żeby ta udała się zupełnie dobrze i dorównała temu ideałowi, jaki nosił i widział w swojej wyobraźni, to pewna. Rzecz widoczna — nie dziwna — że Jadwiga jest wielkiem marzeniem, wielką ambicyą naszych poetów. Ilu ich już było, którzy zabierali się do dzieła nie bez nadziei, że uda im się stworzyć, wcielić w żywą postać ten ideał! Ale właśnie dlatego, że ona tak wysoka, tak piękna w wyobraźni każdego z nas nie poety, dlatego tak

poetom do odtworzenia trudna. Trzeba oddać, przewyższyć to, co tysiące ludzi, setki tysięcy, noszą w sercu i wyobraźni. Trzeba stworzyć postać najbardziej idealną, najwznioślejszą, bo inaczej nikt nie uwierzy, że to Jadwiga, nikt jej za taką nie pozna i nie uzna: trzeba tę młodą dziewczynę postawić w walce z przymusem i gwałtem, a jednak tak zrobić, żeby gwałt i przymus nie był wstrętnym, owszem, żeby był szlachetnym i słusznym; trzeba wreszcie w duszy Jadwigi przeprowadzić i pokazać skalę i całą walkę uczuć, od miłości i nadziei szczęścia, przez rozpacz, przez opór, aż do dobrowolnej, zupełnej, błogiej nawet, zgody na wyrzeczenie się szczęścia. Trudno jest bardzo; i dlatego może, pomimo prób wielu, nie mamy takiej Jadwigi, na którąbyśmy rzekli: oto ta, ta jest taka, jak być powinna. Który z poetów byłby mógł taką stworzyć? Czy Słowacki? po niektórych żałośnych, rzewnych skargach Lilli Wenedy, po cichej a mężnej rezygnacyi, z jaką Wojewodzina zamyka swoją miłość w swojem sercu, chciałoby się przypuszczać, że Słowackiemu Jadwiga może byłaby się udała. Ale nie! Żałość i skarga, i wdzięk biednej Lilli, ma w sobie coś nerwowego, roztkliwionego, romantycznego, chwilami aż manierowanego; w godności i cnocie Amelii niema tęgości i siły odporu, to jest w swojej rezygnacyi istota złamana. Jedno jak drugie nie przypada do Jadwigi. Aldona mogłaby jej niektórych swoich uczuć pożyczyć, a ona mogłaby pytać:

»Gdzie ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga Wielkiego na niebie?«

a przez niego, dla niego, pokochała i spełniła powołanie wielkie na ziemi. Ale i to nie dosyć. Jadwiga

musiałaby być smutna i rzewna, jak Lilla Weneda, a od niej prostsza; wzniosła jak Aldona, a od niej rzeczywistsza; mogłaby mieć niejakie podobieństwo z najidealniejszemi kreacyami Schillera, z królową z Don Carlosa naprzykład, a od nich mieć słów mniej, fizyognomię wyraźniejszą... kto stworzy doskonałą Jadwigę i kiedy?

Jadwiga Szujskiego ma godność, ma królewską powagę, ma siłę w obronie swoich uczuć i swego szczęścia, ma uczucie obowiązku i cnotę w ich poświęceniu, ma więc wszystko, co w niej być powinno: tylko smutku, cierpienia, nieszczęścia nie dosyć. Wie się, że ona płacze, ale nad nią chciałoby się płakać więcej. Żądałoby się zwłaszcza, żeby walka, żeby chwila stanowcza jej zwycięstwa odbyła się w oczach widza, nie w opowiadaniu. Ta modlitwa przed krzyżem, w której Jadwiga po raz pierwszy zrozumiała, że poświęcić się powinna, i do poświęcenia znalazła odwagę, to najwznioślejsze, to stanowcze, to rozstrzygające, to powinno być w dramacie: a tego niema. Jadwiga, już uspokojona, opowiada Bodzancie, że walkę przebyła i że się zwyciężyła. Braku tej dramatycznej chwili nie zastąpi, nie nagrodzi ani słowny opór, jaki królowa stawia panom, ani jej błaganie i łzy, ani jej tajemnicze wyjście z zamku na ślub, wstrzymane spotkaniem panów, i wiadomą sceną u furty zamkowej, porwaniem i upuszczeniem toporu. Aż dotąd jest to dramat przyzwoity, dobry, któremu słusznie nic ważnego zarzucić nie można, ale zwyczajny. Pięknym, prawdziwie wzniosłym i prawdziwie dramatycznym staje się on dopiero w akcie czwartym, z przybyciem Jagiełły.

Jeżeli od Jadwigi, uznając wszystko, co w niej jest, żądałoby się więcej, to ten przeszedł oczekiwanie i odpowiada najśmielszym żądaniom, a nie łatwo drugi jaki poeta stworzy tę postać lepiej, stworzy tak, jak Szujski. Jego charakterystycznem znamieniem, treścią jego duszy, jest prosty instynkt sumienia i honoru, który sprawia, że w trudnem, a przedtem nieznanem sobie położeniu, on odrazu wybiera i robi to, co najlepsze, najszlachetniejsze. Na tem tle dobroci i rycerskości dopiero rysują się i pogańskie zakorzenione pojęcia, i temperament porywczy, i pewna świadomość siebie jako książęcia i pana, i nienawiść Krzyżaków, i rzetelne, instynktowe uczucie nowej wiary, i miłość wreszcie, ta miłość pokorna człowieka, który do wzajemności prawa sobie nie przyznaje, a wszystko, nawet siebie, dla ukochanej poświęcić jest zdolna. I ten, taki Jagiełło, staje się teraz duszą i sprężyną akcyi: nie Jadwiga, nie panowie polscy, ale on. Akcya ta staje się przez niego prawdziwie i wzniośle dramatyczną.

Stanął w Krakowie, nie wiedząc nic o Wilhelmie, o miłości Jadwigi. Ale w pierwszem na nią spojrzeniu poznał, że jest nieszczęśliwa, a tego nie chce, na to nie pozwoli. Bardzo piękne jest to pierwsze ich spotkanie. Jego przyprowadzają panowie jako przyszłego męża i króla; ona wychodzi już gotowa do swojej ofiary:

JAGIEŁŁO, WITOLD, BORYS, SKIRGIEŁŁO, BODZANTA, JAŚKO Z MELSZTYNA, DYMITR *i inni panowie polscy.*

JAGIEŁŁO.

Smutno w tych murach będzie Litwinowi,
Jeżeli królem Lechitów zostanie,

Wolałbym Wilno moje na mieszkanie;
Za dawnym księciem żal będzie królowi!
Murów miastowych nie lubię. Syn borów,
Wolę ja słuchać liści rozhoworów,
Niż w ciszy murów usypiać zgnuśniały,
Jak jaki Krzyżak, albo mnich z za Niemna.
A gdy na dworze dzień jaśnieje biały,
Każda komora ciasna mnie i ciemna:
Toż pozwolicie, że czasy wolnemi
Na łów pojadę do litewskiej ziemi,
A woni lasów zachwycę potrochu,
Bym miał czem wyżyć w murowanym lochu.

JAŚKO.

Nie myśl, mój książę, aby król nasz który,
Jak mnich klasztorny, nie wyjrzał za mury:
Jest gdzie pohulać w cztery świata strony
Na karkach wrogów lechickiej korony.
Będzie gdzie mieczem gospodarzyć, panie,
Wam i potomkom krwawych wojen stanie,
Na wieki długie, w królewskim urzędzie
Grodziskiem obóz, namiot dachem będzie.

*(Wchodzi Jadwiga w gronie panien dworskich).*

JAGIEŁŁO.

Toć jest królowa?

BODZANTA.

Pójdź, przesławny książe,
Niech ów wdzięk cudny, który niebo dało,
Duszę twą z duszą królowej powiąże.

JAGIEŁŁO.

Na twarz mą dziką oko posmutniało
Królowej waszej, postać jej drży cała,
Niechętna widać mnie królowa biała...

BODZANTA.

Królowo polska! oto niebios wola
Wiedzie ku tobie małżonka i króla,

Szerokiej Litwy władcę, poganina:
Daj Polsce pana, kościołowi syna.

DYMITR.

Z piersi tysiąców głos leci błagalny:
Daj Polsce, światu dzień ten tryumfalny,
Aniołom wielkie daj wesele w niebie,
W imię Chrystusa Dymitr prosi ciebie.

JAGIEŁŁO.

Panowie Lachy! Na Olgierda brodę!
O śmierć to dziewczę przyprawicie młode!
Patrzcie, jak chyla się pod waszem słowem,
By brzoza wichrem przyparta zimowym,
By kwiat wiosenny pod zimowem tchnieniem
Blednie, na sługi słania się ramieniem —
Biedna dziewica...

JAŚKO *(cicho do Jagiełły).*

Widać, książę panie,
Że nie po myśli wam nasze swatanie,
I nie po myśli wam ręka królowej;
Wróćcie na Litwę.

JAGIEŁŁO.

Łagodnemi słowy
Chciałbym zagadać do Was: łagodnemi,
Jakich nie szukać w naszej dzikiej ziemi;
Toć jeśli czasem dziko się ozowię,
To nie lękajcie się, dziewico miła!
Dzikość nie w sercu mojem, jeno w mowie.
Nie myśl mnie własna z Litwy wywabiła,
Ni wola własna, a gdybym był wiedział,
Ile Wam trwogi twarz moja sprawiła,
Tobym był cicho w mojem Wilnie siedział.
Jakem Olgierdów syn, co wszej wart cześci,
Nie chcę nikomu sprawiać ja boleści!
Alem tu przyszedł za Lachów namową,
A moich własnych Litwinów poradą,

By się połączyć z potężną królową,
I krzyżackiego zwierza głowę bladą
Ugnieść, z walecznym ludem sprzymierzony;
Dlategom pragnął chrześcijańskiej żony.
Nieświadom Waszej boleści i sromu,
Śmiejąc się z Waszej bojaźni i trwogi,
Żeście za zwierza leśnego mnie mieli,
Jechałem z mego książęcego domu,
I opuściłem me litewskie bogi.
Lecz teraz, widząc, jakeście zadrżeli
Przed mem obliczem dzikiem i straszliwem,
Jak biedna łania, co się w krzakach chowa:
To ja odejdę, bom w oku trwożliwem
Lepiej wyczytał, co mnie zarzucacie,
Niż w wszystkich mowach Krywego Krakowa.
I mówię szczerze, że Wy słuszność macie,
Że ja nie dla Was, człek dziki i srogi,
Zbójca Kiejstuta, krwi Teutonów głodny;
Bo mąż Wasz musi być człowiek łagodny,
Aby Wam przykrej nie napędził trwogi.
Więc wrócę do dom, do Litwy książęcej,
Lecz Was już nigdy nie zapomnę więcej.
Zamknę się w zamku wileńskiego mury,
I będę dumał, jak puszczyk ponury,
O Waszej cudnej postaci i twarzy;
Lub będę szalał z hufcami bojarzy,
I krew pił ciepłą, póki śmierci chwila
Mnie nie pogrąży w ciemnościach Pokilla.
Bo kto Was ujrzał, a kto nie posiędzie,
Temu ponuro musi być na świecie:
Więc i Jagielle źle na świecie będzie.

JAŚKO.

Oszalał książę litewski jak dziecię.

DYMITR.

Czekać nam jeno pańskiego wyroku:
Że będzie łaskaw, czytam w kniazia oku.

JADWIGA.

Książę litewski! dziękuję Wam szczerze,
Za dobre słowo. Kiedy ci rycerze
Nie mieli serca dla bolu dziewczęcia,
Serce u pogan znalazło się księcia!
Zostańcie kniaziu! Pan niebios rozstrzyga
Losów mych ciężkich kłąb nierozwikłany:
Szlachetność wasza nie zgoi mej rany,
Bo wierna swoim przysięgom Jadwiga
Nie może przyjąć litości pogańskiej,
Póki po woli nie stanie się Pańskiej.

JAGIEŁŁO.

Mówiłaś do mnie. Dźwięczne twoje słowo,
Jak twoja postać nadobna, królowo!
Mówiłaś do mnie przyjaźnie, nie trwożnie.
Gdy patrzę na cię, zda mi się, że trzeba
Klęczeć przed tobą, jak przed świętą nieba,
Przed którą klęczą Chrześcijanie pobożnie...
Bo blask tej świętej w waszych ócz błękicie.

BODZANTA.

Książę litewski, milczcie! Wy bluźnicie,
To grzeszna, ziemska, cielesna istota!

JAGIEŁŁO.

Kłamiecie, Krywe! Dlaczegoż ta złota
Brama niebiosów się przez nią otwiera:
W niebo twarz patrzy, gdy na nią spoziera?
Ona jak słowo wasze, jeno żywe
I zrozumiałe, a wy, wielki Krywe,
Tyle mówicie, a ja nie rozumiem.
Po niej waszego Boga poznać umiem
I waszą cnotę, i wiem, wiem dlaczego
Smutno mi wieczór, żem zabił krewnego —
I do Witowda nie mam więcej sromu,
Alebym w Wilnie gościł go w mym domu,
Kochał i miodem mym kowieńskim raczył,

Ażby mi ojca srogą śmierć przebaczył.
Witowdzie, bracie!

WITOLD.

Ho! nie powiedziałem,
On to oszalał — nie ja oszalałem;
W czarownych ziołach to dziewczę kąpane,
W majowej rosie — na młodziku ano...
Że serca dzikie jako wosk topnieją,
A gniewy moje w duszy łagodnieją!...
Trudnoć mi wyrzec przebaczenia słowo,
Aleć go daję, wbrew minionym dziejom,
Jeno daj Litwie tę piękną królową!

DYMITR.

Chwała niebiosom! Cóż to! Starca oczy
Jakoś nie patrzą dobrze? łza je mroczy...

JAGIEŁŁO.

Przedziwna pani! słowo twe zdziałało,
Czego mnie nigdy w snach się nie zachciało.
I widzę teraz, czemu ty mej duszy
Taka cudowna i taka nadobna:
Tyś do mej matki Julianny podobna.
Na prochy matki dziś śnieg biały prószy,
Wysokie sosny szumią przy jej grobie:
Lecz gdym był dzieckiem, to mi u jej łona
Tak było dziwnie, jak dzisiaj przy tobie.
Bo moja matka była z Chrześcijan grona,
Codzień mnie wieczór pacierza uczyła,
O waszym Bogu i świętych mówiła,
Aż sama święta do nieba wzleciała,
Jak wy bolesna, jak wy śnieżnobiała.
Jam płakał długo i słów jej wspomnienie
Długo mi w duszy młodzieńczej zostało,
Ażem zapomniał, żem miał matkę białą.
Hulałem z braćmi przez Litwy przestrzenie,
Jak dziki orzeł, jak grom Perkunowy,
Na uczty jeździł, na wojny, na łowy,

I takim srogim stał się, że was trwożę;
Lecz choć poganin, widzę znaki Boże
Na waszem czole, jak na matki czole,
Tę samą smętność i te same bole,
I żywo stoi mi matka przed duszą,
Na której prochy teraz śniegi prószą...
Więc za nic w świecie nie chcę was posmucić...
Wrócę na Litwę, gdy każecie wrócić.

A jak w nim na widok Jadwigi mięknie i przemienia się pogańska dusza, tak w niej na te jego słowa budzi się otucha, pociecha, wdzięczność. Już nie jest sama: ma obrońcę, ma takiego, który ją odgadł i żałuje. Ofiara będzie mniej straszną: złagodzi ją zrozumienie się, ufność, przyjaźń. Rozmowę przerywa Wilhelm, gotów w ostatniej chwili siłą praw swoich bronić. Jagiełło z nim w sporze okazuje się od niego wyższym, szlachetniejszym, prawdziwszym rycerzem.

Sprawa małżeństwa niepewna jeszcze; w akcie piątym, przed samym swoim chrztem, Jagiełło, wbrew prośbom i groźbom panów, chce mówić z królową. »Przemocy nie chcę, a gwałtem się brzydzę«. On wróci na Litwę, ale pierwej Wilhelma wprowadzi na zamek. A gdy Jadwiga nie chce i tłómaczy względy, którym ulega, on wynajduje nowy sposób. Sam przyjmie chrzest, bo już mu tak sumienie każe, i koronę polską weźmie, gdy potrzeba. Ale ona niech się nie poświęca, niech wraca do swego kraju szczęśliwa, z tym, którego kocha.

Rozstrzyga sprawę Jadwiga. Między przywołanym Wilhelmem, a wracającym od chrztu Jagiełłą, ona nie zmuszona, dobrowolnie wybiera, i jednemu każe zrzec się swojej ręki, drugiemu ją oddaje spo-

kojna, błoga, uszczęśliwiona szczęściem innem, ale prawdziwem. Nawet Wilhelm się poddaje, schyla głowę przed taką powagą i cnotą.

SCENA II.

JAGIEŁŁO, JAŚKO Z MELSZTYNA I DYMITR Z GORAJA.

JAGIEŁŁO.

Panowie Lachy twardo królów dzierżą,
Na Perkunasa! Lecz nic tu nie nada:
Zanim się chrzestną oblokę odzieżą,
Z królową waszą mówić mi wypada!

JADWIGA *(n. s.)*.

Boże! ty kroki kierujesz pogana.

JAŚKO.

Ale tu rada królowej przydana
Kieruje wszystkiem; z nią mówić co niema,
Zwyczajnie młoda, i sarny oczyma
Na świat spogląda.

JAGIEŁŁO.

Poskąpcie języka.
Na czysto lubię wszelkie robić sprawy,
Waszmość posłuchaj, jeżeliś ciekawy.

JAŚKO.

Więc o cóż chodzi? *(n. s.)* On szuka koszyka.

JAGIEŁŁO.

Kiedyś się Waszmość żenił z swoją żoną,
Gadałeś z ojcem, mówiłeś z rodziną,
Ale i z pannąś musiał mówić pono.
Więc i ja muszę, muszę na Nijołę,
Tem bardziej muszę, że coś niewesołe
Ma lico, w sercu widno ma frasunek;
A jeśli Waszmość, co odmawiasz codzień

Pacierz na złotych paciorkach koronek,
Mało uważasz na tej pani duszę,
To ja, poganin i obcy przychodzień,
Piękną niewiastę tę wypytać muszę.

JAŚKO.

Chce, czyli nie chce, niewiele to znaczy...

JAGIEŁŁO.

Na Perkunasa! mów Waszmość inaczej,
Bo nie uwierzę, że masz duszę człeka...
Niewiele znaczy? piękna mi opieka!
To znaczy wszystko... idź Waść...

DYMITR *(który rozmawiał z Jadwigą).*

Chodźmy, bracie,
Nie bój się... Smaku mało w gębie macie...
*(Dymitr i Jaśko odchodzą).*

## SCENA III.

JAGIEŁŁO, JADWIGA.

JAGIEŁŁO.

Ona...

JADWIGA.

Słyszałam, dziękuję i chylę
Czoło przed wami.

JAGIEŁŁO.

Rzecz prosta, za chwilę
Chrztu wodą Krywe ma mi oblać głowę,
I mam rozpocząć życie, życie nowe,
Życie Chrześcijanina, króla...

JADWIGA.

Mego pana.

JAGIEŁŁO.

Waszego pana! Widzi Perkun w niebie,
Aniołów waszych drużyna świetlana,

Widzi, że wszystko: blask berła, korona,
Nic mi przy tobie i nic mi bez ciebie...
Nic! nic! nic! wy mnie, jak anioł skrzydlaty,
Co mnie porywa w jakieś złote światy,
I do białego aż zachodzi Chrysta,
Wy — matki mojej siostro przeźroczysta!

JADWIGA.

Jam wasza!

JAGIEŁŁO.

Moja!

JADWIGA.

Wasza!

JAGIEŁŁO (*wpatrzywszy się w oczy Jadwigi*).

Wy nie moja.

JADWIGA.

Oto ma ręka.

JAGIEŁŁO.

Widzę, ręka twoja,
Biała jak śniegi na Litwie ojczystej,
A pod tym śniegiem płyną krwi przeczystej
Waszej strumienie, niby purpurowe
Chmury, co słońcu kładą się pod głowę.
Piękna to ręka, jej każdy paluszek,
Jabym ochraniał przed żądełkiem muszek,
Przed tchnieniem mrozu kryłbym tu przy łonie;
A kiedy słońce w skwar letni rozpłonie,
Tobym ją słonił, choć liściem paproci,
Aby ją schronić przed słońcem, co złoci;
Ale nie dla mnie... ta rączyna biała...
Drżą... drżą... jak listek brzeziny na wietrze,
Te białe palce, co od listków letsze,
Drżą... bo od serca płyną w nie strumienie...
A w sercu waszem jest wielkie cierpienie.
Bywajcie zdrowi... nie winien Jagiełło,
Że go w ohydne to wplątano dzieło,
Że dłań tej rączce białej drżeć kazano...
Nie winien... polskie pany winne ano,

Ale ich ciężka ma zemsta dosięże...
Wbrew woli pani, dzikie wołać męże!
Ha! gdzie ten Wilhelm, którego kochacie?
On z wami siędzie tu na majestacie,
Ja go wprowadzę...
Drżycie? cała drżycie?
Biada! kto zatruł młode wasze życie...

*(Chce odejść).*

JADWIGA.

Książę litewski, stójcie, wy bluźnicie!
Czy dla mnie jednej wy tutaj jechali?
Ojczystą Litwę srogi Krzyżak pali,
Ojczysta Litwa jechać wam kazała,
Ojczystej Litwy ręka śnieżnobiała,
Wam do Krakowa wyznaczyła drogę,
Jak Polska naszych do Litwy wołała...
Mnie Polska każe, wzbraniać się nie mogę;
Wam każe Litwa, wasza jest ta ręka...

JAGIEŁŁO.

Tyś lutnią widać, gdzie gromka piosenka
Obok tęskliwej drzemie w strun obszarze.
Ale czy obu ciż sami harfiarze
Cię nauczyli? pierwsza z duszy płynie:
Drugą wraz z sercem wyrwano dziewczynie.

JADWIGA.

Nie! ona z góry, ona z niebios spływa!
Mnie Bóg mój każe, ten, co się odzywa
Do ciebie, książę, abyś świętych chrzestem
Lud twój ochronił od wiecznej zagłady,
Ten, co na ciebie woła z krzyża blady:
Bądź ojcem Polski, jak ja matką jestem.

JAGIEŁŁO.

Wam każe Bóg wasz? Więc to Bóg okrutny,
Jeśli wam taki los przeznacza smutny,
Jeśli miłego opuszczać wam każe...

Stworzył was piękną, że człowiek na twarzę
Padłby przed wami, i niszczące ramię,
Wznosi jak wicher, który lilie łamie...
Więc woli jego wbrew iść się odważę...
Żegnajcie! Litwa bez chrztu się utrzyma,
Znam Boga Chrześcijan, sojuszu z nim niema,
Poznawszy, w straszne wejdę z strasznym boje,
Z pogańską duszą krzyżowi dostoję:
Bo bardziej kocham, mocniej nienawidzę,
Przemocy nie chcę, a gwałtem się brzydzę.

JADWIGA *(n. s.)*.

Boże, ty żądasz... Jadwiga gotowa...
Książę, wy gromkie powstrzymajcie słowa,
Książę, jam wasza, wasza całą duszą,
Bóg mnie nie zmusza, ludzie mnie nie zmuszą,
Wolna, z namysłem rękę wam oddaję.
Powiem wam wszystko, nic wam nie utaję:
Kochałam jego i w tej jeszcze chwili
Miłość ku niemu rzewnie w duszy kwili...

JAGIEŁŁO.

Ha!

JADWIGA.

Lecz gdy Pan Bóg do duszy mej puka,
Kiedy zbawienia Polska u mnie szuka,
Gdy książę Litwy chrzest ma przyjąć święty,
Kiedy pół świata ujmie krzyż rozpięty:
Jadwiga grzeszna, po długiem wahaniu,
Waszą jest, waszą, bożemu posłaniu
Wierną, powolną Polski swojej sługą,
I wstyd ją tylko, że drżała tak długo.
Że Bogu, Polsce, oporem stawała...

JAGIEŁŁO.

Wstyd Was? i przed czem, moja pani biała,
Święta w męczeńskie przyodziana blaski?...
Ha wiem, co Bóg wasz, co dar jego łaski!
Wiem, wiem, bluźniłem. Niechaj się nie gniewa...
On nie gromowy Bóg, on w duszę wpływa,

Jak deszcz wiosenny w zimne ziemi łono,
Że wstaje posiew kwietno i zielono...
Wiem, wiem; chrztu pragnę... chcę być chrześcianinem,
Chrystusa sługą — być Kościoła synem...
A Wy, ptaszyno, boleścią zraniona,
Idźcie odpocząć w Wilhelma ramiona...
Tak... tak... tak dobrze... Lachów wołać trzeba,
Panowie! czas nam! Dzięki, wielkie nieba!
Że jakoś czysto wyjdziemy z tej sprawy...

JADWIGA.

Książę!

SCENA IV.

CIŻ SAMI, JAŚKO I DYMITR.

JAŚKO.

Bodzanta w świątyni was czeka.

JAGIEŁŁO.

Chodźmy!

*(Do Jadwigi).*

Bóg z tobą! Boska cię opieka
Strzeże dziewico! a bądź mi szczęśliwa!

JAŚKO.

Jakiemż to słowem ten wilk się odzywa?...

DYMITR.

Bóg tutaj włada, nam czekać w pokorze.

JAGIEŁŁO.

Chodźmy, Lachowie!

JAŚKO.

Jakoś sobą trwożę,
Tu tajemnica jakaś się ukrywa.

JADWIGA.

Witam — niech przyjdzie więzień Dymitrowy.
Chcę z nim pomówić. Za chwilę królowej
Stanowcze słowo rozstrzygnie tę sprawę.

JAŚKO.

Lecz wolę Polski wypełni łaskawe
Słowo królowej?

JADWIGA.

Będzie dopełniona.

JAŚKO.

I ziemia Piastów z Litwą połączona?

JADWIGA.

Będzie!

JAŚKO.

Więc chodźmy, książęcy nasz panie!
Chwała wiecznego połączenia bije.
Niechaj chrzest święty zleje pogan czoła,
Byśmy zawołać mogli: król niech żyje!

*(Jagiełło i Jaśko odchodzą).*

## SCENA VIII.

*Wchodzi* BODZANTA, JAŚKO, *senatorowie prowadząc* JAGIEŁŁĘ, WILHELM, BORYS, SKIRGIEŁŁO.

BODZANTA.

Spełniony obrzęd, królowo!
Wiara Chrystusa nad pogana głową,
Władysław święty imię swoje nadał
Temu, co sławy będzie berłem władał.

JAŚKO.

Czas nam o drugim pomyśleć obrzędzie.
Wiemy, że odtąd Chrześcianinem będzie
Pogański Litwin, naszym w Bogu bratem.
Rodziców trzeba wielkiej ludów parze.
Ojca i matkę prowadzić nam zatem
Przed wiekopomnej miłości ołtarze.

*(Jagiełło i Wilhelm występują z dwóch stron).*

JAGIEŁŁO.

Panowie Lachy!

WILHELM.

Lechiccy panowie!

JADWIGA.

Książęta! pany! mnie pierwszeństwo w mowie.
Książęta! pany! modlę się w pokorze,
By, co wyrzeknę, słowo było Boże!
O słabą dłoń tę, która berło dzierży,
Dwóch się starało książąt i rycerzy:
Poganin jeden, Chrześcianin drugi —
I Pan Bóg zdarzył, że w obydwu łonie
Miłość ku pani ziemi waszej płonie.

Przed małą chwilą, nim Chrystusa sługi
Tę skroń szlachetną w blask chrztu przyodziały,
Książę litewski w dłoń tę oddał cały
Los mego życia; chciał, bym połączona
Z księciem Wilhelmem, z pęt mych uwolniona,
Miłości żyła i szczęściu własnemu,
Wolna od zgryzot i burzy sumienia:
I oto czołu pogana smętnemu
Blask świeci wiary jasnego promienia.

JAGIEŁŁO.

Chciałem, na Chrysta! chcę! Lechickie pany!
Gwałt jeno srogi tej pani zadany...
Korzystać z gwałtu nie Jagiełły dzieło.
Sam Bóg chciał widać, by w oku dziewicy
Poganinowi niebo zabłysnęło,
Aby w serdecznej do nieba tęsknicy
Płynął mu żywot, a ból serca dziki
W śpiew się zamienił, w śpiew, jakim słowiki
W przedraniu nucą, a niósł go skrzydłami
Tam, gdzieś daleko... gdzie między chórami
Kiedyś ją jeszcze aniołów zobaczę...

JAŚKO.

Płaczecie książę?

JAGIEŁŁO.

Nie! nie! nie! nie płaczę...
Z srebrnego rogu spełnię zdrowie pary.
Ona szczęśliwa, a jam już jej wiary!
W niebie chrześciańskiem spotkam ją po zgonie...
Bogu naszemu świętemu w koronie
Skłonię się moją lechicką koroną,
Że mi pozwoli patrzeć w ulubioną...
Weźcie ją, książę...

JADWIGA.

Niech skończy królowa.
Książę Wilhelmie! Wasza złota głowa
W wiary się świętej świetle wychowała,
Wyście przed chwilą szlachetne ramiona
Otwarli ku mnie, rzekli: Utrudzona
Cierpieniem życia, znękana, zbolała,
Chodź! dam ci szczęście i spokój. Korona
Gnieść ci nie będzie skroni twojej bladej:
Czyż mi usłuchać słowa waszej rady?
Pan chrześciański w chrześciańskim świecie,
Znajdziecie miłość i żonę znajdziecie,
Wy świat z pełnego pijecie kielicha,
Tysiące środków ból wasz uspokoi.
Jemu przezemnie niebo się uśmiecha —
Wy niebo chrześcian we krwi macie swojej!
Was na zniesienie utrapienia starczy,
Z młodu Bożego nakarmionyś chleba —
Jego, gdy sroga tęsknota obarczy,
Może się zbłąkać w pielgrzymce do nieba.
Świeżemu słudze chrześciańskiej wiary
Trzeba miłości — nas stać na ofiary.

*(Dzwon słychać).*

Koronacyjny już się dzwon odzywa,
Chodź, książe Litwy, w wielką królów drogę...
Jam sługa niebios, więc w Bogu szczęśliwa,
Że słaba, dziełu wielkiemu pomogę,
Że idę spełniać przeznaczenie Pana...

WILHELM.

Gnijcie się w stawach, wy, harde kolana!
Dumnym, żem w życiu ukochał anioła...
Panowie Lachy! nienawiść narodów
Niknie we wielkich tryumfach kościoła,
Do nienawiści nie brakło powodów.
Dziś korną modłą zakończyć nam sprawę,
Bo przyjaźń nieba zbliżyły łaskawe.

JAGIEŁŁO.

Przyjaźń!? A po cóż na przestworze ziemi
Ma być nienawiść? Oczyma jasnemi
Bóg chrześcijański na ziemię spoziera,
Ojcowskiem sercem obejmuje dzieci,
I zmartwychwstaje wszystko, co umiera,
I świeci w niebie, co na ziemi świeci.
I spomni świat ten, jak ta pani biała
Mnie, księciu pogan, rękę swą oddała!

Z Jadwigą razem wyszła »Halszka z Ostroga«, i wyszedł »Wallas«. Szkocka, przedwieczna historya; dramat nigdy na scenie nie grany, wydany raz bezimiennie w roku 1860 (w »Dzienniku Literackim Lwowskim«), najmniej znany ze sztuk Szujskiego.

Jest wojna. Na jednym brzegu granicznej rzeki Tweed stoi król Edward z wojskiem angielskiem, na drugim hołdowniczy król Szkocyi, Jan Balliol, ze swoimi. Anglik dumnie wzywa do złożenia broni; dumniej odpowiada Szkot, że jej nie złoży. To wstęp.

Bitwa przegrana. Szkoci w rozbiciu zupełnem. W zamku Dunbar, niedostępnym, nadmorskim, skałami otoczonym, u starca Duglasa schroniła się garstka niedobitków. Nie poddadzą się. Anglik zamek wziąć musi, oni zginą, Szkocya się skończy; ale cześć będzie cała. Jeden jest tylko między nimi, który nie

giną̨ć chce, ale się wymknąć — Wallas. Rzucają mu w oczy strach, miłość życia, ale nie o to mu chodzi! On chce umknąć, żeby w jednym zamku reszta Szkocyi nie poszła w ruinę. Z okna, po prostopadłej ścianie skały, spuszcza się do morza; inni, zagrzani słowem i przykładem, za nim. Udało się. Już są na morzu, kiedy Anglicy wzięli zamek, a stary Duglas ducha wyzionął.

Większość panów szkockich tymczasem pokornie poddaje się Anglikom; spodziewa się łask króla; napróżno. Edward jest dumny; podłym daje tylko życie, i pogardę.

Ze Skone tymczasem zabierają, wywożą, kamień koronacyjny królów szkockich; lud zawodzi skargi; gromi go Monteith. Nie w martwych rzeczach, nie w pamiątkach i symbolach jest życie i siła. Ten Monteith, to druga przy Wallasie główna figura sztuki; pomiędzy nimi toczy się sprawa dramatu, pomiędzy duchem publicznym, czystym i doskonałym, a zmieszanym z miłością własną i przez nią zatrutym. Monteith jest całą duszą i Szkot, i bohater: zdolny do najwyższej cnoty i dzielności, byle one w nim były najwyższe, a nikt drugi nie był jemu równy, nie znaczeniem tylko, lub stanowiskiem, ale nawet wartością. Jeżeli takiego zobaczy, zazdrości, mści się, zdradza: byle zgubić lepszego od siebie współzawodnika, gotów jest zgubić Szkocyę.

Wallas poszedł w góry; przeciąga opór, prowadzi wojnę. Na krótko opuszcza swoich, żeby wpaść do domu, odwiedzić starą matkę, uściskać żonę, niedawno poślubioną. Co tam zastał? Scena jest bardzo dramatyczna, jedna z najlepszych w sztuce, wrażenie nie-

pokoju, oczekiwania, wreszcie straszliwego nieszczęścia, rozdzierające, a (co u Szujskiego nie zawsze się zdarza) utrzymane w mierze. Anglik napadł na zamek. Młoda żona Wallasa uciekała przed nim na wieżę, a gdy inaczej obronić się przed nim nie mogła, rzuciła się z wieży w przepaść. Stara matka pomściła ją, zabiła Anglika. Ale sama potem oszalała.

Teraz już Wallas swojego nie ma nic na świecie, ani w sercu. Jak zakonnik wyrzeka się wszystkiego, a oddaje się cały miłości i służbie Boga, tak on oddaje się Szkocyi. Wojna idzie mu dobrze; Anglicy pobici. Zwycięstwo w ostatniej chwili zapewnił, rozstrzygnął swoją pomocą Monteith. Wallas, w długiej scenie, chce mu oddać dowództwo, bo, jako pierwszy, może być doskonałym bohaterem, zbawcą — jako drugi, może stać się złym i zgubnym: ale w tamtym na razie dobre zwycięża, nie chce tej buławy, będzie służył pod Wallasem. Nie na długo! Kiedy nieprzyjaciela zabrakło, lordowie zaczynają sobie zazdrościć i rwać się do korony. Stary Commyn ma na nią nadzieję, bo Balliol źle się pokazał, a on najmożniejszy, najgłośniejszy między lordami. Ale Wallas osadza powtórnie na tronie prawego króla, Balliola. Balliol robi go swoim hetmanem, wielkorządcą. Wtedy dwie zazdrości spotkały się i zrozumiały. Commyn chce zgubić Balliola, Monteith chce zgubić Wallasa — i staje się między nimi zdrada.

Ma być bitwa. Na jednem skrzydle stanie Commyn, na drugiem Wallas. Tego ma wspierać Monteith.

Ale Commyn już się z Anglikami ułożył. Dadzą mu się pobić pozornie, żeby, jako zwycięzca, miał tytuł do tronu: a tymczasem Monteith nie poprze

Wallasa, i bitwa będzie wygraną Anglików. Commyn podda im Szkocyę na jakich zechcą warunkach, byle sam był tym pozornym królem.

Tak się też dzieje. Commyn odniósł pozorne zwycięstwo, Balliol gdzieś zniknął, czy uciekł; ale Wallas zwyciężyć nie może. Napróżno daje umówione znaki, napróżno walczy ze wszystkich sił — pomoc nie przychodzi. Ta scena oczekiwania, złych przeczuć, dodawania sobie i udawania nadziei, jest bardzo smutna i dobra: a dodaje jej wdzięku epizod małego Roberta Bruce, potomka królów, który, na dworze angielskim chowany, nauczył się taić swoje uczucia, złudził swoich dozorców, nauczycieli, samego króla, a teraz, »jak sokół spuszczony z berła«, jak młody Alf Mickiewicza, przekradł się do swoich. Otuchy on dodaje na kiedyś, pomocy na teraz nic! Po zdradzie Monteitha, bitwa przegrana, Wallas w niewoli: Robert tylko wymknął się z garstką górali.

I teraz Commyn poddaje Szkocyę Edwardowi, i teraz Monteith widzi, co sprawił swoją pychą i zazdrością. Scena, w której to poznaje — on, co nie wiedział o zmowie Commyna z Anglikami — i w rozpaczy chce wypić kielich hańby do dna, każe sobie dawać pieniądze za zdradę, a wziąwszy je, idzie życie sobie odebrać, ma wiele siły.

Wyszedłszy, spotyka Lungyego, najpodlejszego ze Szkotów, który małemu Robertowi dodany był za stróża i szpiega, a gdy Robert zniknął, w trwodze śmiertelnej szuka go, i ze strachu przed królem myśli sobie życie odebrać. Jego chwyta Monteith w ramiona, i z nim razem rzuca się ze skały w morze. Z takim

para, z takim śmierć, to jedno, czego godna jest zdrada i sromota.

Wallas w więzieniu, ale młody Robert walczy dalej. Naraz słychać w lochu głos króla Edwarda, niespokojny, gwałtowny: rozkazuje ściąć Wallasa natychmiast, na rynku, żeby ludzie widzieli, żeby Szkoci się dowiedzieli. Więzień miarkuje, że musiało się stać coś wielkiego, coś dobrego, kiedy ten król taki zły a drżący. Stało się zwycięstwo pod Bannockburn: Wallas, idąc na śmierć, dowiaduje się o niem na pewno.

Nowy w całym tym tomie, — oprócz Śmigielskiego, ładnej, miłej, historycznej komedyi, nie wiedzieć, doprawdy, czemu nie granej nigdy na żadnej scenie, — nowy był tylko »Twardowski«.

Na tym znać już bardzo, że pisany był po głębokich studyach na historyą: znać to po znajomości dokładnej tych kwestyi, które poruszały wiek XVI, po znajomości blizkiej ówczesnych ludzi i jasnem ich rozumieniu, po dojrzałym sądzie nietylko człowieka, co z młodzieńca wyszedł przez ten czas na męża, ale wytrawnego znawcy i badacza dziejów. Twardowski, jak wszystko, co Szujski pisał, powstał z tej »troski, co złe z dobrem ważyła ua sumienia szali« — z tej samej maksymy, czy reguły: »pytaj o przyczynę kary«. Jakim sposobem społeczeństwo tak bujne i pełne życia, państwo tak kwitnące, mogło naraz tak stanąć na miejscu, i cofać się, i od tej chwili właśnie, kiedy doszło do zenitu, do samego południa swoich pojęć, dążeń i sił, kiedy w swojej samowiedzy było tak pewne siebie, a w swojem wyrabianiu się tak samodzielne i rodzime? Co je wstrzymało w śmiałym pochodzie naprzód? Co naturę jego dobrą, szlachetną,

a nieraz bohaterską, zniżyło i osłabiło? Dlaczego teraz właśnie, w tym złotym wieku XVI, natura polska zaczyna się psuć, a państwo słabnąć?

Nad tem pytaniem rozmyśla historyk narodu, i jego psycholog: a odpowiedź, jaką tu znajduje, ubiera poeta w formę dramatu, raczej dyalogowego poematu; bo, choć grany był nieraz na scenie, i dobrze się na niej wydał, »Twardowski« jest szeregiem historycznych i filozoficznych tez w obrazach i scenach, nie dramatem: w rozprawach się odgrywa, nie w zdarzeniach i działaniach.

Na kształt zewnętrzny swojej odpowiedzi wybrał poeta legendową postać mędrca i czarownika w pakcie z dyabłem. Twardowski wyobraża społeczeństwo polskie swego czasu, jego świadomość siebie, jego pojęcia, porywy, jego niedoświadczenie i skłonność do złudzeń: dyabeł zakłada się, że go zepsuje i w moc swoją dostanie — i kusi.

Z góry każdemu musi nasunąć się pytanie: jaki związek tego poematu z Faustem, i jakie podobieństwo, kiedy treść podobna? Żadne. Ton i styl jest wesoły i lekki, pełen humoru i kawalerskiej fantazyi, staroszlachecki, w rodzaju pana Paska raczej, albo Zagłoby. Treść, choć nader poważna, smutna, kryje swoje nauki pod tym pozorem, a figury i sprawa sama, o którą chodzi, są tak zupełnie odmienne, że podobieństwo całe kończy się na tem, że tu, jak tam, jest dyabeł i układ z dyabłem.

Dyabeł kusi Twardowskiego naprzód nowatorstwem religijnem, wyzwoleniem rozumu, Reformacyą. Twardowski zrazu słucha chętnie, ale w końcu po-

znaje, że to się skończy negacyą Objawienia, buntem przeciw Bogu. Odpycha pokusę. Dyabeł przegrał.

Drugi raz kusi on materyalizmem, wiarą w używanie tylko i rozkosze, niewiarą w duszę, w jej uczucia, w szlachetność człowieka. Przegrywa znowu.

Ale w trzeciej próbie wygrywa.

Szlachcic (Twardowski), upojony radością i dumą na polu elekcyjnem pod Wolą, kopie nogą chłopa, upojonego wódką, leżącego na ziemi. Zgrzeszył przeciw prawu miłości. Jest to symbol tego zapomnienia i poniżenia, w jakiem szlachta, doszedłszy do tego, co miała za swój ideał, trzymała inne stany, zwłaszcza lud wiejski.

Na tem koniec. Poemat jest bardzo niezwykły, zadziwiający rozumem; w formie, w języku i stylu tak dobry, tak wolny od zwykłych Szujskiemu zawiłości i nierówności, jak może żaden inny. Ale w tem dziele rozumnem i znakomitem czegoś jest brak. Czego? Zakończenia. Że Twardowski obiecuje samo piekło przerobić, zdobyć dla nieba, to nie dosyć. To jego fantazya i marzenie, może jego złudzenie i przechwałka, a ostatnie słowo zostaje przy szatanie. Powinien był jeszcze być jeden akt, ostatni. Powinien był autor pójść za legendą do końca, i w tym ostatnim akcie pokazać, jak ona, Twardowskiego zawieszonym między niebem a ziemią, czekającym sądu i wyroku.

Z takim ostatnim aktem, z takiem zakończeniem, poemat byłby zupełny.

Produkcya poetyczna za młodu aż nazbyt raczej obfita, a potem przez lat kilka wstrzymana, wzmogła się na nowo. Stanowisko historyka było już

ustalone: »Dzieje« wyszły, a w ślad za niemi szły, i stanowisko to podnosiły, te mniejsze na miarę, nie na wartość, rozprawy, które kiedyś zebrały się razem w tomy »Opowiadań i roztrząsań«. Znalazło się powołanie główne, nieprzeczuwane za młodu: ale tamte dawniejsze zostało przecie, i gdy czas przywrócił względny spokój i równowagę, upomniało się o swoje prawa, wabiło swemi ponętami. Zmieniło się ono znacznie. Pod wpływem historycznych studyów, pod wpływem doświadczeń współczesnych, a i własnych, nieraz staczanych, walk, poetyczne pomysły Szujskiego zwróciły się teraz w jedną głównie stronę. Walka rzetelnego ducha publicznego z udanym, lub wiotkim, walka politycznego rozumu i myśli z błahością, nierozwagą, lub krótkowidzeniem, oto dramatyczne sytuacye i kollizye, jakich on teraz w historyi szuka, jakie wynajduje, jakie chce poetycznie przedstawić. Dlatego staje mu teraz przed oczyma Ossoliński, mąż stanu i charakter, zdolny myśl wielką podjąć, niezdolny wykonać jej wbrew prawu na drodze nieprostej, świadomy jak ratować, wskazujący środki ratunku w chwili strasznego Rzeczypospolitej pogromu, niesłuchany, znienawidzony, oskarżony przez wszystkich, i umierający z pękniętego serca, gdy się przekonał, że nie poradzi. Ossoliński wydał się Szujskiemu bardzo tragicznym, i zaczął o nim marzyć, jako o bohaterze dramatu. Ale gdy rozmyślał o kanclerzu, gdy go widział w czasach Władysława i Jana Kazimierza, wpadł mu w rękę pamiętnik jego z lat młodych, i przypadł mu do serca ten chłopiec młody, z wielką stałością ważący życie, z większą i trudniejszą znoszący niesłusznie pozór złej sławy, a znoszący cier-

pliwie, bo tak mu kazał obowiązek, wzgląd na szczęśliwy koniec wojny.

Z tego wrażenia zrodził się »Dwór królewicza Władysława«, komedya historyczna.

W obozie pod oblężoną Wiaźmą, królewicz jest w wielkim frasunku i rozterce. Musi słuchać Chodkiewicza, hetmana, a kampania, jak ją hetman prowadzi, jemu się nie podoba. Prócz tego, z Warszawy dochodzą go same przykrości i gorycze. Jest jakiś podły szpieg w obozie, który królowi o nim fałszywe donosy przesyła, a król wszystkiemu wierzy, i strofuje. W tem usposobieniu rozdrażnionem utrzymują go i korzystają z tego Kazanowscy: Marcin, Oboźny Koronny, przez swego synowca, Adama, poufałego przyjaciela królewicza. Marcin zazdrości Chodkiewiczowi; nie chce pod nim służyć, Koroniarz pod Litwinem, Kazanowski pod Chodkiewiczem. Stary hetman zna te zazdrości i gniewy, Kazanowskich nie lubi; młodszego nieraz surowem słowem napomina, starszego w rygorze trzyma, bo jest hetmanem i słuchanym być musi. Kazanowscy poddają królewiczowi i pielęgnują w jego duszy myśl, żeby nieczynnego hetmana zostawić pod miastem, oderwać się ze swemi chorągwiami, iść naprzód i zdobyć, co się da. Królewicz jeszcze nie przystał, czuje, że to byłoby złe, ale pociąg ma ku temu wielki.

Ledwo się sztuka zaczęła, ukryta waśń wybucha. Hetman wyznaczył chorągwiom Oboźnego jakieś miejsce daleko, w tyle, między ciurami. Oboźny obrażony, młody Adam obrażony; sam królewicz na jego prośbę wdaje się w sprawę, i prosi hetmana, by zmienił rozkaz — napróżno! Krnąbrnemu właśnie on ustą-

pić nie może, i musi go przełamać. Ale Oboźny zmiany rozkazu nie czeka — sam przechodzi na miejsce, jakie mu się podoba. Stary hetman, gorączka, wypada, ale nietylko karność przywraca, jeszcze Oboźnego w gniewie buławą wali po grzbiecie.

Tego zanadto! Tego Kazanowscy nie zniosą! To i w duszy królewicza przeważa szalę na ich stronę. Plan ułożony; uda się tem łatwiej, że hetman, dla uniknienia swarów, oddzielił obóz koronny od litewskiego. Ten obóz pod rozkazami Marcina pójdzie za nim, gdzie i kiedy on każe.

Zamiar ten odgaduje, przenika młody Jerzy Ossoliński. Długie tajemne narady królewicza z Kazanowskimi, słowa, posłyszane między oficerami i żołnierstwem, naprowadzają go na domysł, i widzi jasno. Co robić? Naradza się ze swoim przyjacielem Jakóbem Sobieskim. Powiedzieć hetmanowi? Nie można, bo w gniewie gotów zrobić coś takiego, co sprowadzi bunt. Powiedzieć królewiczowi? To na nic, bo królewicz Kazanowskich słucha. A coś zrobić trzeba koniecznie. Jeżeli Koroniarze odejdą, to i sami prawdopodobnie przepadną, i oblężenie się nie uda bez tych sił, i karność w wojsku zgubiona — bunt podczas wojny! Więc co robić? Nic — tylko króla uprzedzić. Niech sam przyjeżdża, lub kogo tu przyśle.

Postanowili, i idą już pisać listy.

Tej rozmowy wysłuchał, niechcący, Adam Kazanowski. Ten się zaczaił, żeby wyśledzić, kto szpieguje królewicza, i z ukrycia słyszał wszystko. Co ma teraz począć? Jeżeli tamci zrobią, co zamierzyli, to przepadnie wielki zamiar i chwała Kazanowskich, i ich zemsta nad hetmanem. Ossolińskiego przytem

zdawna nie lubi; drażni go ta powaga, upokarza ta wyższość charakteru. Gdy tak rozmyśla, skrada się do pokoju królewicza szpieg prawdziwy, Tryzna. Adam go chwyta. Schwytany broni się, wymawia, tłómaczy: to nie on pisuje, to Ossoliński z Sobieskim, właśnie w tej chwili piszą, łatwo się przekonać.

Adam ulega pokusie. I plan swój uratuje, i nienawistnego młodego Katona zgniecie. Woła królewicza, oznajmuje, że Tryzna odkrył szpiegów, idą razem, prowadzeni przez Tryznę: zastają Jerzego i Jakóba nad listem.

Królewicz chce go widzieć, odmawiają. Rzuca im w oczy obelgę — szpiegi! Wytrzymują. Wieść gruchła po obozie. Nadchodzi sam hetman, chce widzieć list — odmawiają znowu. Dowód oczywisty ich winy! Jutro dostaną plagi w obliczu całego wojska, i będą wypędzeni z obozu.

Wytrzymali i to — nie powiedzieli.

Nieszczęśliwi chłopcy, zgubieni na sławie, myślą już tylko o tem, jak rodziców o swojej niewinności przekonać, a jeszcze i o tem, jak swój list królowi przesłać. Wtedy, jak Anioł z nieba, staje przed nimi Nowodworski. Ten przybył właśnie do obozu z petardą, która ma wysadzić bramy oblężonego miasta. Podłożyć ją i zapalić, to śmierć prawie pewna. Kawaler Maltański wyprosił młodzieńców od zapowiedzianej sromoty, chce ratować ich cześć, jeżeli sami tego chcą. Niech zaniosą petardę pod bramę.

Chłopcom jak gdyby się niebo otwarło. Zginą: mniejsza o to, ale z honorem. A Nowodworski i królowi ich list doręczy, i przed rodzicami, przed świa-

tem poręczy ich niewinność. Wyznają mu całą prawdę i idą z petardą.

Nowodworski wtedy udaje się z tą prawdą i z wyrzutami do królewicza. Zamieniają się słowa ostre; królewicz nie rozumie, nie wierzy. Ale Kazanowski, gdy się dowiedział, że tamci poszli na śmierć, tknięty wyrzutem sumienia, pędzi za nimi w rozpaczy, jak szalony. Stało się coś złego, coś strasznego!

W tej chwili ludzie wnoszą Ossolińskiego. Petarda wybuchła, brama wysadzona, ale młody bohater śmiertelnie ranny. Kazanowski sam wyznaje prawdę i oskarża się przed królewiczem. Władysław wyrzeka się swego dumnego zamiaru, prosi Jerzego o przebaczenie — zgoda i miłość powszechna. Ale jak prawdę, jak zamiar królewicza zataić przed hetmanem? Jakób Sobieski wpada na pomysł dość dziecinny: powiedzieć mu, że listów pokazać nie chcieli, nie mogli, bo to były listy do białych głów, których sławę musieli szanować. Stary Chodkiewicz uwierzył, Wiaźma wzięta, Jerzy wyzdrowiał, wszystko skończyło się szczęśliwie.

Rzecz ładna, szlachetna; byłaby miłą do widzenia w grze młodych chłopców amatorów; a przeciwieństwo trzech usposobień: prostego, typowo polskiego w Sobieskim, głębszego w Ossolińskim; nie bez szlachetności, ale z namiętną miłością własną w Kazanowskim, trafne i zajmujące.

Ale charakter polityczny historycznych dramatów Szujskiego, na sprawach młodzieńczych, jak ta, choć widoczny, nie mógł wystąpić z całą grozą i mocą. To zamierzał autor osiągnąć w dalszych częściach

Ossolińskiego dopiero. A tymczasem pomiędzy zamiar a wykonanie wsunął się pomysł inny, podobnej natury i tendencyi — sprawa Zborowskich.

O owym młodocianym Samuelu mniemał Szujski, że zginął bez śladu: istotnie rękopism odnalazł się po jego śmierci dopiero. Żałował go, miał w nim pewne upodobanie; i z tej tęsknoty za utraconem dziełem powstało powtórne obrobienie tego samego przedmiotu.

Ale jak odmienne od dawnego! Znać po niem, że przeszły lata i doświaczenia przez głowę poety, że rozszerzyło się jego pojęcie historyi, a pogłębiła jej znajomość, żesama artystyczna biegłość i wprawa rozwinęła się i postąpiła. Żadnych długości, raczej błąd przeciwny, zbyteczna zbitość. Żadnej lirycznej, słodkiej uczuciowości, choć zostaje doskonałość zbyt może idealna niektórych postaci. A co do treści, to już nie sprawa jednej miłości i jednego nieszczęśliwego a sympatycznego człowieka, ale tragedya rozgrywa się pomiędzy Państwem a bezrządem, pomiędzy Rzecząpospolitą a prywatą i rokoszem.

Dlatego też i tytuł inny: nie »Samuel Zborowski«, ale »Zborowscy«.

Trzech ich występuje w pierwszych scenach na zamku krakowskim. Pierwszy to Krzysztof, nie najgorszy, ale prawie najgorszy z braci. Fortunę roztrwonił, sławę i imię sterał, cesarzowi nosił swoje usługi w nadziei bogactw i zaszczytów: teraz wrócił z wytartą suknią i czołem, w dziurawych butach, i za te zasługi domaga się od króla stanowiska i dochodów. Drugi, Jan, uczciwy, poważny, wstydzący się braci, ale czujący żywo banicyę Samuela i nie-

pojmujący, że król jeszcze łaski nie dał. Trzeci, Andrzej, najgorszy, przewrotniejszy od Krzysztofa, ale umiejący zachować pozory tak, żeby materyalnie nikt niby nie miał powodu odmówić mu szacunku. Krzysztof prosi za sobą; tamci dwaj za Samuelem. Król odmawia, a jak w dawnym dramacie, im zuchwalej żądają i domagają się, tem konieczniej odmówić musi. Tylko figury i stosunek ten cały skreślone są tu rysami krótszemi, ogólniejszemi, a nierównie pewniejszemi, niż w dawnym »Samuelu«. Król odmawia, a na dowód, że groźbą na nim nic wymusić się nie da, a zacną służbą wszystko otrzymać, oznajmia, że Zamoyskiemu oddaje pieczęć i rękę Gryzeldy.

Gryzelda się nie opiera; przystaje odrazu. Dawną miłość do Samuela chowa w sercu wiernie, ale wie, że król krnąbrnym i zuchwałym nie może oddać jej ręki, wie, że ta ręką może mu posłużyć, pomódz w jego wielkiem dziele, gotowa jest do ofiary. Zamoyski w rozmowie z królem wymawia się, wyprasza, choć księżniczkę kocha i wielbi, ale zmiany postanowienia otrzymać nie może.

Akt drugi w Zborowie. Andrzej i Krzysztof poprzysięgli zemstę królowi, myślą o zrzuceniu go z tronu. Ale na to, by szlachtę poruszyć, ich siły nie starczą. Trzeba takiego, co ma miłość ludzką, co szlachetnem sercem, rycerską fantazyą, urokiem czynów wojennych, podoba się i podbija. Takim jest Samuel. Ale Samuel ze swojem sumieniem i honorem czy zechce do tego dzieła dopomódz? Jak się dowie, że król Gryzeldę daje kanclerzowi, to kto wie.

Smutne to gniazdo Jastrzębców: ciąży nad niem jakaś atmosfera występku i kary. Stary sługa, Mar-

cina jeszcze, napół obłąkany, widzi w zamku duchy zabitych, Dymitra Sanguszki, Wapowskiego... stara matka, ciemna, skarży się, że szczęścia ni spokoju nie zaznała w tym domu ni chwili, a choć sama nie wie długo, nie widzi, co się dzieje, czuje, że synowie obrócili się źle, a przeczuwa, że zdolni są do zbrodni. Jeden ją kocha, jeden pociesza, jeden dobry, to ten biedny wygnany Samuel, który teraz kryje się przy niej w zamku, czekając na łaskę królewską: dla którego ona marzy o szczęściu — z Gryzeldą.

Wracają starsi. Odmowę łaski, dalszą banicyę, znosi Samuel mężnie. Kanclerstwo dane Zamoyskiemu? słusznie, bo najgodniejszemu. Ale nie pomylili się bracia w rachubach. Gdy się dowiedział o zamęźciu Gryzeldy, wpadł w rozpacz, we wściekłość, i zawarł z braćmi przymierze na króla, na Zamoyskiego. Te sceny między braćmi, ta stara matka, która chodzi jak duch i jak przeczucie nieszczęścia, to jest pełne ponurej grozy, energii i smutku, wrażenie robi prawdziwie tragiczne.

Akt trzeci znowu w Krakowie. Dwoje pacholąt, Bojanowski i Derśniak, patrzą z okien zamkowej sali na przygotowania do weselnego festu. Tłum ludzi, mitologiczne m a s z k a r y zajmują swoje miejsca na wozach, paziom oczy z głowy wychodzą na te dziwy. Wtem maska jedna, cała czarnym płaszczem osłonięta, wchodzi do sali i żąda od Derśniaka, żeby ją ukrył w pobocznej komnacie: chce widzieć zblizka orszak ślubny w pochodzie do kościoła. Chłopiec się boi, nie wie czy to nie duch, czy nie dyabeł, albo nie jaki złoczyńca; ale słyszy, że maska płacze, lituje się i otwiera drzwi. Chwilę potem wychodzi król,

królowa, para oblubieńców, długi strojny orszak dworzan... zatrzymują się pośrodku sali, i Gryzelda w tej chwili, kiedy wolę króla spełnia z poświęceniem swojej, prosi go o łaskę dla Samuela. Łaska już jest. Prosił o nią króla kanclerz, a król podpisał; akt z pieczęciami oddaje księżniczce.

Wtedy ze swego ukrycia występuje Samuel, drze pergamin, łaski nie chce, sam nie przebaczy. Zamieszanie, popłoch; Gryzelda prosi, żeby ją na chwilę zostawiono samą z Samuelem; król się waha, Zamoyski, za chwilę jej mąż, ma prawo rozstrzygać, i wszystkim każe się usunąć. Wie, że to jedno ją pocieszy, jego może nawróci i zbawi. Scena między nieszczęśliwymi kochankami piękna, a tem lepsza, tem dramatyczniejsza, że bezskuteczna. Wszystko, co Gryzelda mówi o cnocie, o obowiązku, o chwale, odbija się, jak groch od ściany, od nienawiści Samuela, który nienawidzić chce i będzie.

Poszła Gryzelda do ślubu: akt kończy się kilkoma słowy rozpaczy Samuela.

Następny znowu w Zborowie: Zgromadzona szlachta, wymową Andrzeja, sztuką Krzysztofa poruszona do łez o krzywdę Zborowskich, gotowa iść za nimi, gdzie zechcą, na Kraków, na króla, wszędzie. Samuel ją gotów prowadzić. Ale starsi bracia pozornie tylko do tego planu należą; mają swój, pewniejszy. Krzysztof, łotr porywczy i namiętny, weźmie z sobą starego strzelca Kościeszę. Przed chwilą kazał mu ręki próbować, i stary w lot zabił jaskółkę: nie chybi i grubszego zwierza, gdy król będzie na łowach w Niepołomicach. A po szczęśliwym strzale, sam dla pewności zastrzeli strzelca. Zimny i wyra-

chowany Andrzej ma drugi plan, jeszcze lepszy, jeżeli tamten zawiedzie. Przez swoich zaufanych przestrzeże kanclerza, że Samuel jest w okolicach Krakowa, a gdy Samuel będzie schwytany i ścięty, to o jego głowę taki podniesie się krzyk i lament, że cała Rzeczpospolita pójdzie na króla...

Ten drugi plan niewiadomy; ale plan Krzysztofa, odkryty przed Samuelem. Gdy stary Kościesza strzelał do jaskółki, stara matka odgadła przeczuciem, że to jakaś próba, jakiś zły zamiar. Zna synów, i we wszystkiem, co robią, boi się zbrodni. Z ich milczenia poznała, że się nie myli, że to spisek na życie króla. Oburzenie, wzgarda, żal macierzyński, dobiły starą i słabą. Padła bez życia. Samuel braci nie wyda, ich zamiary odwróci od głowy króla; a potem pójdzie w świat na zawsze.

Aż do tej chwili jest to zapewne z Szujskiego dramatów najlepszy w układzie, charakterystyką figur znakomity, w stylu prosty i jasny, w patetycznych miejscach wolny od wszelkiego naprężenia i nadmiaru. Odtąd zaczyna się psuć. Jest w zakończeniu rzeczy za wiele, potrzebujących obszernego traktowania, a zbitych, przez to niejasnych, niewyraźnych; i są psychologicznie, może nawet moralnie, do wytłómaczenia nieco trudne.

Druga część czwartego aktu w Niepołomicach, w lesie. Pada strzał; nie Kościeszy do króla — Samuela do Kościeszy. Król uratowany; ale na ten strzał zrobił się popłoch — Samuel schwytany, wszyscy myślą, że on strzelał do króla. Sam na sam z Zamoyskim, Samuel odkrywa mu prawdę. Kanclerz chce go prowadzić przed króla, oczyścić, ale Samuel

nie pozwala. Nie chce, żeby wstyd braci był znany, nie chce i wstydzi się żyć na świecie, jako brat takich braci; jako banita urągający prawu, powinien zginąć i być odstraszającym przykładem dla innych, Samuel woli zginąć. A Zamoyski ustępuje, godzi się na to. W tem jest wielki błąd. Jako człowiek prawy, i jako stróż sprawiedliwości, Zamoyski sprzeniewierzył się swojej powinności; pozwolił na haniebną śmierć człowieka, który zawinił, prawda, ale winę swą zmazał. Jako polityk, jako stróż bezpieczeństwa Rzeczypospolitej i rządu, pobłądził także bardzo. Nie miał prawa zważać na prośbę Samuela: miał obowiązek odkryć przed całym światem, że Krzysztof i Andrzej, mordercy, królobójcy, a tem odkryciem prawdy byłby rokoszanom, buntownikom starł głowę na długo. On nie robi tego, co i z sumienia, i z rozumu zrobić był koniecznie powinien. Dlaczego? Szujski chciał, żeby i Zamoyski, i Samuel byli jak najszlachetniejsi: żeby na jednym nie ciążyła krew banity, drugi, żeby zginął dobrowolnie w uznaniu swoich win. Zamiar łatwo zrozumieć i ocenić, ale wykonanie było bardzo trudne. Co wymyślić na to, żeby obu utrzymać na tych wysokościach heroicznej, idealnej cnoty? To, co Szujski wymyślił, chybiło celu, bo jego Zamoyski, z dobrego serca wprawdzie, ale nie spełnił swego oczywistego obowiązku, ani jako chrześcijanin, ani jako człowiek na czele rządu.

W akcie piątym znowu ten zbytek idealnej wzniosłości i doskonałości. Do Samuela przed śmiercią przychodzi na pożegnanie Zamoyski z Gryzeldą, umierającą. Powiedziała mu niegdyś, przed swoim ślubem, że śmierci jego nie przeżyje, i dotrzymała.

Umiera z choroby, ze smutku, z poświęcenia i żalu nad siły. Żegnają się wszyscy troje, jak żeby z konającymi braćmi i siostrą: potem Samuel zasypia spokojnie. We śnie widzi duchy: Wapowskiego, który mu przebacza, rodziców, którzy błogosławią, Gryzeldy (umarła już), która mu wskazuje niebo. Ta śmierć spokojna i błoga, a na rusztowaniu, nie jest bez oryginalnego, smutnego, ale poetycznego wdzięku. Dodaje go jeszcze Derśniak, który w ostatniej chwili przychodzi pożegnać swego rycerza i przynosi mu ostatnią po Gryzeldzie pamiątkę. — Samuel wychodzi; z za sceny słychać go jeszcze, jak trzy razy woła Chryste.

Ale to nie koniec jeszcze. Wszak to nie o Samuela dramat, tylko o Zborowskich. Gdzież ten gwałt, ten rozruch, wszczęty przez nich po Samuela śmierci? Jest — w jednej, zaraz następnej, scenie.

Zamoyski prowadzi ciało straconego na pogrzeb. Zastępuje mu tłum szlachty z Andrzejem na czele — zda się, że go rozniosą na szablach. Ale kanclerz mówi — mówi, że Samuel był niewinny, że gdyby odkrył tajemnicę jego braci, pokazałoby się, jacy oni zbrodniarze. Lecz zmarłemu przyrzekł, że jej nie wyjawi, więc nie wyjawia. Nie wyjawia, a ta szlachta, przed chwilą gotowa jego rozsiekać, na te jego słowa, w których winy tamtych nie usłyszała — obraca się na Zborowskich, i rozszarpałaby ich, gdyby kanclerz nie powstrzymał, nie obronił...

To na taką historyczną sprawę nie dosyć; na taką namiętność i zaciekłość za prędko.

I za mało także, za prędko, za krótko zbyta jest scena ostatnia. Czy konieczna? jako zakończenie dra-

matu o Zborowskich, nie. — Jako koniec historycznego obrazu i zwrotu, potrzebna, uzasadniona, ale jeżeli być miała, to wymagała znowu więcej czasu, szerszego rozwinięcia.

Scena w Grodnie: król Stefan leży chory, dwóch lekarzy czuwa nad nim i spiera się o jego chorobę. Simoni, własny, strzeże go, ratuje, jak może. Buccella, przekupiony przez Zborowskich, podaje towarzyszowi usypiający narkotyk, żeby potem bezpiecznie otruć króla. Król się budzi, wzywa kanclerza, wypytuje o kuryera i listy. Są listy — Syxtus V. ofiaruje dowództwo w wielkiej wojnie chrześcijaństwa z księżycem, sejmiki już dały instrukcye, podatki wojenne będą uchwalone przez sejm. Król słucha! jutro wstanie, jutro siędzie na koń — chybaby umarł! Zabiera się do snu, odmawia pacierze, za Samuela między innymi, za swoją Gryzeldę, w końcu zasypia.

W tej chwili wchodzi Krzysztof Zborowski z trucizną w ręku. Ale nie otruł. Król budzi się z wielkim krzykiem: »Bóg nie chce tego dzieła! za wielkie było zła władanie« — i umiera. Jego ostatnią myślą była daremność jego życia.

Truciznę dla niego przygotowaną wypija Krzysztof sam.

Był niezawodnie materyał tragiczny w tej śmierci Batorego; tylko był za wielki, za tragiczny na jedną scenę, na dodatek czy epilog doczepiony do sprawy Zborowskich. Trzeba było albo napisać tragedyę o Batorym, w której sprawa Zborowskich byłaby częścią tylko, albo przynajmniej uważać ostatnie plany króla i jego śmierć za przedmiot osobny, za całość dla siebie, która mogła była

następować po »Zborowskich«, jako epilog, ale powinna była zajmować i wypełnić przynajmniej cały osobny akt.

Drobnych wierszy z tych lat bardzo mało, prawie nic; a przynajmniej żadnego — z wyjątkiem »Króla Chrobrego« — nie można na pewno do tego okresu zaliczyć. Jest za to jeden poemat liryczny, czy elegijny? nie wiem jak go nazwać, ale niemałego wdzięku: nazywa się »Rok Polski«. Jakiś kalendarz, na rok 1868, prosił Szujskiego, żeby mu dał jaki ustęp, na ozdobę i przynętę. On — niezła to wskazówka jego wielkiej uczynności i życzliwości dla ludzi, — choć przywalony ważnemi pracami tak, że nieraz upadał pod ich ciężarem, nie chciał kalendarzowi zrobić przykrości, tem mniej pokazać mu, że prośba natrętna, a jego czasu może szkoda, bo mógłby być lepiej użytym. Prócz tego myślał, że każda książka, każde wydawnictwo może być pożytecznem, roznieść i rozsiać jaką myśl dobrą, a kalendarz? — Kalendarz nieraz cieszy się większą liczbą czytelników, niż książki o jednolitej i głębszej treści. Obiecał; a szukając czegoś, coby było do kalendarza dobrze dobranem, wpadł na myśl, żeby opisać »Rok« z punktu widzenia tradycyjnych różnych zwyczajów i zmieniającej się z porami fizyognomii wiejskiego krajobrazu.

Rodzaj jest podobny, jak Pola »Pieśni o Ziemi« i »Pieśni o domu«, którą stary Janusz właśnie niedawno był jakby na parę do tamtej napisał i ogłosił. Szujski nie był nigdy zapalonym wielbicielem Pola, jako poety, ale miał sympatyę czułą, prawie przywiązanie do człowieka. A gdy w tym zamierzonym poemacie chodziło właśnie o charakter bardzo rodzimy,

bardzo wiejski, nic dziwnego, że, nie naśladując, chciał się formą do Pola zbliżyć i stosować. Czy w tę formę nie włożył więcej uczucia, więcej poetycznego na świat spojrzenia, aniżeli było w owym wzorze, to inne pytanie.

Zaczyna się więc ten Rok, »domowego pełen wdzięku, staropolski, kontuszowy«, od Adwentu naturalnie, od oczekiwania Odkupiciela. Potem, rozumie się, wilia, kolędy i szopki, a dalej dobre słowo o odchodzącym starym roku, który ginie w czasie, jak kropla w morzu, ale daremnym i straconym przecie nie był, przecie każdy coś dobrego przyniósł i zostawił:

Stary Rok, Symeon stary,
Wznosi dłonie pełne wiary
Ku dzieciątku, co w pieluchach
Tyle światu dobra wieści,
Tym pociechę — co w boleści,
Siłę tym — co słabi w duchach;
Co o jeden rok przybliża
Wielki tryumf swego krzyża.
I złamane już w szermierce,
Woła każde biedne serce:
Puść mnie, Panie mój, w spokoju,
Bom daremnie nie stał w boju,
Bo cegiełką będę przecie
W wielkim gmachu Twej budowy,
Bo nie zginie na tym świecie,
Żaden włos z człowieka głowy,
Żadna myśl, co w górę wzlata,
Żadna praca i krew żadna,
Ale w wieńcu będzie kwiatem,
Coć tryumfem skroń oplata.

Jawi, jawi się Twe słowo,
Ciałem staje się i czynem.

Niegdy nad dziecięcą głową,
Pomiędzy pasterskim gminem,
Mędrcy stanęli ze Wschodu
Gwiazdą wiedzeni na niebie:
Dzisiaj pielgrzymi do Ciebie
Tłum niezliczony...
Niosą, o, niosą dla Ciebie
Mirrę, kadzidło i złoto;
Mirrę ofiary i trudów,
Złoto prawd, duchem zdobyte,
Niosą kadzidła obfite
Z ołtarzy...
Któremi znaczona
Droga do twoich niebiosów.

Mniejsza o karnawał, o nieuniknione wiejskie kuligi; ale Wielki Post godzien uwagi:

Pod pokuty tej popiołem
Stary człowiek w pył się kruszy,
A urobion w głębiach duszy,
Wzlata nowy archaniołem.

W ciężkiej życia twego doli,
O! módl siły tej skupienia,
O! wyrabiaj tę moc woli,
Co przetwarza pokolenia,
Synu ziemi nawiedzonej!
Ty zbawienia szukaj w sobie!
Ty na wielkim dziadów grobie
Rozpoczynaj przyszłą drogę
Od twej ścieżki zapuszczonej,
Gdzie codziennie stawiasz nogę.
Ty od serca twego, głowy,
Rozpoczynaj gmach przyszłości,
A jak filar granitowy
Dźwigniesz sklep dla potomności!
Ty w codziennych prac szermierce,
Ty w usłudze nieustannej

Między braci rozdziel serce,
Jak twój Mistrz z nieba zesłany.

A zwłaszcza ten Wielki Piątek:

Odtąd każda chwila święta,
Krwią i łzami przesiąknięta.
W głębiach duszy, zda się, twojej,
Straszne dzieło się odbywa:
Gaj oliwny liściem śpiewa,
Kalwaryjska góra stoi,
A w pobożnem serca drżeniu
Czujesz kroki ku zbawieniu...
Czujesz, czujesz, jak się zbliża,
Ku strasznemu drzewu krzyża;
On przejrzysty, nieujęty
Żadną pieśnią, a wrośnięty
W każdą duszę chrześcianina.

Ruch niezwykły się zaczyna,
Pośród wiernych... wytrącony
Każdy z zwyczajnej kolei,
Jakby wszelki kątek ziemi
Ziemią stawał się Judei,
Znaczoną drogi krwawemi
Zbawiciela...
Milkną dzwony,
Wielka w sercu jakaś głusza...
Na Kalwaryi nagie wzgórze
Wielki pochód męki rusza...
Krzyż na szczycie... na tle burze,
Ciemność jakaś niesłychana,
Jakby skrzydła Lewiatana...
Na ciemności postać biała,
Wielka — ramiony krwawemi
Obejmuje przestwór ziemi...

W kościółku wiejskim dziadkowie
Grób jego lampami stroją,

Koronę ma z cierni na głowie,
U grobu rycerze dwaj stoją,
Od krzewów i choin zieleni
Bieluchne odbija ciało;
Wśród smętnych kościołka cieni
Gronko się prostaczków zebrało...

Na klęczkach się suną, gdzie leży
Umarły, rozbity na krzyżu,
I słychać szepty pacierzy...
I na cynowym talerzu
Grosz wdowi dźwięczy wśród ciszy,
Ubogim dany w pokorze.
Może dźwięk Chrystus posłyszy,
A na ubogich wspomnienie
Zbudzi się serce to Boże,
Które złamało cierpienie...

Może się zbudzi. Bez Boga
Strasznoby ludziom na świecie:
Patrz! Nadmiar ucisku gniecie,
Blada na twarzach ich trwoga,
Na rządy świata i ludzi,
Coraz się inny duch wdziera:
Dzisiejszy Bóg... jutro umiera.
A nowy gdzieś w cieniach się budzi...
I walcząc ramiony krwawemi,
W ruiny rozbija świat ziemi.

Patrz! W nieustannej szermierce
Rozpękło szlachetne serce,
Przy czarnem sercu zbrodniarza.
Promień słoneczny bez duszy
W jednakie próchno je kruszy,
Zgniliznę z nich jedną wytwarza.

Pod sklepy nieba miedziane
Daremnie modła podlata,
Daremnie pięści, ściskane

Rozpaczą, sterczą do góry;
Duchy męczeńskie nad chmury
Innego szukając świata,
Padają marnie w proch ziemi...
Nieba — już niema nad niemi!

Przed szeregami ludzkości,
Co goni szturmem w stulecia,
Niema sztandaru światłości,
Wawrzynu niema, ni kwiecia
Dla tych, co padli w pochodzie.
Przez ciemne tylko przestworza
Mkną błędne ognie chwilowe:
Za niemi przez krwawe morza
Goni naród po narodzie,
Syn na ojca stąpa głowę,
Giną w szalonym odmęcie,
Wołając w śmierci: Przeklęcie!

Ale nie! Wielkanoc przychodzi:

Nad ziemię moją skrzydłami
Wylatam w noc tę grobową.
Kościoły świecą grobami;
Pod płachtą ziemi śniegową
Zasiewy ziarna i kości
Czekają wiosny miłości.

Cisza... Przedranne już chmury
Przez niebo suną się sine,
Ból tęskny kędyś do góry
Wygnał skowronka, ptaszynę,
Wzleciał, rozśpiewał się Bogu
U niebios jasnego progu.

Na hasło jego zbudziły
Bezlistne się gaje i lasy,
I słychać ptaszęce hałasy:
U strzechy, u śnieżnej mogiły,

Co cierniem obrosła i wrzosem,
Wołają gardzieli stugłosem:
O, zbudź się! zbudź, Chryste nasz miły!

Ptaszęcym chórem zbudzone
Cmentarne świerki i brzozy,
I wikle nadwodne, i łozy,
I bluszcze, w liście zielone,
Rzuciły na ruin kamienie,
Na kraty więzienia rzuciły,
Wołają w jedno westchnienie:
O, zbudź się! zbudź, Chryste nasz miły!

Zerwały się wiatru powiewy
Przedranne, co wieszczą świt zorzy;
Na niebie się jawi blask Boży.
Wśród pieśni skowronka pieściwej,
Wśród ptasząt hałasu i gwaru,
Wśród szumu gajów i wrzosów,
Cieniste bramy niebiosów
Czerwienią się w łunach pożaru.

Resurrexit, sicut dixit!
W niebo hymn tryumfu buja,
Zmartwychpowstał, jak obiecał,
Alleluja! Alleluja!

Święto samo i pieśni jego pomińmy, choć szkoda i żal pomijać. A zobaczmy jeszcze wiosnę, pierwszą majową wiosnę na wsi:

Wiosna, psotnica urocza,
Na pól wybiegła obszary,
Na nieba wyszła przezrocza...
Skrzydłami ptasząt niesiona.
Przodem przez lasy i jary
Z śpiewem kos leci urwanym,
Strzecha rolnika omszona
Wita się z białym bocianem,

Kukułka, zaklęta królowa,
Gdzieś szczęście w zaroślach chowa.

Kołodziejowe toż czasy,
Zielono, gaisto i wonno!
W cudownej odcienia krasy
Przystraja ziemi się łono.
Więc od błękitu na górach
Czarny odbija bór w dali,
Nad borem słońce w purpurach,
Jak stos ofiarny się pali.
Od boru, gdzieś ku dolinom,
Dębiny, brzeziny płyną,
Jaśniejsze liściem, wiejące
Ku trawom, ku kwiatom na łące,
Ku sadom, co chaty w szeregu
Ubrały w girlandę ze śniegu,
Ku polom, co skiby ciemnemi,
Sięgają w siną dal ziemi.

Polami, w przedświtach zorzy,
Na mgłach, co wiosną przez łany,
Płynie o wiośnie mąż Boży,
Patron tej ziemi zoranej:
Wojciech w pobożnych drużynie
Ku ujściu Wisły tam płynie.
Za nim, w dni potem niewiele,
Z trumny w wawelskim kościele
Święty Stanisław wyrusza,
I trzykroć w krzyża znak święty,
Pasterską laską swą rusza,
Aby urodzaj poczęty,
Rozrodził obfitym się plonem
W ziemicy, której patronem.

I znowu pomińmy Zielone Świątki, a popatrzmy tylko, jak wiosna przechodzi w lato, jak sierpień sprowadza żniwa i święto Wniebowzięcia.

Milkną majowe słowiki,
Szybko się roku bieg toczy,
W zbożowych łanach koniki
W świerk nieustanny, uroczy,
Zawodząc nocą i dniami,
Zdają się pracy duchami,
Co z łona matki przyrody
Wywodzą urodzaj młody.
I pośród koników śpiewu,
Pośród strumyków szemrania,
Wiatr fale zboża przegania,
Od wiatrów się chylą przewiewu,
Kłosami coś szemrzą pobożnie,
A dążą do góry wielmożnie...

Przepiórka, wśród kłosów ukryta,
O żniwo się pyta a pyta.
Czerwcową, gorącą nocą,
Robaczki świecące migocą;
Jan święty cieniami pustyni
Roztwiera gościńce, rum czyni.

Piotr z Pawłem, Niebiescy włodarze,
Gotują stodoły do żniwa,
Skowronek na nieba obszarze,
Jak śpiewał, tak śpiewa i śpiewa...

Na nieba letniej pogodzie,
Pośród bieluchnych chmur wełny,
Ponad gajami w ogrodzie
Przechadza księżyc się pełny;
Na rzekach mosty złociste,
Drżącym buduje promieniem,
Łany szerokie, kłosiste,
Świetlanym obejma pierścieniem.

A morzem kwiatów i kłosów,
Chmurek bieluchnym odmętem
Przechadza się Pani niebiosów

Z dzieciątkiem na ręku świętem:
To w gronie aniołów królowa,
To w śnieżny rańtuch twarz chowa,
Aż długą tęsknotą znużona,
Podniosła ku niebu ramiona:
Księżyc u stóp Jej się ściele,
Aniołków niosą ją chmury,
I szaty ją same do góry
Na wieczne prowadzą wesele.

A tłumy tam ziemi sieroce,
Podnoszą zioła, owoce,
Kłosiste snopy podnoszą,
Do Tej, co wiecznie szczęśliwa,
Ku Bożym nieba rozkoszom,
Pierwsza żniwiarka przybywa.

Jesteśmy z temi dziełami w roku 1868: niebawem zaczną się prace i obowiązki, które będą poetę odrywały od tworzenia. Sprawa utworzenia katedry historyi polskiej przy uniwersytecie krakowskim jest w toku: wskazany głosem publicznym kandydat, cały czas, jaki mu zbywa od zajęć poselskich w wiedeńskiej Radzie Państwa, musi obracać na przygotowania przyszłych wykładów. Zaczęły się one w roku 1869, a jak zwykle w takich razach, w robocie dopiero poznaje się ogrom roboty, rozszerza się jej zakres, rosną jej wymagania, odkrywają się niedostatki w sobie samym: trzeba się douczać, dopełniać, dopędzać... profesor marzy tęsknie o swoich zamierzonych dramatach, ale zacząć ich, zaczętych dokończyć nie może. Kniaźnin leży w tece, leżą przekłady Eschyla, Ossoliński ani się nie zaczyna pisać dalej.

Schodzi tak lat parę; a tymczasem spoczynku i wolnej głowy coraz mniej, pracy nie ubywa, ale

przybywa. Towarzystwo naukowe ma się przemienić w Akademię Umiejętności, starania idą dobrze, może się powiodą. Ale trzeba zawczasu wiedzieć, przygotować, co to będzie i jak? Zrobić dla siebie naprzód, potem dla zatwierdzenia projekt przyszłej organizacyi i program przyszłych czynności. Jeszcze nikt nie wie, może się nawet nie zastanawia nad pytaniami, kto będzie sekretarzem tej przyszłej Akademii, ale już i czynność Szujskiego jest potrzebną do przedwstępnych narad i kroków, i czas jego bardzo tą sprawą zabrany. Jeszcze nierównie więcej, od chwili, jak akademia stanęła i weszła w życie.

Ale na krótko, na parę miesięcy przed jej otwarciem musiał przecie, a do tego zaledwo wstając, nawet nie wstając jeszcze z bardzo ciężkiej choroby, napisać nowy dramat.

Miała się obchodzić czterechsetna rocznica urodzenia Kopernika. Dla naszych ciał naukowych, dla miasta Krakowa, nietylko z prawa i uczucia, ale zważywszy spory o Kopernika pochodzenie i przekonania, z konieczności obowiązek, żeby ta rocznica obchodziła się uroczyście.

Prace i wydawnictwa na tę pamiątkę, nadzwyczajne publiczne posiedzenia Towarzystwa i odczyty, to dla niektórych, dla uczonych. Ale dla ogółu co? Dla ogółu był obraz Matejki na zawsze — na jeden dzień, czy wieczór, miało być przedstawienie w teatrze. Okolicznościową sztukę podjął się napisać Szujski.

Napisał taką, że w teatralnem widowisku wydała się bardzo dobrze — ale w czytaniu i rozważaniu wydaje się lepiej, i na jeden wieczór napisana, godna jest i ma wszelkie po temu warunki, iżby

w pamięci ludzkiej i w literaturze została na zawsze, taka jest rozumna, ważna myślą, a uczuciem wysoka.

Zrobić dramat z Kopernika? dramat o astronomicznych odkryciach? Zadanie nie łatwe. Co począć z taką treścią? »Odę o Koperniku«, jak Osiński, i lepiej od niego, to jeszcze napisać można: ale dramat o obrocie ziemi naokoło słońca?

Szujski treść znalazł i trudność rozwiązał.

Napisał rzecz o obrocie nie ciał niebieskich, ale ziemskich myśli i dziejów około prawd i zasad niezmiennych i niewzruszonych, o kwestyi wiecznie trwającej, i powracającej, stosunku rozumu do wiary. W czasach Kopernika właśnie wybuchła ta kwestya potężnie, jak nigdy przedtem; miała dwie formy, dwie strony, odrodzenie nauk klasycznych i rozpoczętą już, jeszcze ze skutków nie poznaną, reformacyę Lutra. W czasach Szujskiego kwestya ta sama stoi przed nami, tylko dojrzalsza w swoich następstwach, głębsza w dążeniach, potężniejsza w szturmach, bo nie o zmiany w nauce chrześciańskiej chodzi, tylko o samą jej podstawę i istotę: nie o namiestnika Chrystusowego, ale o Chrystusa samego — o istnienie Boga samego i Jego bóstwo, o duszę w człowieku. W czasach Szujskiego zaś było widocznem i dowiedzionem, że po kwestyonowaniu i zachwianiu budowy prawd bożych, przyszło stopniowe zachwianie i ludzkich sumień, i budowy ludzkich społeczeństw, a gdy człowiek sam został jako sędzia i prawodawca swoich żądz i uczynków, musiał z czasem objawić i sformułować zasadę »siła przed prawem«.

To nowe objawienie, skutek ówczesnej reformacyi, przez Kopernika przewidziane, jest treścią je-

dnego aktu, jaki Szujski wtedy napisał, a razem związkiem jego i przystosowaniem do późniejszych, nie kopernikowych czasów.

Mędrzec wykończył właśnie swoje dzieło, o obrotach ciał niebieskich; młodego ucznia i przyjaciela wysyła do Rzymu, żeby dzieło złożył Papieżowi. Ten uczeń, Szwajcar, Reticus, rwący się i zapalony do nowych nauk, spodziewa się i wierzy, że Kopernik w konsekwencyi swojej myśli będzie musiał stanąć po stronie tych nauk. Stary kanonik, Ferber, cenzor ksiąg duchownych na dyecyzyę warmińską, cierpkiem słowem, a ciasnym umysłem chce mędrca wstrzymać od ogłoszenia dzieła. Ta dysputa między pojęciem szerokiem i trafnem religijnych prawd i obowiązków, stosunku wiary do rozumu i wiedzy, jest jedną z rzeczy ważnych w tym dramacie.

FERBER.

Dzieło o niebie, o słońcu i ziemi?

KOPERNIK.

Tak. O gwiazd ruchu.

FERBER.

Wiem, żeś długie czasy
Pracował nad niem, nocami długiemi
Na frauenburskiej wystawając wieży.
A wieść posępna między ludzi bieży
O dzieła twego twierdzeniach i treści.
Mówią, że w dziele, ku wielkiej boleści
Matki kościoła, są tezy fałszywe,
Pismu świętemu przeciwne, drażliwe,
Błędne, rozumów tchnące ludzkich pychą,
Pole dające herezyom i grzechom,
Człek też wątpliwej, ba! bluźnierczej wiary,
Ma powieźć światu te szkodliwe dary,

Nieopatrzone Kościoła uznaniem,
Tchnące zgorszeniem, tem większem, że na niem,
Na dziele zgubnej i przewrotnej treści
Sługi Kościoła nazwisko się mieści.

KOPERNIK,

Prawda zgorszeniem być świata nie może,
Ja w dziele mojem śledzę prawdy Boże.
Sumienie moje przed błędem je strzeże:
Księga, świętemu Ojcu poświęcona,
W nim szuka mistrza, obrońcy, patrona.
Uczonych rzymskich grono ją rozbierze.
Tu pod rozsądek dawać jej nie mogę,
Bo nikt nie wchodził z was na moją drogę,
Nikt gwiazd nie badał.

FERBER.

Lecz każdy z nas bada,
Pismo, i każdy na tyle posiada
Teologicznej wiedzy, miły bracie,
By wskazać, żeście z pismami w rozbracie
Świętemi: każdy z Jozuego księgi:
Powie, że Pan Bóg ognistemi kręgi
Słońce ze wschodu na zachód prowadzi,
Ażeby ziemskiej świeciło czeladzi;
Że ruszać ziemię, a słońce wstrzymywać
Jest bluźnić, Boży cud kłamem nazywać!

KOPERNIK.

Kiedym ja dowiódł w oskarżonem dziele
Że ziemia koło słońca się obraca.

FERBER.

Czartowski obłęd, archaniołów praca
Spadłych, pysznego szatana wesele,
Pokusa, którą w raju zgubił ludzi!

KOPERNIK.

Nie! Bóg, nie szatan, badawczego budzi
Ducha w stworzeniu; Bóg, co rozum daje,

Jego użytku zakazać nie może;
Gdybyś w gwiaździste poszedł ze mną kraje,
Gdybyś tam ze mną badał dzieła Boże,
Widziałbyś jasno, jak ten dzień, co świeci,
Że mówię prawdę.

FERBER.

A pismo? raz trzeci
Pytam o Pismo?

KOPERNIK.

Chcesz, by Pismo święte,
Co wielkie drogi wskazuje zbawienia,
Co rozumowi głosi niepojęte
Prawdy, ratując słabość pokolenia
Ludzkiego, z ziemią prawa niebios wiąże,
Było zarazem ducha wyręczeniem,
Wiedzą o wszystkiem, nauką, natchnieniem?
Chcesz, aby było nieustannym cudem,
Prawd skarbcem, które myśli zdobyć trudem
Człek może, skazan przez Boga na trudy?
Chcesz, aby człowiek, patrząc na te cudy,
Nie miał zasługi wiary, walk zasługi?
Nie! Nie! Wbrew tobie stanie szereg długi
Ojców Kościoła, mędrców i badaczy,
Spory uczone i walki Kościoła:
Ten szereg z księgą gdy mnie mą zobaczy,
*Ecce haeresis!* na nią nie zawoła!

FERBER *(ponuro)*.

A jednak Kościół, Matka nasza święta
Umiał być groźnym dla tych, co wzruszali
Pismo! Na stosie doktor Huss się pali,
Doktora Lutra płoną argumenta.
Sawonaroli nawet habit biały
Chronić nie zdoła. Świat dzisiaj zuchwały
Zgorszenia pełen i szatańskiej pychy!
Do nieba piętrzy się śmiertelnik lichy,
I w chmury stawia babilońskie wieże,
Aż Bóg pomiesza i rozum odbierze.

KOPERNIK.

O, i mnie bolą te głosy niestrojne
Świata, bunt ducha, co wstrząsa narody,
Mnie, com zapatrzon w niebiosa spokojne,
W odwieczny przykład harmonii przyrody!
Com się pokory pod niebios sklepieniem
Uczył, proch marny w stworzenia bezdeni.
O, i mnie boli, żeśmy w tej przestrzeni
Odwiecznem ładu i rządu przeczeniem.
Ale pociechą, gdym spojrzał po ziemi,
Zdala mi Piotra kopuła jaśniała,
Jako sklep niebios okrągła, wspaniała,
Nad wątpiącymi i nad wierzącymi
Błogosławieństwa krzyżami stercząca,
Forteca prawdy, miłośniczka słońca!
Ty gromy liczysz z wysokich jej szczytów:
Promieni łaski ja zliczyć nie mogę,
Które sypała na nauki drogę
Od tego krzyża wśród włoskich błękitów!
Tej, której bramy piekła nie przemogą,
Rozumy ludzkie przestraszać nie mogą.
Pod jej też cieniem przyjaźnej otuchy
Stuleci wiedza szukała opieki:
Wstały z grobowisk starożytnych duchy,
Wstały Rzymiany uczone i Greki,
Dzięki opiece Juliusza, Leona,
Wstał duch Homera, Hipparcha, Platona!

FERBER.

Nieszczęsne czasy! Obłęd opłakany!
Który herezyi staje się przyczyną;
Naprzód Platony, Greki i Rzymiany,
Potem Erazmy i Lutry nam płyną.

KOPERNIK.

Wiara Chrystusa, jasne światło Boże,
Przed żadnym duchem w przestrzeni stuleci

**Cofać się, lękać żadnego nie może,
Jak probierz prawdy dla każdego świeci!
Ona każdemu sądem lub zbawieniem!
Krzyż, odkąd stanął nad ludzkiem plemieniem,
Ludy i duchy do walki wyzywa:
Mierzy się z każdym, wnętrze mu rozkrywa:
Każdy boleścią, co mu serce kraje,
Walką, tęsknotą, natchnienia podrywem
Wielbi go, niby Dawidowym śpiewem —
Życiem i śmiercią świadectwo mu daje!
Co ludzkie, rwie się ku krzyża ramionom
Modlitwą, żądzą wiedzy, szczęścia żądzą,
Cnotą cnotliwi, przeczeniem, co błądzą,
Piekło pokusą ludzkości stawioną
Rwie się pod Chrysta ramiona olbrzymie,
Bo wzruszył wszystko... bo mu Bóg na imię!**

Ale to nie jedyna walka. Albrecht, Wielki Mistrz krzyżacki, jeszcze nie zlutrzony otwarcie, ale już świadomy dobrze tego, co zrobi i gdzie mierzy, chce skorzystać z szerzących się w Warmii religijnych nowości, żeby wywołać rozruch, kraik ten niby dla uspokojenia zająć, i od Rzeczypospolitej oderwać. Albrecht nie przypuszcza, nie pojmuje, żeby człowiek mądry, jak Kopernik, mógł naprawdę wierzyć, a chciał naprawdę wiernym zostać, wiernym Kościołowi i Rzeczypospolitej. Liczy na niego, jak na pewnego sprzymierzeńca: a że właśnie po śmierci biskupa Kopernik jest administratorem dyecezyi, więc przychodzi do niego sam w swojej osobie, z propozycyą, żeby mu zdał opiekę nad Warmią.

Kopernik zrazu nie rozumie, nie przypuszcza takich rozmiarów złego, takiego wyłamania się z pod praw sumienia i honoru: myśli, że Mistrz chce swój przeżyty zakon odrodzić:

ALBRECHT.

Po myślach wiążą się w przymierze
Stany i ludzie, mieszczany, rycerze,
Księża i mnichy, pany i książęta,
By walczyć wspólnie, wspólnie kruszyć pęta,
By wznieść do góry, co do życia dąży.
Przyszedłem do was, myśli mej chorąży,
I poświęcenia szukam waszej dłoni.

KOPERNIK.

Do wojen krzyża myśl nareszcie kłoni
Rycerski Albrecht! Szczęśliwe natchnienie!
Gorąco sprawę polecę królowi,
Czekają Rusi szerokie przestrzenie
Oddane na łup Turcyi i hanowi,
Tam, wedle rady Łaskiego dojrzałej,
Zakon, znalazłszy cel, niech szuka chwały!

ALBRECHT.

Uczony mężu, czy w zakon wierzycie,
Czyli szyderstwem rzucacie mi w oczy?

KOPERNIK.

Wy człowiek młody, w tej piersi jest życie,
To życie może krzyż zakonny tłoczy,
Stąd wasze walki, szarpania, podróże,
Niewdzięcznie w kraju podżegnięte burze!
Jeźliście z krzyżem pogodzili oczy,
Jeźli wam duszy spokoju udzielił;
Czemużby zakon z tej piersi nie strzelił
Odrodzon, gotów do świętej posługi?
Czemu w was nie wstał założyciel drugi?

ALBRECHT.

Takiej mi Pan Bóg łaski nie użycza.
Młode ramiona szata zakonnicza
Przygniotła; teraz, kiedy pomężniały,
Agrafa płaszcza spękała w kawały.

KOPERNIK.

Jeśli zbyt młodo składaliście śluby,
Jeżeli krzyża unieść nie możecie,
Papież, od wiecznej ratując was zguby,
Może pozwoli, że krzyż ten zdejmiecie.

ALBRECHT.

Inaczej ludzie, niewierni swym wotom,
Dzisiaj habity i ornaty miotą.

KOPERNIK.

Tak — jeśli wiary nie pomną i cześci.

ALBRECHT.

Nie — oni pomną, co wiek świata wieści,
Co duch ludzkości w głębiach swoich chowa...

KOPERNIK.

Starsze od wieku są sumienia słowa!

ALBRECHT.

Czyn dokonany dzisiaj światem włada!

KOPERNIK.

Lecz zdradą dotąd pozostała zdrada.

ALBRECHT.

Odwaga czynu zdradą się nie zowie,
Niepodległymi bywali mistrzowie,
Cesarstwu tylko korni i papieżom;
Dziś z woli Rzymu, z cesarstwa słabości,
Do sarmackiego królestwa należą.
Jeśli do dawnej przywrócę wielkości
Niemieckie imię, w brew sarmackiej pięści,
Jeśli mym myślom zmienny los poszczęści:
Zdrada dzisiejsza jutro w laur wyrośnie,
By moje czoło otoczyć radośnie.

KOPERNIK.

Czy mnie ostrzegasz, czy pomocy mojej
Wzywasz?

Zaczyna rozumieć: a za chwilę zrozumie już zupełnie, i odpowie.

ALBRECHT.

Nie! w kanonicze szaty przyodziany
Człek wielki, chluba uczonego świata,
Człek wielkiej miary, co się duchem brata
Z najwspanialszemi stulecia duchami,
Człek, który siłą będzie między nami!
Wiesz jaka otchłań pod stopy waszemi,
W stalach katedry śpiący kanonicy,
Katedra pusta, głuchy gwar ulicy,
Miesza się tylko z psalmy szeptanemi
Z starych brewiarzów: dzwon wielki kościoła
Woła na modły, lecz napróżno woła.
W ustronne domy biskupiego miasta
Śpieszy mieszczanin, dziecię i niewiasta,
A psalm z nowymi mistrzami nucony
Przynęca silniej, niźli wasze dzwony!
Jeśli tym mistrzom hasło będzie danem,
Rozpęknie kościół, uderzon taranem
Psalmu, co z piersi ludu tego wzlata;
Spadnie z mych ramion zakonnicza szata,
Pożar, co Prusy, Pomorze zapali,
Kościół i władzę Polski tu obali.
Człowiek, co myślą potężną swą sięga
Dalej niż Luter, niźli biblii księga,
Feniks z popiołów tej starej budowy,
Jeden wstrzymuje cios — dawno gotowy!
Dłoń, co się porwie na takiego męża,
Jest zwyciężona — nawet gdy zwycięża.
Więc ją podaję! niech pracę mą dzieli
Duch, starą ciemność co światłem przenika,
Między imiony oswobodzicieli
Przy mnie niech stanie imię Kopernika.

KOPERNIK *(w najwyższem oburzeniu).*

Kto ci dał prawo, ty! bez czci i wiary,
Przychodzić do mnie z takiemi ofiary?

Kto ci dał prawo plwać na mą sukienkę
Duchową, z mnichem mieszać mnie wywłoką?
Kto ci dał prawo myśleć, że potokom
Czasu nie stanę mężnie oko w oko,
Że im zdradziecką chcę podawać rękę?
Kto ci powiedział, że zetrę to znamię,
Które na wieki mnie z kościołem wiąże?
Kto ci powiedział, że przysięgę złamię,
Którą polskiemu złożyłem królowi?
Jurgieltów obcy nie dawał mi książę,
Zdrad nie knowałem przeciwko tronowi,
Pokrewieństwami nie zdobyłem zdradnie
Zaszczytów moich, by wąż przyczajony
Pokąsać rękę, która mnie podniosła:
Bogu i Polsce służyłem przykładnie,
Albrechtowego nie znając rzemiosła!

ALBRECHT.

Kto mi dał prawo? mędrcze hipokryto!
Ty sam! — nauką twoją i żywotem,
Ty sam twą głową nad współczesnych wzbitą,
Częstszą pod niebios gwiaździstym namiotem,
Niż pod ponurem kościoła sklepieniem;
Ty sam myślami, co płyną strumieniem,
Z twego odkrycia wiatry Boreasza,
Aż się oburza mistrz, aż się przestrasza!
Mędrce pogańscy w duchownej sukience,
Obalający wiarę w cichej celi,
Wy chcecie, aby podnoszącym ręce
W kłamanej modle, w augurskiej postawie
Ludzie do głębi sumień nie zajrzeli?
By nie wywlekli, co bije jaskrawie
Z ócz powleczonych obłudy zasłoną:
Nie! w ucznia twego szczerych oczach płoną
Te myśli, ludu wzruszają sumienie.
Nie wstrzyma burzy, co huczy straszliwa,
Roztropność żadna, żadne zastrzeżenie;
Jak proch strzelniczy, co Szwarca rozrywa,

Myśl, ukrywana w głębi twego łona,
Zwróci się na cię, sztuki twe pokona!

KOPERNIK.

Jaka myśl? Cóżeś wywiódł z mej nauki?

ALBRECHT.

Zasady mojej panowania sztuki,
Ambicyi mojej bezpieczne schronienie!
Patrzaj! przed tobą nie brakło obroży...
Z niebios na ziemię zstępował rząd Boży,
Chrystus biskupom powierzył go Rzymu,
Wśród śpiewu psalmów i kadzielnic dymu,
Rzym na cesarzy i królów go zdaje,
W pierścień chrześcijaństwa wiążąc świata kraje:
Ty, mistrzu, lotne przypiąłeś mi skrzydła:
Wolnym od przysiąg i ślubów wędzidła!
Bóg wielki, słowy cofnięty twojemi,
Dojrzy zaledwie, co czynię na ziemi,
Jak mieczem śmiałym, co chrzęści o zbroję,
Z ciała chrześcijaństwa kęs sobie odkroję!
Zuchwałym bywał, kto śmiał; w jego duszy
Własnej paliło się światło katuszy;
Dziś Luter cnoty nie żąda, lecz wiary,
Ty w głębie niebios odsuwasz grom kary!
Za Lutrem z biblią pójdzie ludzi rzesza,
Za tobą każdy rozumny pośpiesza,
W bój o pierwszeństwo, o władzę na świecie.
Aż najsilniejszy mniej silnych rozmiecie,
Aż na szalbierczych dawnych praw rydwanie
Rozumnej siły twarde berło stanie.

KOPERNIK.

Krzyż, co od bluźnierstw na piersi się zgina,
Dzieje mi twego zakonu wspomina.
Jak ty, on kłamał przez mnogość stuleci
Hasłu zbawienia, co na piersi świeci:
Obrońca wiary, żył świata rozbojem,
I pychę w czynach miał, co w słowie twojem!

Wtedy Bóg z niebios, Pan zastępów stary,
Zesłał nań Grunwald, archanioła kary,
Że dziś, po wieku, jeszcze nędznie kona,
W awanturnika upadłszy ramiona.
O! jeśli taką ma być przyszłość ziemi
Na czas — że cofnął ją Bóg w nieba tonie
Zolbrzymiałego światy bezdennemi,
A gasnącego w równych tobie łonie.
Tam w gwiazd przestworach ukryje on głowę,
Pan, co na wieki karę swą rozkłada;
A kiedy wzrosną Bogi twoje nowe,
Pycha rozumu podrośnie i zdrada,
Zbliży się z światów nieskończonych dali,
Drugim, straszniejszym, was Grunwaldem spali!

ALBRECHT.

Wpierw, nim się wieków tych wysnuje wątek,
Ty dzieła mego zobaczysz początek!

*(Odchodzi).*

Na spełnione nadzieje Albrechta patrzymy: na spełnienie przepowiedni Kopernika czy nie widać już jakich znaków?

Albrecht odszedł: mieszczanie, przez niego podszczuci, przychodzą urągać Kopernikowi. Jeden z nich, za kanonika przebrany, pędzi kijem chłopaka, przebranego za Ziemię, żeby biegał koło drugiego, przebranego za Słońce. Żartów, obelg, nawet bluźnierstw, naturalnie, nie brak. Ale smutno się kończy ta karnawałowa zabawa. Administrator dyecezyi uważał dawno, że niepokój w mieście może wyrosnąć na rozruch, i uprzedził: oddział wojska wchodzi do Frauenburga właśnie w chwili, kiedy gawiedź wdarła się do Kopernika. Gawiedź pierzcha. Albrecht, naturalnie, jako wierny lennik, przyszedł tu po to tylko, żeby ją

w karbach porządku utrzymać! Ledwo się to skończyło, odbiera Kopernik list z Rzymu, wiadomość od kardynała Schomberga, że Papież dedykacyę dzieła przyjmuje, a rychłego jego ogłoszenia pragnie:

»Prawdą Bóg wielki będzie pochwalony:
»Głosisz ją: Rzym ją z radością powita«.

»Maryna Mniszchówna« (rok 1874), składa się z dwóch części osobnych: »Dymitr Pierwszy« i »Dymitr Drugi«. Pierwszy ma się za samozwańca, ale jest naprawdę synem Iwana, jak się po jego śmierci pokazuje; drugi jest samozwańcem zupełnym ze świadomością swoją, Maryny, wszystkich, prócz oszukanych ciemnych stronników.

Maryna jest natura energiczna, dzielna, może stworzona do rządzenia, przedewszystkiem i nadewszystko dumna. Tak dumna, że sama siebie nie rozumie, nie może swoich pragnień i myśli pomieścić w swojem zwykłem życiu młodej dziewczyny: nie może sobie dać rady. Niespokojna, unoszona jakiemiś marzeniami, z których sobie sprawy zdać nie umie, odurza się i zagłusza te porywy wyobraźni szaloną jazdą na szalonych koniach, zachceniami, których ojciec ani zrozumieć, ani poskromić nie może. Kocha ją, stara się o jej rękę, Jan Sapieha — ojciec mu sprzyja. Panna także — gniewa ją, upokarza, ale nęci i podbija jego umysł stateczny, jego wola pewna siebie, jego charakter pewny a niezłomny. Kochałaby go, kocha go nawet, ale kochać nie chce; coś się w niej tej miłości i temu zamęściu opiera. Co? duma. Ona wie, że temu musiałaby ulegać, ten nie zrobiłby, nie dałby zrobić nic, coby nie było zupełnie prawem

i szlachetnem; że pomiędzy dumą, a cnotą przy nim musiałaby zawsze cnotę wybrać, a dumę poświęcić. To ona instynktem czuje, tego się boi, i dla tego Sapiehy nie chce.

A kiedy tak waży się sprawa jego zalotów, przychodzi do Sambora wieść o dziwnym człowieku, który się podaje za syna i spadkobiercę Iwana; o tem, że uwierzyło w niego dużo kozaków i ludu, o tem wreszcie, że ten dziwny pretendent do korony pojechał do Krakowa, królowi swoje pretensye przełożyć, że w nich jednak coś słusznego i prawdziwego być może... Wreszcie, wieść najważniejsza: pretendent z Krakowa obraca drogę na Sambor, i tylko patrzeć, jak stanie w zamku.

To rzecz z góry ułożona pomiędzy nim, a wojewodą Sandomierskim.

Pretendent potrzebuje wojsk i pieniędzy panów polskich: za poparcie i pomoc obiecuje dać koronę wojewodziance. Mniszech, z dumy podobny do córki, w prawdę jego słów i w jego prawa nie wierzy; ale sukces przypuszcza, i daje się porwać nadziei, która głaszcze jego pychę.

Ale jest w układzie jeden jeszcze powód, którego wojewoda nie zna, a który się odsłania w rozmowie, jaką młody pretendent zażądał mieć z przyszłą narzeczoną. Niegdyś, rok temu, czy dwa, Maryna bawiła u swojej siostry w Wiśniowcu, weszła raz do cerkwi. Był tam młody czerniec, od dziecka w monasterze chowany, bezsennością, postami, umartwieniami tłumiący i zwyciężający wszelką myśl o ziemskiem życiu i szczęściu. Ale ujrzał ją — i w jednej chwili świat się zmienił dla niego, i on się zmienił.

Czart nie dał w klęczniku usiedzieć,
Że czerńca szacie ubliżając świętej,
Wobec Chrystusa, co wisiał rozpięty,
Szalonym ku wam rzuciłem się skokiem,
Żem padł na ziemię, znicestwion urokiem
Waszym, i dłonią żelazną, skurczoną,
Nim się obronić mogliście napadu,
Oplótł tę kibić, jak liść winogradu,
Chwilę przy łonie czuł dziewicze łono —
A ramię wasze, silne jak Bellony,
Pchnęło mię o ziem, gdziem padł znicestwiony.

Uciekł z klasztoru: poszedł między ludzi — musiał zostać czemś takiem, iżby mógł jej zażądać, ją posiąść. Ludzie uwierzyli. Czemkolwiek jest, wszystko jedno! Dla niej on na siłach zdobyć tron, z nią, przy niej, zdobędzie świat i rzuci jej pod nogi.

Maryna pyta na osobności ojca, czy wierzy w tego Dymitra? Odpowiada wymijająco: oczywiście nie wierzy. Ale udawać mogą, i będą. Przyjmują oboje. Sapieha z nimi na wyprawę iść nie chce. Tylko gdyby kiedyś Maryna była w niebezpieczeństwie, gdyby potrzebowała obrony i rady wiernej, niech da znać, a przybędzie.

Zwycięstwo! Dymitr i Maryna w Kremlinie! Ale instynkt polityczny i duma Maryny czuje, że na zwycięstwo impetu starczyło, na panowanie warunków niema, a rzeczy odrazu zaczynają się źle. Polacy psują sprawę swoją swawolą i butą; bojarowie, pokorni w oczy, za oczami gotują bunt, albo czekają sposobności. Król Zygmunt ociąga się z uznaniem, a Wasyl Szujski zręcznie łudzi go nadzieją, że sam mógłby zasiąść na tym tronie. Maryna to odgaduje, widzi, i próbuje przeciągnąć Szujskiego na swoją

stronę innemi widokami. Nie król Zygmunt tutaj, nie — ale Zygmunt stracony, a na jego polskim tronie Dymitr, i ona? to myśl wielka, to dzieło, któremu poświęcić się warto. Wasyl przebiegły, mądry: nie chce. Ani to potrzebne, ani bezpieczne; przez takie połączenie mogłaby się tu dostać zaraza polskich wolności. Nie pozyskała go! Rwie się jej w ręku jedno po drugiem. A na domiar złego, ten Dymitr bije się jak lew, ale po bitwie miękki, czuły, rozkochany, dobry, w lasach poluje, albo u jej nóg leży... cóż z tego, że go opanowała, że go prowadzi, jeżeli on poprzestaje na tem, co ma, a więcej nie żąda. Ona go lekceważy — on ją zaczyna znać i sądzić. Ale tak zakochany i opętany miłością, że przez tę miłość potrafi w jej oczach być i wielkim i groźnym. Pójdzie na Turcyę — Stambuł rzuci jej pod nogi; ale jeżeli ona taka będzie twarda, a bez dobroci i względu, jaką się pokazuje, to niech przed nim drży.

Marzy biedny Dymitr — uczuciowy, szlachetny. Nim pójdzie na Stambuł, musiałby na swoim tronie się ustalić, a ten tron z każdym dniem widoczniej się chwieje. Między ludem coraz głośniej szerzy się wieść, że on szalbierz: w mieście rozruch gotowy; Wasyl Szujski na jego czele, więc Wasyla uwięzić. Maryna rozkaz wydaje, ale napróżno. Niebezpieczeństwo wzmaga się z każdą chwilą. Wtedy przychodzi jej myśl szalona: opuścić, wydać, zdradzić Dymitra, a samej zostać na tronie. Pochlebcy łudzą ją umyślnie, że to się udać może. Dymitr, kiedy ją zgaduje, kiedy się na niej poznał i zawiódł, obojętnieje na wszystko. Gdyby nie swoją głową rządziła, Szujskiego więziła i skazywała na śmierć, on byłby może zdołał się

utrzymać, a wielką zwycięską wojną ten naród do siebie przywiązać. Teraz za późno: on zgubiony, Maryna niech sobie radzi sama. Żeby jej jakąś deskę ratunku zostawić, ułaskawia Szujskiego, niby na jej wstawienie, ale i to napróżno. Ułaskawiony wzruszyć i przejednać się nie dał; a w rozmowie ostatniej z Maryną, jednej z lepszych scen sztuki, nienawiść wzajemna obojga przemawia z niezaprzeczoną energią.

Jeżeli jest sposób ratunku, to jeden tylko: przekonać lud, że Dymitr jest synem Iwana. Jak o tem przekonać? Od długich lat żyje w monasterze wdowa Iwana, Marfa, postrzyżona na mniszkę z rozkazu Godunowa. Marfę sprowadzić; prośbą lub groźbą skłonić ją, by Dymitra poznała i przyznała za syna. Imię to samo, osoba inna, niż u Demetryusza Schillera. Tamta się chce mścić za swoje nieszczęście, i gotowa jest uznać Samozwańca, choćby sto razy był Samozwańcem; ta jest bierna z natury, bierna ze wszystkich kolei życia, a tak złamana nieszczęściem, że obojętna na wszystko. Żyje tylko wspomnieniami swojego małego zabitego synka, a jedyną pociechą, jedynem szczęściem, jest jego sukienka, która została, którą nosi przy sobie, rozwija, ogląda, pieści. Piękne to i rzewne — ale sukienka małego Dymitra przypomina smutek Konstancyi w królu Janie Szekspira, ten smutek, co zastępuje dziecko, ma jego twarz, ruchy, patrzy jego oczyma, mówi echem jego głosu. Sukienkę zabiera Maryna — odda, jeżeli Marfa przed całym ludem uzna Dymitra za syna. Ona gotowa: ale Dymitr nie chce, nie chce okrucieństw nad biedną, starą, nieszczęśliwą, oddaje jej sukienkę. I w tej chwili czują oboje jakiś pociąg dziwny, tajemniczy;

chcieliby na siebie patrzeć, mówić z sobą — za późno! Walka zaczęta, Dymitr po krótkiej obronie pada. Marfa, wdzięczna za litość, klęka nad nim i chce mówić pacierz, a schyliwszy się, widzi znamię, krzyż łaciński na jego piersi. To pewno wszystkie lackie dzieci rodzą się z takiemi krzyżami?... jej mały Dymitr miał taki, i za to jej urągano, że urodziła lacha, łacinnika... Jakto? wszystkie dzieci polskie, katolickie, nie są tak znaczone, a więc?... a więc? — Obie kobiety poznają teraz, że Dymitr był synem Iwana, prawdziwym, Marfa umiera na miejscu ze wzruszenia, Maryna w tej chwili czuje jakieś nowe życie w łonie, czuje się matką. Już nie dla siebie tylko, dla swego dziecka, postanawia zostać i panować.

Taka jest pierwsza część Maryny. Piękne ustępy są, ale całość, przyznać trzeba, pomyślana lepiej, niż wykonana. Jakoś to wszystko, zwłaszcza w dwóch dalszych aktach, idzie za prędko; zamysłów i uczynków za wiele, przez to nie dość wyraźne, nie dość rozwinięte. Figury poboczne, ich wyrachowania, zamiary, postępki, może stosunkowo zajmują miejsca za wiele, a dwom głównym zostaje go za mało na na pokazanie wszystkiego, co chcą i czują. Wymyślone są bardzo dobrze, rozumnie; nie są dość stworzone. Zwłaszcza Dymitr ze swoją naturą sympatyczną, bohaterską, mógłby być figurą bardzo piękną, gdyby stał więcej na przodzie, był bardziej na widoku. W jego roli zaś i postaci jest jeden rys bohaterstwa fałszywy, niesmaczny. Kiedy zwyciężył w bitwie, ramię z mieczem tak mu się z wielkiego zapału kataleptycznie wyprężyło, że go zgiąć nie może. Takie fizyczne ułomności, czy przypadki, nic nie ozna-

czają, i nic nie dodają w poetycznych kreacyach. Maryna w swojej niewieściej żądzy panowania i pysze, znowu dobrze wymyślona, twarda, gotowa do zbrodni, jak lady Macbeth; politycznie zdolna, jak Elżbieta, czująca się na siłach panować sama przez się, jak Semiramida, w teoryi ma wszystko, co w jej postaci być powinno, ale w praktyce wrażenia wielkiej siły i namiętności nie robi.

W części drugiej ukaranie pychy: Maryna przez pychę dochodzi do upokorzenia, do poniżenia do ostatniej poniewierki i sromoty.

Rozniosło się to między ludem, że Dymitr był prawym następcą Iwana, że go matka poznała.

A jak nieraz w podobnych przypadkach, rozeszły się i baśnie, że nie zginął, że uszedł; że się ukrył, że wróci: jak nieraz, pokusa dla śmiałych oszustów i awanturników.

Ten, który teraz udaje się za Dymitra, sam nie byłby wpadł na ten pomysł. Namówił go, uderzon zdumiewającem podobieństwem, Muchowiecki, awanturnik ostatniego rzędu, który się do wyprawy Mniszcha przyczepił, zdradził już i Dymitra i Marynę, teraz próbuje szczęścia przez tego szalbierza i przy nim. Dymitr drugi jest religijnym fanatykiem, mistykiem po części, starowiercą zagłębionym w czytaniu Pisma Św., człowiekiem ciemnym zresztą, prostym chłopem, a naturą dziką.

Ma nienawiść do panowania Beliala, ma nàdzieję, że przyjdzie panowanie synów bożych. W czasach zaburzeń i wstrząśnień zdarzają się takie prorocze i królewskie powołania i złudzenia: Jan z Leydy był może do tego starowiercy podobnym. Kiedy mu

powiedziano, że jest zupełnie taki, jak Dymitr, że może opanować tron, jego fanatyzm dał się porwać, bo mówił, że to Bóg daje mu sposobność, a jego wybiera za narzędzie. Nadzieja korony, potęgi, zbytku, używania, zawraca mu głowę i działa na jego zmysły. Kiedy mu przynoszą bogate suknie, łechce go miękki jedwab, olśniewają złote hafty, budzi się w nim tysiące pragnień nieznanych.

Ale powodzenie jego szalbierstwa zależy od Maryny. Jeżeli ona go za męża nie przyzna — zginął.

Maryna, uprzedzona, rozważyła już dobrze, że sama tego tronu nie opanuje, dla spodziewanego dziecka nie uratuje — ale gdyby się znalazł Dymitr... kto wie...

Kiedy więc on czeka jej pośród zgrai czy tłuszczy, która jest jego wojskiem, niespokojny, niepewny swego losu, ona przybywa, i w obliczu tych wojsk rzuca mu się na szyję z uniesieniem szczęścia i miłości, w długiej przemowie ledwo może zmieścić te uczucia, które jej rozsadzają serce. Ale gdy zostali sami, we dwoje, on nie godzi się na udanie, na komedyę: jest carem naprawdę, a więc jej panem i mężem. Uznała go, i on teraz silniejszy od niej, a chce być tem, czem go zrobiła. Muchowieckiego, jedynego powiernika szalbierstwa, zabił własną ręką: teraz tylko ich dwoje wie o prawdzie, a ona wspólnictwem szalbierstwa do niego przykuta, jeżeli chce być carową, musi cara słuchać i być jego sługą. Piękność, jakiej nigdy nie widział, zbieg okoliczności, który mu ją w ręce oddaje, budzi w nim wszystkie żądze, wszystkie siły, i wszystkie wściekłości. Sztylet w ręku Maryny go nie straszy, a jej wstręt, odraza,

gniew, rozpacz, to go tylko przyjemnie draźni i nęci. Ona musi być jego rzeczą, jak piękna suknia, w którą go ubrano, jak dobre wino, które pija.

Nieszczęśliwa widzi, co zrobiła — a odwrotu niema. Wracać do Polski? ze wstydem? nie chce, woli wszystko znosić, wszystkiego jeszcze próbować.

Wraca do Polski ojciec, którego sama do tego skłania; przy pożegnaniu żal jej dawnego życia, żal tego kraju, z którego wyszła — ale zostaje.

W drugim akcie widzi się ją nad kolebką synka. I to jej miłość prawdziwa. Jego kocha, dla niego już, nie dla siebie, chce zostać, chce tron zdobyć — a nadziei coraz mniej. Hufce polskie, co z nią przyszły, odchodzą: szalbierzowi służyć nie chcą. Napróżno błaga, by zostali dla jej syna, ten ma prawo, ma dobrą sprawę... gdzie dowody? Dowodów ona nie ma. Opuszczają ją wszyscy, niema innego środka, innego oparcia, innej siły, jak w nienawistnym szalbierzu. Tylko Sapieha, niegdyś kochający i kochany, przybiegł, jak obiecał, w chwili niebezpieczeństwa, ale cóż on może zrobić? Poświęcić się, zginąć, nie zwyciężyć. Na to ma sił za mało, garstkę ludzi tylko.

A tymczasem wojna się toczy, nieprzyjaciel się zbliża. Car Wasyl Szujski złamany, zbielały od trosk, zwołuje bojarów i lud na rady. Odebrał wieści — Żółkiewski zwyciężył pod Kluszynem, ma drogę otwartą do stolicy. Na to wpada syn Wasyla, Skopin, ranny, umierający, i potwierdza wiadomość, opowiada, jak się to stało, i kona.

Car Wasyl bronić się nie będzie. Wojsko niech idzie z miasta, w świat, w różne strony — bojarowie niech się rozlecą po kraju, niech każdy w innej stro-

nie siedzi i rozkazuje. Mitrę swoją starzec rozdziera na trzy części, każdemu z bojarów daje po jednej: tylko krzyżyk, co na wierzchu mitry, ma zostać w stolicy. Kto go weźmie? komu oddać? Wszyscy myślą, że z wielkiej boleści Wasyl zmysły postradał — zrozumiał go jeden, rzeźnik Minin. Wojsko się ma rozejść, żeby nie zginęło dziś, a wróciło jutro, lub pojutrze. Bojarowie mają się rozejść, żeby do wojska werbować, ściągać, i czekać na sposobną chwilę. Krzyżyk ma zostać, jako symbol korony, i zakład, że ona powróci, i z rozdartych części znowu złoży się w całość. Jemu Wasyl oddaje krzyżyk, jemu każe czuwać i upatrzyć chwilę odwetu. Sam czeka spokojnie swego losu. Po klęsce, po śmierci syna, co się z nim stanie, to mu wszystko jedno, i wszystko jedno jego sprawie.

Żółkiewski przychodzi. Nie jako zwycięzca, lecz jak sprawiedliwy, jak przyjaciel. Jedna staje mu wbrew Maryna. Ona ma prawo, jej syn ma prawo, i tego prawa nie puści. Świetnie, namiętnie, a trafnie przepowiada mu, że zdobył, ale utrzymać się nie zdoła, że marny będzie koniec jego wyprawy i chwały. A jeżeli nikt inny, to ona będzie z nim walczyła na śmierć i życie.

Ale na teraz jest pobitą — walczyć niema czem, opuściło ją wszystko; zostaje tylko jedno, Dymitr. Ten jeszcze ma stronników, jeszcze ma swoje podobieństwo do tamtego — może się przydać. Poddaje się szalbierzowi, bierze z nim ślub, przyjmuje jego wiarę.

I to na nic; tylko powód nowej śmiertelnej trwogi. Maryna chce korony dla swego syna, Dymitr dla sie-

bie. To dziecko mu zawadza, zazdrości dziecku. Prosi Maryny, żeby mu je darowała, ustąpiła zgodnym sposobem: innym razem zakrada się z nożem. Matka ledwo ustrzegła, ale musi strzedz, czuwać nad dzieckiem dniem i nocą. Wśród tego scena miłosna między tem małżeństwem. Rzadko widzieć coś tak otwartego, brutalnego, jak umizgi i oświadczenia tego pijaka. Czy Maryna, kiedy je znosi, chce go złudzić, oszukać, żeby się go pewniej pozbyć, czy naprawdę upadła tak nizko, że on ma dla niej jakiś czar, nad nią jakąś władzę? dojść trudno — to pewna, że w obawie, by dziecka nie zabił, zabija go sama.

Żółkiewskiego niema już dawno. Garstka polskiej załogi pod Sapiehą broni się jeszcze, ale długo bronić nie zdoła. Głód, brak prochu. A Minin się podnosi, bojarowie się schodzą, koniec blizki. Minin wie, że synek Maryny jest wnukiem Iwana, prawym dziedzicem tronu: dla niego działa, jego ukazuje swoim stronnikom, jako przyszłego cara. Czemu, kiedy Maryna chce mu dziecko oddać, powierzyć, nie bierze go do siebie, z powodu, że dziś niema czasu, czy w domu niema miejsca? Zrozumieć trudno. Dość, że nieszczęśliwa bez dachu, bez przytułku, błąka się z dzieckiem po mieście, aż ją żołnierze przyprowadzili do Sapiehy, do oblężonej baszty. Minin idzie do szturmu, Maryna chce jeszcze z murów dziecko pokazać, ratować: Sapieha rzuca głownie w lochy, w skład prochu, i wysadza w powietrze basztę, ze wszystkiem, co w niej było.

Plan jest bardzo dobry, sytuacye bardzo tragiczne, w charakterystyce osób jest energia i jest prawda: dlaczego więc dramat nie jest zupełnie do-

brym? Dla tego, że sytuacye i figury są traktowane zbyt pośpiesznie, pobieżnie, szkicowane, a nie rozwinięte. Pod koniec zwłaszcza, od bitwy kluszyńskiej idzie to wszystko tak szybko, tak nagle, że chwilami staje się niewyraźnem. Czytelnik nie zawsze zrozumie od razu zamiar, powód postępku, lub postępek działającej osoby. Są też i pomysły błędne, sceny w wyobraźni poety źle poczęte, naprzykład owo rozdzielenie korony na trzy części fizycznie niepodobne bez narzędzi, przez to w scenicznem przedstawieniu i trudne, i chybiające celu; wreszcie jako wyraz rozpaczy i determinacyi starego Wasyla Szujskiego, zbyt naprężone, a cokolwiek wyszukane, sztuczne.

Wspaniałe jest opowiadanie Skopina o bitwie pod Kluszynem: jedna z najpiękniejszych rzeczy w całej poezyi Szujskiego.

Zaczął wreszcie wykonywać się dawny ulubiony zamiar: ustalały i skupiały się w myśli poety te »schwankende Gestalten«, z których miała się złożyć tragedya Ossolińskiego. Jej część druga, »Śmierć Władysława IV«, wyszła w roku 1876.

Dojrzewały te pomysły, postacie nabierały treści, fizyognomie rzeczywistości, przez długie lata historycznych nauk i badań, współczesnych doświadczeń, bolesnych rozmyślań nad przeszłością i teraźniejszością; a kiedy wreszcie wcieliły się w dramat, złożyły obraz rozdzierający smutkiem, zdumiewający głębokością i wagą myśli, tragedyę, może nie doskonałą pod artystycznym i scenicznym względem, ale tragedyę dziejów, tragedyę polityczną, w całem tego słowa znaczeniu i z całem jego przystosowaniem.

Jaka jej nauka, jej myśl:

»Narody, które stanęły w pół czynu,
Giną jak wielkie bez dachu budowy:
W górze im grozi obłok piorunowy,
Grunt podkopuje im niepokój gminu,
I w niwecz pójdą podniesione mury,
Gdy czyn nie wzniesie sklepienia struktury«.

A treść, przykład, na którym się ta nauka okazuje i wyraża, to czas Władysława IV, to jego zamysł wojny tureckiej, niezrozumiany, odepchnięty, to jego śmierć, w chwili kiedy Korsuńska klęska otwierała śluzy potopowi klęsk innych, kiedy w dziejach począł się zwrot, przyśpieszonym pędem, aż na dół.

Aktorowie tragedyi, to król, który powolnością, folgowaniem, chciał i mniemał tak ufność i miłość poddanych pozyskać, ażeby oni wzajem powolni poszli za głosem jego na Turka, a kiedyś synowi jego dali koronę: król, który widzi, że się przerachował, zawiódł, że temu narodowi zbyt wygodnie i dobrze na to, by chciał podjąć trudne przedsięwzięcie, który rozumie, że jeżeli jego myśl nie stanie się ciałem, Rzeczpospolita rozprzęgać się zacznie, a wielki polityczny cel, ukoronowanie potęgi, osiągnięty będzie — nie przez niego, nie przez Rzeczpospolitą. Rozumie to, a jednak waha się, gotów zamiaru się zrzec, żeby tą powolnością wybór syna na przyszłość okupić. Zrażony, powtórnie bierze na kieł, chce iść na przebój — za późno! syna stracił, a sam umiera w chwili, kiedy zerwała się burza.

Aktorowie tragedyi dalej, to Ossoliński, kanclerz, który myśli i rozumie jak król, który pracuje nad tem, żeby sejm do wojny skłonić, jest tego blizkim,

kiedy przeciw niemu, i przeciw królowi obraca ten sejm zazdrość i zemsta, gnuśność i niedołęstwo wielkich panów, łatwowierność, zmienność, płytkość szlacheckiej opinii w sejmie. To Kazanowski dalej, wielki marszałek, który z dzielnością i rozumem łączy wstręt do tych płytkich i ciasnych, a tym wstrętem tak ich wyzywa i drażni, sobie tak dogadza, że przezeń, przez tę swoją namiętność, psuje i udaremnia wielkie dzieło w chwili, kiedy udać się mogło. To dalej Hetman Polny, wcielenie tych pych pełzających i tych zemst nikczemnych; to Baranowski, poseł sejmowy, wcielenie tych uczuć dobrych, a myśli niejasnych i woli nieświadomej siebie; to wreszcie Chmielnicki z Kozakami — a scena, na której się ci aktorowie poruszają, to zwrotne stanowcze »Dwa lata z naszych dziejów«, które opisał Szajnocha, to wypadki roku 1646 i 1648.

Ten stan rzeczy, na pozór błogi, naprawdę niebezpieczny, odsłania się w głębokich, śmiałych, groźnych rysach na początku sztuki. Nuncyusz papieski i poseł wenecki, którzy przybyli po to, by związać koalicyę przeciw Turkom, widzą, że celu nie osiągną. Król chce, ale jego wola nie wystarcza. Chcą wyjeżdżać. Mówią królowi w oczy, że tu nie znaleźli Państwa.

Sala na zamku królewskim. W głębi inne sale.

SCENA I.

TIEPOLO — TORRE.

TORRE.

Te dźwięki trąb, ten skrzypiec dźwięk ochoczy,
Ten światła blask, co stare razi oczy,

O naszej sprawie źle nam tuszyć każe:
W pląs ci sarmaccy puszczeni bojarze,
Już wojennego odegnali ducha:
Miłosnej pieśni każdy raczej słucha.
W Corso się zmienia bogata Warszawa,
Oliwne liście puszcza berło stare,
Które tylekroć w rękach Władysława
Za chrześcijaństwo stawało i wiarę.

TIEPOLO.

Dobrze tej Polsce: na rozkosznych łanach
Przeciąga kibić niewiasty dojrzałej,
Wznoszą się gmachy o złocistych ścianach,
A co ma w zbytku świat, co zniewieściały
Wschód, co wykwintny Zachód w sobie chowa,
Poszło dywanem słać się pod ich stopy
Najszczęśliwszego z ludów Europy.
Niemcy pustynią — zaraza morowa
Niszczy zakątki, gdzie wojna nie sięga,
Anglię wewnętrzna zamieszka rozprzęga,
Francya zaledwie oddychać poczyna,
Nam, Włochom, jarzmo grozi poganina,
Najpierwsza z koron, co w dwóch światach włada,
W trumnie Filipa układa się blada:
Oni potężni, trzem wrogim sąsiadom
Spisali pokój — teraz spać się kładą.

TORRE.

Gorzej, do uczty Baltazara siedli!
Wiedziono zawsze tych, którzy nie wiedli:
Spokój narodów jest spokojem śmierci;
Niepłodne drzewo robak w słoju wierci:
W ruchu jest życie, w walce, w niepokoju,
Bóg nie dał spocząć w dziejowej szermierce;
A gorszym ciosem od ciosu wśród boju,
Jest bezwładności cios — uderza w serce.

TIEPOLO.

Jednak nie traćmy, zacny Monsignore,
Jeszcze nadziei. Czyli nie uważasz,

Że kiedy z królem toczy się rozmowa,
W tem wielkiem oku często płomień gore,
Z ust popędliwe wypadają słowa,
Że go tą ligą turecką rozmarzasz,
Jak dziewczę, kreśląc mu kochanka duszę.
Liga mu srogie zadaje katusze;
Pobladł, wśród mnogich wesela festynów
Patrzy ponuro i milczy zaklęcie.
Znać wielkie w głowie waży przedsięwzięcie.

TORRE.

Lub jak bojowy koń żuje wędzidło,
Przez cnych Korony założone synów.
Nie! już mi próżne poselstwo obrzydło,
Obrzydły mowy i rady senatu,
Głoszące tylko starą nowość światu,
Że król mniej znaczy, niż w Wenecyi doża;
Że Polska, pani od morza do morza,
Musi Turczyna szanować przymierze,
Jeźli na Warnę chętka ją nie bierze.
Wrócę i powiem ojcu chrześcijaństwa,
Żem zastał naród, lecz nie zastał Państwa!

Zaraz potem Jan Kazimierz przychodzi brata pożegnać, jedzie do Rzymu. Tu nie ma co robić. Wstąpi do zakonu. Król próbuje wstrzymywać, liczył na brata, że kiedyś będzie opiekunem syna: królewicz opowiada, że jako z Rzymu przysłany nuncyusz, czy kardynał, jako reprezentant Stolicy Apostolskiej, potrafi prędzej synowcowi pomagać, niż jako prosty w Polsce syn królewski, któremu nikt nie ufa, nic począć nie może, bo jest królewskim synem.

JAN KAZIMIERZ.

Służbą u mocarza
Zagranicznego nie chcę skarżyć światu

Zazdrości polskiej, co dla braci pana
Skąpi rycerstwa szranków i bułatu.
Nie chcę, ażeby dom rakuski wiedział,
Żem tu bezczynnie niezaszczytnie siedział,
Bo naród bał się służby Wazowicza.
Nie komu Polska danku nie użycza,
Bogu samemu służyć tylko może.

KRÓL.

Słowa twe mierzą w pierś moją, jak noże.
O brak dzielności skarżysz swego brata.

JAN KAZIMIERZ.

Stoisz wśród pierwszych bohaterów świata:
O brak dzielności nikt cię nie posądzi.

KRÓL.

Licha to dzielność, co swymi nie rządzi!
Co obozową przeniosła zażyłość
Na tron królewski, co chciała przez miłość
Władać i szukać narodu poklasku:
Oni mnie za to powiedli na pasku.
Wiem to i widzę... Przed chwilą posłowie
Obcy to samo w oczy mi wyrzekli,
Ale to późno... i nie mojej głowie
Wznieść się z upadku, w który mnie zawlekli:
Nie mnie w sprzeczności stanąć z mym żywotem.
Mam syna i mam ciebie... Ty go młotem
Zrobisz, co ściany tej klatki potrzaska,
W której mnie trzyma elektorów łaska.
O jedno chodzi mnie, i to przewiodę:
Oni mi syna za życia obiorą,
Ty krzepić będziesz kroki jego młode,
Ty będziesz radą, pomocą, podporą:
Ty powiesz jemu, com cierpiał przed laty —
Dlatego księżej nie chcę dla cię szaty.

JAN KAZIMIERZ.

O! wielką złudą duch się twój kołysze:
Polak elekcyi aktu nie podpisze
Za życia twego. Nie ja, senat cały
Zazdrośnie będzie strzegł twojego syna.
Polak zapomni, żeś był tak wspaniały,
By zwalczyć w sobie marsowego ducha...
A na twym grobie on chętnie posłucha
Może zarzutu, żeś na poganina
Go nie wiódł, z Moskwą nie rozpoczął boju.
Dałeś mu pokój — on wrogiem pokoju;
Dałbyś mu wojnę — onby nie chciał wojny.
O twego syna jam nie tak spokojny,
A że do progów Apostołów dążę,
I jego droga wiedzie mnie tam głowa:
Jeśli po tobie mnie Pan Bóg uchowa,
Nie jako brat twój, lecz duchowny książę,
Kardynał, nuncyusz, zjadę tam — na Wolę,
I twemu dziecku tronu nie pozwolę
Zabrać, o powiem, co i ich poruszy,
Powiem... żeś wielkie cierpienie miał w duszy!

KRÓL.

Jedź! Wyczerpane moje argumenta.
Ale się nie śpiesz zbytecznie z ślubami..
Nie czyń beze mnie... Może dowodami
Innemi strzelę...

Król ustępuje głęboko w sercu zraniony tą nieufnością obcych dworów, tem zniechęceniem własnego brata, a jak na urągowisko występuje mu teraz dwór świetny, strojny, rozbawiony, pusty, otaczający niedawno przybyłą królowę, która się dziwi i nie rozumie, że ich widzi tak rozmiękczonymi, tak bezczynnymi. Ona myślała, że tu zastanie rycerzy — i wojny.

ZASŁAWSKI *(do Królowej).*

Dziwnie tą włoską muzyką ja pieszczę
Ucho, italskie wspominając gaje,
W których co chwila inny pomnik staje
Przeszłości, Rzymian wspominając dzieje,
Albo poetów, jak ich pieśń się leje
Z falernem razem... Pani miłościwa
Czy także chętnie muzyki zażywa?

MARYA GONZAGA.

Nie ma dwór Francyi tak pięknej kapeli,
Jaką zastaję na tutejszym dworze!
W burzliwe czasy młodość moja może
Przypadła, włoskich może nie znosząca treli;
Trąb się i rogów nasłuchałam wiele...

HETMAN POLNY.

U nas Bukolik teraz czas nastawa,
Pod mądrym rządem króla Władysława;
On uspokoił wyjące gardziele
Dział i błogiego używamy wczasu.

MARYA GONZAGA.

Starym rycerzom czyliż do hałasu
Wojny nie tęskno? Kto Polskę zobaczy
Dziś, jutro wojnę widzieć się spodziewa:
Mówią o wojnach niebotyczne drzewa
Koło pałacu — Wisła, co majaczy
Srebrzystą wstęgą, zda się szarfą cała,
Aby olbrzymi jakiś miecz trzymała.
Gdy mnie witano, tak konno i zbrojno,
Pytałam: Wojna? i cóż słychać z wojną?

WIŚNIOWIECKI.

Królowo pani! przybądź w nasze strony,
Teatrum wojny wyprawię w momencie!
Tatar na wszelkie skory przedsięwzięcie
I Kozak z Niżu, chociaż potłuczony,

Gotów wyszczerzyć janczarkę z ostrowia!
Corocznie jeżdżę na wojnę,— dla zdrowia!
Jeśli królowa, co marsowych twarzy
Ciekawa, łaską mnie swoją obdarzy,
Wyprawię bitwę pod Wiśniowca bramą...

ZASŁAWSKI.

Ja pod Zasławiem potrafię to samo.
Tryumf następnie urządzim wspaniały.
Fraszka te, które u starych bywały.

KONIECPOLSKI.

Nie takie wojny pani naszej godne.
Polska ma dzisiaj niebiosa pogodne,
W wielkim szacunku mają nas sąsiedzi,
Bo wiedzą, jaki król na tronie siedzi.
Alem nie przestał, jako wierna rada,
Mówić: i mówię, że przyjaźń sąsiada
Niepewna, jeśli zbytnie dłoń odwyka
Od wstępnych bojów, jak się z naszą dzieje:
Przyjaciel jutro przejdzie w najezdnika,
Sojusznik jutro przymierze wyśmieje.

Z tych słów starego Hetmana wysnuwa się zwada, materyalny powód dalszych zawikłań dramatu, i wysnuwa się znaczny w nim błąd. Chciał Szujski pokazać, że prywata w różnych odcieniach — zazdrości, pychy i podobnie — udaremniła zamysł króla, i ten ratunek Rzeczypospolitej, jakim mogła być wielka wojna z Turcyą. Głównym przeciwnikiem tej wojny był Stanisław Lubomirski, niegdyś razem z Chodkiewiczem chocimski zwycięzca. Ale w nim nie znajdował poeta tych wszystkich rysów, w jego życiu tych faktów, które były potrzebne na typ ogólny takiego magnata zawistnego a zuchwałego. Stwarza więc po-

stać fikcyjną, która łączy w sobie wszystkie te przywary, jakie w różnych stopniach miał cały genus ludzi podobnych, i tej figurze daje główną rolę w krzyżowaniu królewskich zamiarów. Stworzywszy zaś taką, jakiej w historyi rzeczywiście nie było, nie może dać jej nazwiska, żadne z rzeczywistych nie przypadłoby do niej słusznie i dobrze. Zostaje więc figura bezimienna, ma tylko tytuł, jest Hetmanem Polnym; a za bezpośredni powód działania daje poeta temu Hetmanowi Polnemu zazdrość do wielkiego, pożądanie wielkiej buławy. W objaśnieniu sam tłómaczy i historyczną niedokładność, i jej powody, a usprawiedliwia ją tem, że poezyi wolno jest w historycznym przedmiocie coś dodać, ująć, zmienić, jeżeli ta zmiana nie psuje głębszej historycznej prawdy, tylko ją, owszem, wyraźniej widzieć daje.

W tem się myli. Nie w swojem twierdzeniu samem, ale w jego zastosowaniu: w wykonaniu i zakresie tej licencyi, która poezyi przysługuje jako jej prawo. Że w głębszej historycznej rzeczywistości były takie powody działania, takie zawiści, takie pychy, przez ogrom swój dochodzące do zbrodni i do podłości, to rzecz wiadoma, Ale naprzód w dramacie, tak ściśle, tak dokładnie historycznym, jak ten, postać fikcyjna, zmyślona, nie może znaleść swego miejsca, swojej racyi bytu, nie może zrobić wrażenia, bo nie może obudzić wiary. Czytelnik musi jej pytać: «kto ty jesteś, i co tu robisz? ·Dlaczego ja, który znam wszystkich innych, o tobie nie wiem nic?» Powtóre: prawda, że były takie zawiści, takie zemsty, takie zuchwałości i odgrażania się względem królów: ale

wcielone wszystkie w jedną postać, ta postać użyta za główną sprężynę akcyi, mają ten skutek, że zło, rozlane po całych dziejach, koncentruje się w jednym fakcie i jednym czasie, a przez to ten czas i te fakta: stan kraju za Władysława IV-go, zuchwałość magnatów, poniżenie króla, wydają się gorzej, niż były w istocie, a to tem bardziej, że objawiają się na zajściach, jakich nigdy nie było, choć było w niższym stopniu wiele podobnych.

Drugi zaś błąd, złączony z tą samą zawsze figurą Hetmana Polnego, jest ten, że kiedy już miał być i na barkach swoich dźwigać działanie, królowi przeciwne, to należało jego w tem działaniu, z jego środkami i stronnikami, bardziej naprzód wysunąć, więcej ich pokazać. Zarzucano sztuce akcyę nie dość wyraźną, nie dość jednolitą: mojem zdaniem, niezupełnie słusznie. Ona jest wyraźna i logiczna; wszystkie zamiary króla, Ossolińskiego, Kazanowskiego, widzi się i rozumie się dobrze. Ale strona przeciwna nie dość występuje, nie dość mówi, nie dość się odkrywa; i to zdaje mi się być prawdziwym powodem, dla którego ogólny plan dzieła nie dość odrazu wpada w oko i wbija się w pamięć.

Dość, że kiedy Hetman wielki gromi nieczynność, a nawołuje do wojny, Polny odpowiada mu przymówkami, sarkazmami, które wywołują zwadę, zwada dobycie szabel — tu, na pokojach królewskich. Młodszy starszemu, silniejszy słabszemu. wytrąca broń z ręki odrazu, na szczęk żelaza zbiegają się ludzie, zjawia się i król, i królowa: stary Koniecpolski z tego wzburzenia i gniewu, z tego zawstydzenia pada, i po kilku

słowach gorzkiej prawdy dla wszystkich, przekleństwa dla Polnego, umiera.

Z jego śmierci, z jego ostatnich słów, król bierze pochop, żeby obecnych zagrzać do wojny. Hetman polny odpowiada, że ją i przygotuje, i popularną zrobi, jeżeli król da mu wielką buławę. Król pod groźbą dać jej nie może:

i Polski nie stanie,
Jeżeli pięścią buławy nie dostanie.

Hetman Polny na to, że jeżeli tak, to wojny nie będzie.

Po bardzo pięknej pierwszej połowie tego aktu, ta druga osłabia jego wrażenie, kiedy właśnie miała je podnieść na wyższy stopień. Ten pojedynek dwóch starców, doraźny, na pokojach królewskich, ta nagła śmierć, to (jak przysięga w Halszce z Ostroga, jak wyprężona ręka Dymitra i rozdarcie korony w Marynie), przykład tej skłonności Szujskiego do wywoływania tragicznych wrażeń i kreślenia tragicznych sytuacyi przez takie efekta zewnętrzne, naprężone, a skazane na to, żeby zawsze i bez wyjątku chybiły swego celu, jeżeli całym logicznym związkiem wypadków, albo psychologicznym stanem osób, nie są dość uzasadnione, naturalnie, a niemal koniecznie sprowadzone. Błąd ten jest skutkiem poprzedniego. Fikcyjna figura i rola Hetmana Polnego pociągnęły za sobą jako następstwo takie wymyślone, a źle wymyślone wypadki. Z jego żądzy buławy, i zemsty że jej nie dostał, wynikła zwada z Koniecpolskim i śmierć tego: wynikło dalej to otwarte domaganie się buławy i gro-

żba zemsty, czego Hetman Polny, jako zbrodniarz rozumny i przebiegły, jawnie przy ludziach zrobić nie mógł.

Wielkie, bolesne wrażenie robi pierwsza scena drugiego aktu. Mały królewicz, Zygmunt, bawi się z dziećmi swego wieku, dogląda ich Starowolski. Do ogrodu ich nie puszcza, bo królewicz nie zdrów, biegać mu nie wolno, więc na wielkie prośby pozwolił chłopcom bawić się w sali senatu. Wszyscy z czasem, źle, czy dobrze, figurować będą w historyi. Jest mały Michaś Wiśniowiecki, jest Matczyński, dwóch Sapiehów: Kazimierz i Benedykt, i jest Jaś Sobieski — anachronizm, bo dorastający młodzieniec odbywał wtedy zagraniczną podróż; ale licencya ma swoje prawa, a Sobieski był potrzebny do tego, co się tu odgrywa.

Dzieci w sali senatu chcą się bawić w radę senatu, a że do tego potrzebny jest król, więc wybierają króla. Michasia naprzód; dają mu kijek w rękę zamiast berła, a prawdziwe jabłko zamiast jabłka, Michaś zaczyna jeść. To się nie podobało, zrzucają go z tronu. Wybierają Sobieskiego. Ten każe radzić o wojnie, bierze się nieźle do swego rzemiosła; ale za chwilę ma być prawdziwa rada senatu, i udana musi jej miejsca ustąpić. Ta bezwiedna satyra na ojców, odegrana naiwnie przez synów, ten w dzieciach już widoczny charakter, który się później w ludziach dojrzałych odsłoni, to przyjęte zdanie, że król safandułа najlepszy, to jest przerażające smutkiem i prawdą. Smutek zaś podniesiony jest jeszcze i tą bezwiedną przepowiednią śmierci, jaką sobie daje biedny, mały królewicz. Bawił się doskonale, Michaś był kró-

lem, Jaś był królem; on sam miałby ochotę być, ale nie będzie, już niema czasu.

Ten chłopiec ma defekt serca, a ojciec drży o jego życie. Teraz przed radą senatu, w poufnej rozmowie z Ossolińskim, o nim mówi, a z taką miłością i taką trwogą, że czuć łzy w każdem jego słowie. I oskarża się, że dla tego dziecka, dla jego przyszłej elekcyi, tak był powolnym, tak folgował, a przez to Rzeczypospolitej zaszkodził, pozwolił na jej rozprzężenie.

Temu nie dobroć serca mego winna...
Inna przyczyna była tutaj czynna.
Na mego syna koronę jam chuchał,
Aby jej nie zjadł los, zazdrośnik stary,
By jej nie zgniotły koronne filary,
Gdyby zbyt groźno strzeliła do góry,
Gdyby zabłysła bardzo, a ponury
Duch, co nie usnął po Guzowa ranie,
Jak rdza piekielna, chciał się rzucić na nię!
Codzień jam dumał nad dziecka kołyską —
O! tylko w Polsce dumać o tem można —
Czyli na szalę losów rzucić wszystko,
Czyli się zaprzeć siebie, bojów, chwały,
Wszystkiego, czego król pożądać może,
By iść, gdzie wiedzie ta ścieżka ostrożna
Środkiem zazdrości i pychy nawały —
Na plac elekcyi, gdzie szlachta zebrana
Wybiera sobie sługę zamiast pana!
O gdybym był miał dwóch... jednego miałem!
O gdybym ja był sam! O! com powiedział...

I za to, że o dziecko dbał za wiele, skarze go Bóg: dziecko żyć nie będzie.

W dalszym ciągu rozmowy, kanclerz robi królowi uwagę, że choć słuszność miał, to byłby powi-

nien Hetmanowi Polnemu ustąpić, stronnika wojny w nim mieć, nie przeciwnika. Król pomiarkował to już sam, ustąpi, cofnie wczorajszą odmowę.

króla droga
Przez bagna i tak wiedzie, i przepaście.

Na Radzie Senatu wszyscy dają głosy przeciw wojnie, wszyscy za błogim pokojem. Hetman Polny jeden mówi, i szczerze, z przekonania, że ona potrzebna, konieczna. Król na te słowa zbliża się do niego, pochwala, a na znak pojednania i porozumienia oświadcza, że wczorajszej porywczości żałuje i buławę mu oddaje. Ale tego tylko czekał mściwy starzec — król się upokorzył przed nim, i napróżno. On buławy nie weźmie. Wczoraj jej chciał, dziś nie przyjmie — a do wojny, mimo królewskiego, za póżnego przeproszenia, nie dopuści.

Kurtyna zapada na zapowiedź Ossolińskiego, że sprawa wojny pójdzie na sejm, przed cały naród, i na groźbę Hetmana, że i tam sprawa będzie przegraną.

Akt trzeci: bardzo ładna, wdzięczna rozmowa między królową, a małym pasierbem, który zrazu bał się jej i unikał, a z czasem przylgnął do niej zwabiony dobrocią, szczerą jej dla siebie dobrocią. Ze słów dziecka miarkuje królowa, że mąż, który z nią o swoich zamiarach i troskach nie mówi nigdy, gryzie się i dręczy brakiem pieniędzy na upragnioną wojnę. Tak? To ona tem zdobędzie ufność i serce króla, choć nie miłość męża, a sama dla siebie zdobędzie ten wpływ, którego pragnie, to pole działania, bez którego dusi się i obumiera cała jej natura. Ma-

rya Ludwika oddaje swój posag, swoje kosztowności: król przyjmuje:

> komnaty, gdzie miłość nie włada,
> Niechaj się staną cnych czynów wulkanem.

W tej chwili, kiedy król ma w ręku środki do prowadzenia wojny, staje przed nim dawny przyjaciel młodości, Adam Kazanowski, Marszałek w. kor.:

> Proch czuć w powietrzu, kiedy on przybywa.

Potężnie, wspaniale nakreślona figura, z przymiotami i wadami swojemi. Marszałek ma ogromną ambicyę: czy dla siebie? może niegdyś za młodu. Czy dla Rzeczypospolitej? Gotów dać życie za nią: dałby żywotów tysiąc gdyby miał, za to, żeby ją widzieć wielką, potężną, jaśniejącą w blasku chwały, żeby zwłaszcza widzieć ją inną, niż jest, dzielną, sprężystą, stateczną, roztropną — i karną. Taką, jak być powinna, kocha on całą siłą swej ognistej duszy, marzy o niej, jak o kochance, jak o szczęściu, jak o miłości swojej: ta, która jest, ta rzeczywista, tak go gniewa i korci, tak go czasem upokarza i boli, że jej znosić, w niej wytrzymać nie może, i jeździ po świecie bez celu, gdzie go oczy poniosą, byle te oczy nie patrzały na sejmy, sejmiki, Rady senatu, na tę opinię chwiejną a nieświadomą ani celów swoich, ani środków, na to całe życie publiczne, w którym tonie zbyt często duch publiczny i polityka Państwa. Ale ta miłość, rozczarowana do swego ideału, niezdolna go osiągnąć ani w niego wierzyć, stała się goryczą, niechęcią, ironią. Przekonany, że widzi i rozumie dobrze, czego Rzpltej

potrzeba na to, by się podniosła, nabiera złości, pogardy, odrazy prawie fizycznej, nerwowej, do tych głupszych, którzy tego zrozumieć nie chcą, czy nie mogą. Daje to uczuć z przyjemnością, i naturalnie staje się znienawidzonym. Im bardziej go nienawidzą, tem on bardziej bierze na kieł, drażni, wreszcie rozkochuje się i rozkoszuje się lubieżnie w niepopularności własnej. To jego pasya, to jego mania. Wady, a zwłaszcza płytkości i płochości polskiego usposobienia, tak go gniewają i korcą, że chciałby w niczem nie być podobnym do tego usposobienia. Od młodości czuje w sobie zazdrość do Ossolińskiego, ale musi ją zwyciężyć, musi jej się pozbyć, bo «zazdrość jest wadą polską». — Nie wie, że przez tę swoją pogardliwość i gorycz staje się sam odmiennym tylko egzemplarzem tego samego usposobienia, że jest inną tylko formą tej samej miłości własnej i pychy; a folgując jej, schlebiając jej w sobie, kochając się w niej, marszałek posuwa się do kroków niezgodnych z jego politycznym zmysłem i rozumem, i udaremnia, gubi, on właśnie, tę wielką sprawę, której służy, którą wygrać chce całą duszą, za którą dałby życie, jak nic.

Król ma pieniądze, marszałek ma gotowy, doskonały materyał do wojny. W swoich wędrówkach zabłąkał się na Sicz, do Kozaków. Ktoby tych użyć zechciał i umiał, mógłby z nimi świat zdobyć, Stambuł upokorzyć, a panów polskich i szlachtę, która ich zuchwalstwo bierze za swoją wolność, ująć w karby. Gdyby się król spróbował na nich oprzeć? gdyby spróbował przywrócić odjęte swobody, a do wojny ich powołał? Właśnie marszałek przybył do Warszawy z posłami kozaków, którzy żałoby ich chcą królowi

przełożyć. W duszy króla utkwiła ta myśl; rodzi się marzenie, żądza... na to wchodzi kanclerz.

I on chce wojny. Wojna być musi, ze wszystkich względów, i z tego także, że król ustąpić, dać się poniżać, nie może. W to nie wierzy ani Kazanowski, ani król. «Dość posłów kilku, a sejm nie dochodzi». Kanclerz to wie, zna: ale uprzedza, że używa wszystkich środków, iżby sejm doszedł, a poszedł po woli króla; ale wymaga, żeby iść drogą prawną. Inaczej nie pójdzie. Jeżeli król nieprawnie, samowolnie zechce rozpisać zaciągi, to on pieczęci do tego rozkazu nie przyłoży. A król nie podpisze uniwersałów zwołujących sejm, bo nie wierzy w sejm. Robi się spór, w którym ze strony króla padają słowa ostre i niesprawiedliwe. Kanclerz przyjmuje je tak godnie, że król się miarkuje, a sprawę zwraca na lepsze tory królowa. Obecna tej rozmowie, która się na jej pokojach toczy, ośmielona tą, jaką miała niedawno z mężem, widząc możliwą niezgodę między królem a kanclerzem i rozumiejąc jej nieuniknione skutki, występuje teraz ze zdaniem spokojnem, prawie pokornem, ale tak rozumnem, że króla przekonało i szalę na stronę kanclerza przeważyło. Król podpisuje uniwersały na sejm.

Gdy kanclerz odszedł z podpisem, marszałek wprowadza Kozaków. Orlik, Barabaszeńko, i... Chmielnicki. Zaczynają od ogólnikowej skargi; ale król chce wiedzieć wszystko, dokładnie. Wtedy Chmielnicki opowiada swoją historyę, swoje zajście z Czaplińskim. Opowiada tak obrazowo, tak strasznie, że to niezawodnie jedna z najpiękniejszych narracyi teatralnych — ale zarazem trudna do wytrzymania nawet w czyta-

niu, cóż dopiero w widowisku. Kozacy chcą być królowi wierni, ale niech król tych panów poskromni, albo im poskromić pozwoli. To nie! kto drugiemu włos na głowie ruszy, tego głowa spadnie — pańska, czy kozacka. Ale kto pójdzie na wojnę, ten z niej wróci szlachtą herbową i wolną, równą wszystkim Lachom i panom.

Z tem kozacy odchodzą. Ale Chmielnicki, odchodząc, mówi sam do siebie: «jeżeli on zrobi, co chce, to ja panem na Siczy nie zostanę» — a że tego tylko chce, więc już wie, co za powrotem zrobi. Nie wie tylko, co z tego wyniknie.

Słabą stronę dramatu stanowi akt najważniejszy, właśnie ten, w którym się rzecz rozstrzyga — czwarty.

Sejm zdaje się iść dobrze; kanclerz zręcznie wszystko przygotował i prowadzi. Aż się sam Kazanowski dziwi — i zaczęte dzieło psuje. Wszak wszyscy wiedzą, że król jemu powierzył dowództwo przyszłych zaciągów, że on te zaciągi robi, choć przyzwolenia sejmu jeszcze niema. A nie krzyczą? nie gniewają się? czy się zmienili i zmądrzeli? Trzeba ich doświadczyć. Cicho zwerbowanych ludzi wsadzić na koń, i przy odgłosie trąb przeprowadzić przez ulice Warszawy. To i prawdziwą myśl stanów wykryje, i obudzi energię w królu, który przestraszony o życie syna, upada na duchu i słabnie.

Z tego pomysłu marszałka wypadnie nieszczęście.

Kanclerz oświecił, nauczył, nakręcił uczciwego posła Baranowskiego (figura zmyślona), żeby sprawę wojny w Izbie popierał. Poseł zrozumiał dobrze i wszystkie argumenta spamiętał. Ale kiedy je sobie przed sessyą powtarza, przychodzi Hetman Polny i jego

stronnicy, i winszują, że się stał sługą dworu, narzędziem absoluti dominii. Poseł się miesza, nie wie, czy ma wierzyć temu kanclerzowi, któremu wierzył przed chwilą. Wtem słychać trąbki rajtarów Kazanowskiego. Dowód oczywisty. Widzisz, robią zaciągi nieprawne, żeby ujarzmić wolność, a wojna z Turkiem jest tylko pozorem. Zaczyna się sessya. Mały królewicz, chory, a do tej wojny zapalony, czujący, że jej los rozstrzyga się w tej chwili, wbrew lekarzom i dozorcom wpadł do sali, i z loży słucha, co się dzieje w izbie. Słyszy, że Baranowski nie za wojną mówi, ale przeciw wojnie; słyszy wielki gwar; czuje, że sprawa stracona, każe zawiadomić ojca, jego wynoszą; z izby tłoczą się posłowie z krzykiem; śmierć marszałkowi! z drugiej strony nadchodzi król i oko w oko mierzy się ze zwycięzcą, Hetmanem Polnym, który mu zdradliwą pokorą tryumf swój oznajmuje. Wraca jeszcze królewicz, niespokojny, jak się rzecz skończyła, a gdy zobaczył, umiera.

Wszystko to idzie za prędko, za tłumnie. Kazanowskiego nieszczęsny koncept nie zwraca na siebie uwagi, jak powinien, nie robi wrażenia, dlatego że nie przewiduje się z góry jego skutków, że opozycya Hetmana i jego stronników nie jest dość widoczna i czynna, ich zamiar udaremnienia sejmu nie dość przygotowany i w oczach widza wykonywany. Baranowskiego zmiana zbyt nagła. Jakkolwiek płochą może być opinia, człowiek przy zdrowych zmysłach, w położeniu Baranowskiego, byłby, usłyszawszy słowa Hetmana i sygnały zaciągów, poszedł do Kanclerza i byłby zapytał, co to ma znaczyć.

Królewicz, przysłuchujący się sessyi, potem je-

szcze raz wracający, umierający pośród tych zebranych stanów, to znów efekt zbyt widocznie umyślny, a przez to chybia celu. Słowem, treść tego aktu potrzebowałaby być zmienioną nieco — ale rozwiniętą i rozszerzoną bardzo.

Co się stało w przerwie między aktem czwartym a piątym? Że Władysław IV miał Kozaków do chwycenia za broń ośmielać, zachęcać, były pogłoski i podania; ale to nie wystarcza, by mu przypisać taką zbrodnię i zwalić na jego odpowiedzialność. Szujski też tego nie robi: tylko zostawia rzecz w niepewności, i czytelnika w niepewności, czy król palców w tej sprawie nie umoczył: czy, straciwszy syna, a o wojnie tureckiej zawsze marząc, nie chciał dojść do niej tą drogą, w nadziei, że wzburzoną kozaczyznę także na nią porwie i zwróci. Kazanowski pojechał na Sicz: czy bez jego wiedzy i zgody? On sam ma jakieś wyrzuty sumienia i strachy. Jego powiernik, doktor Heinzyusz i Jezuita Schönhof, zdają się oba o tem wiedzieć dobrze i mówią między sobą dość wyraźnie.

Od tej rozmowy zaczyna się akt. Schönhof chciałby dostać się do chorego króla i wyspowiadać go. Lekarz nie puszcza: na ostatnie sakramenta jeszcze za wcześnie, a gdy czas będzie, to król ma swego spowiednika, Kapucyna. Ty, Jezuito, chcesz go spowiadać dla tego, że twego zakonu nie lubił; chcesz dowieść światu, że się do was nawrócił. Jezuita nie przeczy. Chodzi mu i o to także, ale więcej o duszę króla, o jego sumienie, którego Kapucyn nie roztrząśnie, bo nie wie o grzechu jednym, który to sumienie obciąża, a którego chory król za grzech sobie nie ma.

Rozmowa między dwoma Niemcami, którzy na

Polskę patrzą raczej życzliwie, ale obojętnie, między protestantem i prawie materyalistą, a katolikiem i księdzem, ciekawa, pełna charakteru. Kończy się zwycięstwem Jezuity. Lekarz wszedł do króla, poznał, że koniec się zbliża, i nie chce przeszkadzać temu, co jest powinnością i tego księdza, i króla. Zjawia się i Jan Kazimierz; wrócił z Rzymu na wieść o śmierci królewicza. On, królowa, wiedzą, że za Dnieprem źle; przed królem chcą taić, niech umrze spokojnie, bez tej nowej boleści. Król nie wie, jeszcze marzy, jeszcze rwałby się do czynu, ale sam widzi, że życie uchodzi. Lekarz na rozkaz potwierdza to. Umierający odchodzi przyjąć ostatnie Sakramenta, odchodząc, poleca dać znać Kazanowskiemu, odwołać rozkaz.

A tymczasem, gdy on odbywa spowiedź, nadbiega goniec jeden — Żółte Wody! chwilę po nim (za prędko) drugi — Korsuń! Trzeci — cała Ukraina w ogniu i krwi! Kazanowskiego rozsiekali Kozacy.

Król tego nie słyszał, ale odgadł, przeczuł. Po spowiedzi, po wiatyku, wraca:

Otrzymaliście wieści z Ukrainy?
Otrzymaliście — wy bladzi, jak chusta...
Czego mi wasze nie chcą wyznać usta,
Bóg mi i moje powiedziały winy...
Szpada tam jego pokrwawiona leży...
Woła mnie sługa... gdzie niema sług więcej...
Ale jest groza... od której się jeży
Włos... groza straszna... Tylko mi dziecięcy
Będzie ją słodził głos... będzie wzlatywał...
A kiedy cierpieć będę... będzie śpiewał...

O módlcie się... za jego... moją duszę!
Nie konał, jako ja, nie konał z Bogiem, w skrusze...

Jak on... tysiące tam... okropną śmiercią skona...
Precz! Dajcie konia mi! Król jeszcze złe pokona...

Nie; nie pokona już... Zdaję rządy moje...
Ciemno... ratujcie wy... was dzielnych troje...
Hejnzyusz!... konterfekt daj mi mego syna...
O! o! czemużem... nie szedł na Turczyna!?
*(Umiera).*

To ostatnie słowa jego i dramatu.

Jest wiele od niego piękniejszych: smutniejszych; — boleśniejszych, zapewne mało, a w naszej literaturze niema podobno żadnego.

W jednej pracy o poezyi Szujskiego, jedynej, na jaką zdobyło się nasze społeczeństwo i nasza krytyka przez całe lat dziesięć, w pana Ludomiła Germana książce o «Dramatach Szujskiego» (Kraków, 1889), uwagi o Władysławie IV kończą się takim ustępem:

«Wszystkie boleści lat dawnych i ostatnich, wszystkie myśli, po poprzednich dziełach rozrzucone, wszystkie rozpaczliwe oskarżenia przeszłości i wszystkie żale do teraźniejszości, niepoprawnej mimo tylu doświadczeń, skupiły się tu w jedną straszną skargę, w jeden wykrzyk nieskończonego żalu. Kto tak się skarży, jakże kochać musiał! Kto nie znalazł ni słowa pociechy, czy otuchy, jak straszne musiał sam przejść męczarnie». I dalej, rozumiejąc, szanując, podziwiając te cierpienia, sądzi jednak krytyk, że tej goryczy za wiele. Niegdyś — mówi — Szujski młody, choć o Radziejowskim i Lubomirskim pisał, znajdował przecie słowa pociechy, akordy dźwięczne i strojne. Teraz «czarne chmury zaległy mu duszę, historya odsłoniła

mu obrazy straszne», i stąd «w żalu jego zbyt wiele goryczy, niema miłosierdzia, ni litości». Czy trzecia część trylogii o Ossolińskim miała przynieść jaką pociechę, czy ją przynieść mogła?» — pyta dalej krytyk.

Odpowiadamy: nie. Ani miała, ani mogła. A nie przecząc, że ten dramat jest czarną otchłanią nieszczęścia i męki, nie przecząc, że «historya, odsłaniając czarne obrazy», i teraźniejszość, odkrywając swoją niepoprawność, mękę tę podniosły do potęgi, młodemu człowiekowi i poecie nieznanej, twierdzimy tylko, że nie nadmiar cierpienia i goryczy, nie różnica między młodym a dojrzałym wiekiem wybiła na tem dziele tak ponury, rozpaczliwy charakter, ale sam przedmiot. Mógł go Szujski nie tykać, ale jeżeli tknął, to nie mógł pojąć go ani obrobić inaczej. Młody, czy dojrzały, mógł w «Radziejowskim» ukazać światła obok cieni, bo miał obronę Częstochowy, miał Tyszowce. Tu, jakie otwierały się przed nim widoki? Czem miał siebie i swego czytelnika pocieszyć? przed nim Chmielnicki i Siciński, sromota Piławiec i sromota Liberi veto — nie znalazł strojnego akordu w duszy, bo go nie znalazł w dziejach; nie dał pociechy czytelnikowi, bo mu jej ludzie ówcześni nie dali. Ale to nie pessymizm, nie zwątpienie, ani brak litości. A jeżeli w dramacie niema — jak mówi krytyk — miłosierdzia, to jest miłość, która, według pięknych słów jego, chciała ratować. «Wady zgubne stawiał nam przed oczy w potężnych obrazach ukazywał winy i karę przeszłości, mówiąc: Nie czyńcie tak, jak tamci». To jest prawda, to właściwa miara do sądzenia. Kto szuka podnoszącej, weselszej konkluzyi w Szujskiego «Władysławie IV», ten jej nie znajdzie. Ale znajdzie ją ten, co szuka w dziele

jego całem, w jego dążności stałej i w sobie samym, w swoim rozumie, sumieniu i woli. Tą dodatnią, podnoszącą konkluzyą jest zrozumienie przeszłości przez teraźniejszość, i wyrobienie w teraźniejszości tych przymiotów, które przeszłość zaniedbała, lub zatraciła.

Trzecia część zamierzonej trylogii, «Śmierć Ossolińskiego», jest małym fragmentem tylko. Dwie sceny, w których kanclerz naprzód, a po nim senatorowie, dowiadują się o Piławieckiej klęsce.

Wielkich dramatów już nie będzie; to ostatni. Po nim jeden tylko, okolicznościowy, mały, i fragmenta. Fragment «Kniaźnina». Z legendy o miłości między poetą a późniejszą księżną Wirtemberską, z jej zamęźcia, powstał ten dramat, którego mamy tylko dwa akty i pół trzeciego. Miłość sama i dwoje kochanków, to udało się może najmniej: odkrycie wzajemnych uczuć, świadomość, że one do szczęścia nie prowadzą, cichy heroizm młodej dziewczyny, która się poświęca, gdy uwierzyła że to potrzebne, cała ta strona rzeczy oddana jest dość zwykłemi, powszedniemi rysami. Ale czas, w którym się to dzieje, ale pojęcia, uczucia, natury i fizyognomie ludzi z ostatnich Stanisławowskich czasów, te oddane są znakomicie. Kniaźnin, poeta, uczuciowy, do zapału skłonny, słyszy na wsi o sejmie i widzi z tego sejmu samo szczęście, samo błogosławieństwo. Zabłocki, jego przyjaciel, który na sprawy i na ludzi patrzy zblizka, głowę ma mniej zapalną a sądzi z doświadczenia więcej, ten wie, że słowa nie są czynami, uchwały tryumfami, i choć się spodziewa, choć wierzy, nie jest bez obaw i złych przeczuć. Książę Jenerał z dobrem sercem w gruncie, z głową trochę lekką, z dumą

niemałą, ukrytą pod dobrodusznem i żartobliwem usposobieniem i obejściem, zgodził się na ułożone małżeństwo córki, które głaszcze jego miłość własną, ale zgodził się, bo myślał, że i ona zgodzi się łatwo, lekko, bez przykrości. Gdy się przekonał inaczej, zły jest na siebie, bardziej na żonę, nie wie co począć; wycofać się nie sposób: ostatecznie pociesza się i uspokaja sumienie filozoficzną uwagą, z doświadczenia wziętą, że po ślubie córka jakoś sama sobie poradzi. Ten stoi jak portret, jak żywy, człowiek XVIII wieku, typ, i ten człowiek właśnie, osobistość. Jego żona, natura zawiła z wielu pierwiastków złożona, skreślona jest z niepospolitą bystrością i delikatnością. Jest w niej modna tkliwość czytelniczki Russa, jest wmówiony w siebie, ale już w naturę przeszły, rys sielankowości, jest zręczna do małych spraw dyplomacya i w tej dyplomacyi upodobanie, (ona ułożyła zamęźcie córki, a zwala to na męża), ona ma swoją dumę, i swoją wolę silną, obie ukryte pod pozorami romansowej tkliwości. Najświetniejszy ze wszystkich jest Trembecki.

Tęgość i śmiałość umysłu, lekkość charakteru nie bez odcienia cynizmu, jędrność i energia w słowie, ciętość w dowcipie, a pod tem wszystkiem głęboko przywalone, różnemi wpływami zagłuszone, ale dobre uczucie, tak on się tu pokazuje z fantazyą, z humorem, z rezonem świetnym. On ma misyę uspokojenia Kniaźnina, wytłómaczenia mu, że małżeństwo księżniczki Maryi z księciem Wirtemberskim jest rzeczą potrzebną, konieczną, zbawienną. Zrazu tumani biednego poetę i mówi to, czego sam nie myśli. Ale stopniowo, mimowolnie przechodzi w ton inny, szczery,

i zaczyna określać położenie Rzpltej, warunki pomyślne tego położenia, z niepospolitą mocą, bystrością i wymową.

Jeżeli własnych mało, to tłómaczonych dramatów przybywa znacznie; aż dziwno, że czasu mogło na nie starczyć tak zajętemu pracą człowiekowi. Było to poniekąd wypoczynkiem, w każdym razie rozrywką, oderwaniem myśli od współczesnych ciągłych trosk i frasunków. Przekłady te ciągnęły się przez całe życie; w pierwszych latach uniwersytetu już Szujski tłómaczył razem Agamemnona Eschylosa i Sen Nocy Letniej Szekspira (ten nieszczęściem zaginął). Później, kiedy mógł, ile mógł, bawił się temi przekładami i do nich powracał. Tak powstały z biegiem czasu tłómaczenia z Eschyla «Orestei» całej, «Prometeusza» i «Persów»; z Arystofanesa «Rycerzy» i «Ptaków», z Calderona «Życie snem». «Ryszard III» Szekspira tłómaczony był dla potrzeby krakowskiego teatru, nie w całości, z opuszczeniem scen, które nie miały być grane, i bardzo pośpiesznie, tak, że tłómacz nigdy go za dobre i dla siebie obowiązujące uważać nie chciał; zbyt względem siebie surowy, bo przekład, choć nie bez zarzutu, jest z polskich najlepszy. Były to dobre czasy krakowskiego teatru, kiedy dyrekcya, artyści i publiczność z szlachetną skwapliwością chcieli widzieć na scenie dzieła różnych wieków, cywilizacyi i rodzajów. Wtedy zdarzyła się rzecz, nigdy przedtem niesłychana, prawdziwa grecka komedya na scenie polskiej. Z jakim humorem ciętym, z jaką świetną satyryczną werwą przełożył Szujski nieśmiertelne licytacye Masarza i Kleona, chcących zyskać łaski starego Demosa! Nie obeszło się bez gniewów na Szuj-

skiego za to, że Arystofanes napisał wiecznie prawdziwą komedyę. Znać dobrze stary Grek uderzył w stół, kiedy na to uderzenie do dziś dnia odzywają się nożyce.

O wartości i wierności filologicznej tych przekładów nie mnie sądzić. O ich kształcie i stylu polskim dadzą wyobrażenie wyjątki. Tu jedna tylko uwaga: to, że im późniejsze, tem są świetniejsze; młodociany «Agamemnon», słabszy daleko od «Eumenid» i od ostatnich «Persów». Są zaś pewne sytuacye, które on oddaje ze szczególną siłą i natchnieniem, znać poruszają go najgłębiej. Taką jest naprzykład Prometeusza duma i niezłomność, takie skargi i lamenty Persów, i ducha Daryusza groźne, smutne do nich wyrzuty.

### Z «PROMETEUSZA».

GWAŁT *i* PRZEMOC *wiodą* PROMETEUSZA, *za nimi idzie* HEFAJST *z kajdanami i narzędziami kowalskiemi.*

PRZEMOC.

W dalekie ziemi przybyliśmy krańce
Scytyjską drogą, pustą i bezludną.
Z rozkazu Zeusa bierz się do roboty,
Hefajście! Pomnij, że ci Zeus polecił
Tego zuchwalca do nadmorskiej skały
Niepożytemi przykuć kajdanami.
On-to niebiosom ukradł ogień święty,
On cudotwórczy dał ogień śmiertelnym,
On wziął ci klejnot, któregoś był panem!
Niechże więc spłaca świętokradztwa zbrodnię,
Niech się nauczy czcić rządy Kroniona,
Miłość ludzkości niech wygasi w łonie.

HEFAJST.

Gwałcie! Przemocy! Co wam Zeus polecił,
Dokonaliście. Mnie reszty dokonać,
Ale mi ciężko — ciężko mi krewnego
Bogów przykuwać do odludnej skały!
Nie mam odwagi, a trzeba odwagi,
Bo ciężko ojca nie słuchać rozkazów.

Mądrej Temidy wolnodumcze dziecię.
Wbrew sercu muszę ć temi kajdanami
Do tych samotnych przykować granitów.
Twarzy tu ludzkiej nie spotkasz, ni głosu,
Młodziencze ciało zwiędnie ci od skwaru
Jasnego słońca, a choć upragniona,
Gwiazd tysiącami przetkana, noc tobie
Zwilży powieki, to wnet jarkie słońce
Utrapionemu ulgi pozazdrości,
I chłodną rosę wypije z oblicza.
Straszną ci będzie każda teraźniejszość,
A nie urodził się, kto-by ci pomógł!
Takie owoce niesie miłość ludzi!
Czemużeś, rodu bożego potomku.
Tak mało gniewu obawiał się bogów,
A ponad słuszność czcił śmiertelne stwory?
Przyszło ci stróżem tej skały być smutnym;
Z rozpiętem ciałem, z niezgiętem kolanem
Przyszło ci wieczność przepędzać bezsennie,
W płaczu i skardze przepędzać daremnej.
Zeus bo, jak każdy, co się dorwał władzy,
Nieprzebłagany jest i niezmiękczony.

PRZEMOC.

Przestań zawodzić i zwlekać daremnie!
Cóż to? Wrogiego bogom szczędzisz boga,
Co dar twój własny śmiertelnikom zdradził?

HEFAJST.

Wielkąż-bo krwi jest i związków potęga.

PRZEMOC.

Nieposłuszeństwa strach większym być musi.

HEFAJST.

Pełnaś dzikości, a bez miłosierdzia.

PRZEMOC.

Łzy tu daremne, więc nie trudź się łzami.

HEFAJST.

Stokroć przeklęte rąk moich rzemiosło!

. . . . . . . . . . . . . . .

PROMETEUSZ.

O święta powietrzna przestrzeni,
O wiatru powiewy skrzydlate,
O źródła przeczyste szumiących strumieni,
O morskie wy fale, które blask rumieni,
Śmiejące, wesołe, bez końca.
O ziemio, ty matko, w ubiory bogate
Strojna od słońca,
Ty, słońce, wszechwładną patrzące źrenicą,
Patrzajcie, co boga od bogów dotknęło!
Jaka hańba i jaka męczarnia!...
Patrzajcie: to Zeusa dzieło!
Napróżno ma boleść gdzieś przyszłość ogarnia:
Lat krocie otchłanną mnie chłoną ciemnicą,
Nie widzę wybawcy i końca!

Ależ! co mówię? Wszak znam przyszłość moją,
Żadna mi boleść nowością nie będzie,
Los mój znieść muszę, przeznaczeń potęga
Jest nieugięta. Lecz milczeć mi trudno,
Choć trudno mówić o losu wyrokach.
Żem zniósł śmiertelnym wielki niebian udział,
Żem światła skryte otworzył im źródło,
Sztuk niezliczonych skarbnicę bogatą:

Za to mi gniecie kark to jarzmo kary,
Za to przykuty jęczę na tym szczycie.
        Lecz oto!
Co za szmer, co za woń ku mnie nadlata
Z świata śmiertelnych, czyli z bogów świata?
Miałaż-by wabić ciekawość skrzydlata
Lub co innego, gości w to pustkowie?
Ktobądź się zbliża, ludzie, czy bogowie,
Patrzcie! Okuty Prometej tu stoi,
Wróg Zeusa, bóg sam, od bogów wygnany,
Ile do Zeusa wchodzi ich podwoi,
Bóg odepchnięty, że kochał ziemiany!
Ha! Znowu szelest niby ptasząt słyszę,
Cichy szmer skrzydeł mąci niebios ciszę,
Coś zbliża się i lęk mnie napada!

*(Od strony morza przybywa niesiony przez ptaki Chór Okeanid).*

CHÓR.

Strofa

        Bądź bez obawy!
Przyjazne tobie skrzydłami wiotkiemi
Szybko na kraniec biegniemy ziemi,
        Zmiękczywszy serce rodzica.
W nadmorskich nas grotach pobudził młot krwawy,
        A przestrach nieśmiałość nam z lica
                Spędził rumianą:
Bledziuchne na twarzy i z kosą rozwianą,
Z bosemi nóżkami my ptaszym rydwanom
        Wieźć się kazały ku tobie.

PROMETEUSZ.

        O córki Tetydy! o dzieci
Okeanosa, co morza strumieniem,
Bezsenny, ziemię obejmuje świętą,
O dzieci, popatrzcie! Jam w wielkiej żałobie,
Ja kajdan żelaznym przykuty pierścieniem,
Na stróża, mnie skałom rozpięto!

CHÓR.

Antistrofa.

Ach! Widzim ciebie!
Źrenice nasze mgłą zaszły nam białą
Od łez, któremi nam oko wzbierało,
Gdyśmy wionęły ku szczytom:
O drogi! Ty w wielkiej usychasz potrzebie,
Okrutnie do skał cię przybito!
Biada! ród nowy
Panuje w Olimpie, ponury, surowy,
Nowemi prawami ugniata Zeus głowy
Pierwej władnące berłami.

PROMETEUSZ.

O, gdyby mnie zepchnął do Hadu,
W noc Tartarosa, co umarłe gości,
Góry granitów na pierś mi położył!
Niech-bym się tylko nie spotkał z bogami,
Ani szyderstwa zwycięzców nie dożył!
On rzucił mnie na cel ich złości!...

CHÓR.

Strofa.

Któryż z bogów ma serce z kamienia,
By takim widokiem się cieszył?
Któż jest, aby z litością nie śpieszył
Ulgą cierpienia?
Zeus jeden, co boże Uranosa plemię
Niezmordowaną dłonią ugniata,
On nie spocznie, aż ujrzy rzucone o ziemię...
Albo dopóki mu podstęp władzy nie wydrze bułata.

PROMETEUSZ.

A przecież czas przyjdzie gdy wszechwładcy nieba
Pokurczonego kajdan brzemieniem
Będzie potrzeba;

Ja jeden znam matnię, co zgubna nań czyha:
Lecz próżno z ust sączyć będzie miód wymowy,
Napróżno gromkiemi przerażać mnie słowy.
Nie złamie milczenia pierś cicha,
Dopóki mi własnem nie zdejmie ramieniem
Więzów z bolesnej postaci,
Dopóki mi zadość czyniąc
Hańby i krzywdy nie spłaci.

CHÓR.

Antistrofa.

Twardym jesteś na twoje męczarnie!
Puszczasz wodze śmiałemu duchowi!
Mnie zaś w zimne strach ramiona garnie,
Bo któż mi powie,
Gdzie kres, gdzie koniec strasznej twojej męki?
Gdzie przystań spoczynku i ciszy?
Niezbadana-bo przyszłość z Kronionowej ręki.
Twardy, łez on nie widzi i jęków nie słyszy.

PROMETEUSZ.

A przecież czas przyjdzie, gdy sędzia ów srogi,
Co władzą swoją, władzy swojej k'woli
Potępia bogi,
Zwolnieje łagodny, gdy los go mój spotka...

. . . . . . . . . . . . . . . . .

## Z «PERSÓW».

### SCENA I.

CHÓR.

Perskiego ludu czestną my starszyną,
Wybraną przez syny Daryusza
Ku stróży pałacom, ku stróży krainom,
Gdy naród na wojnę wyrusza.

Wyruszył! Helladę potłumić zuchwałą,
Wyruszył bezbrzeżną gdzieś falą:
Nam starym drży serce przed przeczuć nawałą,
Łzą trwogi się oczy kryształą.
Od złota błyszczeli, rdzeń siły, kość z kości,
Kwiat dzielnej, rycerskiej młodzieży:
A z wieścią zwycięstwa, a z słowem radości,
Ni jezdny, ni pieszy nie bieży.

Ze starej Suzy, z złotej Ekbatany,
Z murów Kissyńskiego grodu
Poszli — tłum nieprzejrzany,
Nieprzeliczony narodu...
Jeźdźców błyszczące szeregi,
Piechoty wężowe skręty:
Tam, gdzie Oceanu brzegi
Pochłonęły ich okręty.

. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .

Króla Persów, króla królów sługi,
Pany wojska, wodze nad wodzami!
Ziemia dudni pod ich rumakami,
Od ich łuków biją światła strugi,
Strach od hufców ich podlata blady,
Poszli ugnieść zuchwalstwo Hellady.

Poszedł Masistr i Artembar,
Koni dzikich poskromiciel;
Poszedł Imaj łukozbrojny,
Farandekes, mocarz wojny,
Sostan poszedł, lwów niszczyciel.
Z Nilowej bujnej doliny,
Za rzeką, co miota falami,
Egiptu poszły syny;
Susigan, Pegastagon, Arsames,
Memfis świętego pan możny,
I ten, co władnie Tebami,
Ariomardes pobożny;

Z wybrzeża, na morza straży
Poszedł tłum niezliczony żeglarzy.

Toż z Lydów miękkiego narodu
Poszedł tłum bez miary,
Poszli z Lydii starej
Arktej i Matragat książęcy:
Z złotego Sardes, z wysokiego grodu
Mnogo zagrzmiało tysięcy
Wojennych wozów, rumaki wartkiemi
Parą, lub trójką goniących z wysoka:
Cudo dla oka,
Dziw groźny drgającej ziemi.
Od Tmolu gór i łanów nieprzejrzanych
Poszli. Tharybes i Mardon w pochodzie.
Co procarzy jest w Myzów narodzie.
Poszło wszystko. Z złotem wykładanych
Babilonu bram, jak wąż tęczowy,
Popłynęły mnogie ludu głowy,
Plemię majtków i strzelców gromady.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Kwiat ludów Persyi, Azyi plon bogaty
Poszedł w dalekie strony,
I Azya wzdycha, liczą czas skrzydlaty
Matki i żony:
Tęsknota je zmaga, łza z oczu im ciecze,
A chwila za chwilą się wlecze.

Strofa 1.

Już-bo przecie króla królów niewstrzymana armia cała
W kraj sąsiedni, w kraj zuchwalców ostrym prądem wbiedz musiała.
Już przez fale Hellespontu, mostem, co mu kark ugniata,
Spłynąć musiał prąd narodów, zdolen zdobyć końce świata.

Antistrofa 1.

Już od lądu i od morza najdzielniejszych śląc bojarzy,
Jako burza zagnać musiał panów pan, mocarz mocarzy,

Chmury ludów, chmury czarne i na strasznej ich rozłodze
Błysnąć słońcem, on, syn słońca, pogrążonym w niemej trwodze.

Strofa 2.

Już tam świeci, ognie zionąc, jak na łupy smok napięty
Oszczepami Babilonu, Assyrskiemi toż okręty,
Chmurą strzał rzuconych odzian, dzid najeżon strasznym rojem
Poszedł mocą nad mocami, niezwalczonym poszedł bojem.

Antistrofa 2.

Kto się waży stawić czoła strasznej wojsk szumiącej fali,
Kto żelazną stając tamą, pochód naprzód mórz oddali,
Kto powstrzyma prąd szalony pękających wraz czeluści?
Kto odeprze moce Persów, mocy Azyi nie dopuści?

Mezodos.

Bóstwo tylko! tylko bóstwo... to gdy myśl poweźmie zdradną,
Próżny odwrót stóp najszybszych: brzegu życia nie dopadną...
Nie wyplączą się z więcierza, gdzie zwabione weszły snadnie...
Kto śmiertelny się urodził, w nieśmiertelnych moc popadnie.

Strofa 3.

Bóg od wieków Persom znaczył dzielne i zwycięskie boje,
Zdobycz grodów, miast zniszczenie, i rycerskich łupów stroje:
W szczerem polu, wśród rumaków, co wściekłością rżą bojową,
Dał najwyżej podnieść sztandar, szablą świecić dał stalową.

Antistrofa 3.

Lecz ten lud znać zaufany w dzikim oceanu szumie,
Świętość jego poznał groźną, głębin jego myśl rozumie,
W ciasnej nawy swej skorupie, w poruszanym falą domu
Żaglom swoim się powierza, nie chcąc prymu dać nikomu.

Strofa 4.

Stąd i trwoga mojej duszy, stąd w umyśle ciemność nocy!
Cyt! bo dojdzie jęk mej piersi do bram Suzy, do sierocej,

Bo wysoki gród Kissyjski echem trwogi mej się stanie
I niewiasty wyjdą z grodu, rwąc zasłony i ubranie.
Gdy z pszczelnego ula ludu tłum wyroił się za panem,
Pozostały ze łzą w oku, z włosem zostały rozwianym.
Zwilżył płacz małżeńskie łoża, gdzie zamieszkał smutek wdowi:
Cyt! o troskach naszej duszy niech stęskniona się nie dowie.
Raczej siedząc na stopniach książęcego grodu
Radźmy cicho nad dolą narodu,
Radźmy, co z Xerxesem się dzieje,
Potężnego synem Dareja,
Czy powrotu i zwycięstw Xerxowych
Daleka, czy blizka nadzieja.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

CHÓR.

Ani zbytnia pewność szczęścia, ani zbytnia o zło troska
Niech twej duszy nie przyciska, o Atosso, pani boska.
Módl się raczej ty do bogów, niech odwrócą cios mierzony
Na sędziwą twoje głowę i syna, co ulubiony
Naszą, twoją jest pociechą. Cieniom zmarłych też ofiary
Nie poskąpisz, skoro we śnie Daryusz zjawił ci się stary.
Niech z ciemności grobu światło ześle ci na padół ziemi,
Niech światłością zło pochłonie, drżące nad głowy naszemi.
Wszystko jeszcze szczęsny skutek znaleść może, jako tuszę.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

## SCENA III.

POSŁANIEC *(wchodzi)*.

O biada! miastom Azyi biada,
Biada Persyi bogatej!
Jeden cios a sztandar poszedł w szmaty,
Co nad kwiatem rycerstwa powiewał...
O, czemu chciał los,
Abym klęski nasze obwoływał.

Abym głosił, że ten cios
Zniszczył nas!
Powiem krótko, powiem wraz:
Wojska naszego już niema...

CHÓR.

Okropność! okropność! Persowie,
Któż usty wypowie,
Kto wypłacze oczyma.

POSŁANIEC.

Przepadło wszystko! wszystko! sam się dziwię,
Że światło niebios oglądam szczęśliwie.

CHÓR.

Czego przyszło się doczekać,
Na co starców patrzeć będą oczy:
Persom-że uciekać!
Persów-że — wróg troczy!

POSŁANIEC.

Okropna prawda! nie z innych ją brałem,
Ale patrzałem! patrzałem! patrzałem!

CHÓR.

Azya poszła, Azya cała,
Poszła, zbroic bez końca.
Nie! nie podołała
Helladzie córka słońca!

POSŁANIEC.

Nie! nie! trupami leżą wasze syny,
Gdzie Salaminy toń, brzeg Salaminy!

CHÓR.

O, widziałeś na twe oczy,
Widziałeś, jak je przewala,
Jak się krwią ich broczy
Zdradliwa fala?

POSŁANIEC.

Nie pomogły oszczepy i strzały,
Uderzyły okręty... strzaskały!

CHÓR.

O, w krzyk nam! w lamenty!
W biadanie! w rozpacze!
Zgubiony, podcięty
Lud Persów niech płacze!

POSŁANIEC.

O, póki życia, dopóki godziny,
Aten nam pomnieć, pomnieć Salaminy!

. . . . . . . . . . . . . . . .

POSŁANIEC.

Po liczbie, iście, nam się tryumf znaczył:
Xerxes nad żagli przewodził tysiącem,
Dwieście siedm sławnych biegiem swoim rwący
Wiódł naprzód... Garstkę przed sobą zobaczył,
Było naw razem trzy razy trzydzieści,
Dziesięć pospiesznych w tej liczbie się mieści.
Lecz nie myśl pani, by nas pokonano!...
Nas demon jakiś zgniótł w to straszne rano,
Bogowie sami gnietli nas swą dłonią,
Oni, co sami gród Pallady bronią!

ATOSSA.

Więc stoi Aten gród — i niezburzony?

POSŁANIEC.

Z męskich ma piersi mur — mur doświadczony.

ATOSSA.

Mów, kto bój zaczął? Helleńskie ziemiany,
Czy syn mój, w siłę swoją zadufany?

POSŁANIEC.

Duch jakiś zaczął zły, o zdradzie w oku!
U syna twego jakiś mąż ateński
Zjawił się, twierdząc, że o pierwszym mroku
W ucieczce szukać będzie lud helleński
Przed straszną Persów przewagą zbawienia.
Syn twój, wszelkiego próżen podejrzenia,
Zazdrości bogów zdradzieckiej niepomny,
Powołał wodze floty swej ogromnej.
Więc skoro w morzu oko słońca zgaśnie,
A noc świetlane powietrze pokona,
Kazał się flocie w trzy dzielić ramiona,
By, pochwytawszy uchodzących właśnie,
Żadnego z Greków nie puściła żywo.
Nie wiedział w dumy pogrążony szale,
W jaką to wyrzekł chwilę nieszczęśliwą.
Potężny rozkaz obiegł morza fale —
Wieczerzę perscy gotują żeglarze,
I wiążą wiosła, jak pan ludów każe.
Toż gdy ostatni przygasł promień dniowy,
Gdy noc nadeszła, każdy mąż gotowy
Z bronią się pełną znajdzie na pokładzie.
Hasła wojenne od nawy do nawy
Płyną, do wielkiej szykując się sprawy.
Noc całą pluszcze fal wiosły sieczona,
A każda nawa tam, gdzie przeznaczona,
Stanie wśród śpiącej i ciemnej zatoki.
Ale noc przeszła, a w ciszy głębokiej
Nigdzieś nie spotkał drżącej Greków trwogi.
Toż gdy porankiem w jasnej świata fali
Brzeg się dokoła zatoki zapali,
Od naw helleńskich powiał śpiew radosny,
A skał nadbrzeżnych echa uroczyste
Krzyk ich wojenny odbiły rozgłośny,
Że barbarzyniec zadrżał przerażony!
Nie strachem brzmiały te głosy faliste
Wojennym ku nam huczały zapałem,
Miedziane trąby gromko im wtórzyły:

Szybko, w takt pieśni, z wysuniętem ciałem
Równemi wiosły nawy morze biły,
Że w roziskrzonym rąbku morskiej piany
Nagle zjawili się, jak bóg zgniewany.
Prawem się skrzydłem ruszyli do biegu,
Za niem w ściśnionym cały tłum szeregu
Rwał się wśród krzyku: W bój dzieci Hellady,
W bój za ojczyznę, za bogów, za dziady,
Leżące w grobach, za dzieci i żony.
Chodzi o wszystko! Więc i z naszej strony
Wołań nie brakło! Walki czas nadchodził,
W tyryjski okręt helleński ugodził,
Od dzióba padły stroje jego złote,
Z trzaskiem się nawy waliły w ciasnotę,
Gniotąc się, dzióby dziurawiąc ostremi,
Morze się krwawej zdało płatem ziemi.
Zrazu trzymamy się liczby przemocą,
Ale zagnanych w zatoki cieśniny
Gubi nas natłok, gnieciem się w ruiny,
Pękają wioseł wśród trzasku krawędzie,
Mniejsze pod większych toną statki wagą,
Gdy greckie prą nas, ściskają, gruchocą,
Żelazną w koło trzymając obręczą.
Wtedy od ruder zniszczonych okrętów,
Od ciał, co toną, od rannych, co jęczą,
Jużeś zielonych nie ujrzał odmętów,
Tylko co żywo, co wiosłu podoła,
W dal gdzieś goniło, co ujść mogło zdrowo
Pod gradem gruzów, co żeglarzy czoła
Ranią, wśród krzyku, gdzie rozpaczy słowo
Z tryumfujących wiązało się śmiechem,
Zielonej fali powtarzane echem.
Tak aż do nocy, czarnej nocy trwało
Dnieby minęły, zanimby zdołało
Ucho człowieka objąć grozę klęski...
Bo nigdy, nigdy, odkąd hymn zwycięski
Naród nad drugim narodem zaśpiewał,
Nie była taka rzeź i strach nie bywał.

. . . . . . . . . . . . . . .

CHÓR.

O słysz mnie błogosławiony
Boski władzco, użycz ucha!
Z głębi złamanego ducha
Wołam do cię, zwycięski, uwielbiony,
Wołam w boleści ku tobie!
O, czyli mnie ty słyszysz w tym grobie!

O Gajo, o zmarłych stróże,
Puśćcie władzcę nad władcami,
Niech stanie między nami
Tchnienie królewskie, boże.
Ten, co nie miał równego sobie
W żadnym grobie Persyi, w żadnym grobie!

Droga głowo, w cieniach śmierci drogi klejnocie zamkniony,
Zaświeć nam, o zaświeć nam blaskiem pomocy, obrony,
Hadesie, wróć go nam, jak był potężny, niezwyciężony!
Nigdyś, nigdy ludu swego na marne nie wodził boje,
Kochanek bogów imię twe, szczęśliwe imię twoje,
Gdyś wiódł, toś do zwycięstw wiódł, w królewskie odzian stroje.

O wstań, o pójdź,
Pieluchy grobu rzuć.
Królewska na skroni tyara,
Na nogach sandałów para
Złotych barwą szafranu...
Niech się skłonię i ojcu i panu!

O wstań, o słysz,
W wspaniałej myśli pisz
Moją skargę, moje boleści!
Słyszę już! to Styx szeleści,
Wstajesz z kurhanu,
Niech poskarżę się ojcu i panu!

Niezapomniany,
Nieopłakany
Nigdy zadosyć!
Czybyż nam było przyszło przed tobą

Krzyk ten podnosić,
Gdybyś żałobą
Nie powlókł nas sierocą?
Śmiercią twą, panie, królu nasz święty,
Giną okręty,
Floty się nasze gruchocą!

## SCENA VI.

DUCH DARYUSZA *(wstając z grobowca).*

Starszyno perska! wierne druhy moje,
Wierni nad wiernych, cóż za niepokoje,
Jaki krzyk ziemię ojczystą porusza?...
Jaka przyczyna. że wdowa Daryusza
Obiaty niesie na grób swego męża,
A dzielnych moich tak boleść zwycięża?
Sen mi wieczysty przerwaliście trwogą,
Nie pomnąc iście, jaką trudną drogą
Ku światłu iść nam dziennemu przychodzi,
Że bogi Hadu przyjmują nas skoro,
Lecz nie puszczają tych, których zabiorą.
Dobrzeć, że nawet i tam mi nie schodzi
Na władczem słowie, żem mógł się wydostać...
Więc mówcie, mówcie, skąd ta rzeczy postać?...

CHÓR.

Święty strach nas chwyta
Na twój widok, władczy panie!
Jak za dni, gdyś dzierżał panowanie...
Drżę, gdy pan nasz i król nasz mnie pyta.

DARYUSZ.

Na głos wasz z Hadu przybyłem otchłani,
Mówcie mi wszystko, mówcie niezmieszani.

. . . . . . . . . . . . . . . .

DARYUSZ.

Więc dokonało się, w pełni stanęło
Straszne, na zawsze wiekopomne dzieło,

Dzieło zniszczenia! Więc opustoszała
Suza, na którą z Jowisza przejrzenia,
Trzody i mnogie chroniąc pokolenia
Dłoń jedna zawsze, króla dłoń władała!
Gdzie władał Medos, pierwszy wódz narodu,
Gdzie syn Medosa dokończył budowy,
Mądrości steru dzierżąc się surowej!
Gdzie Kyros, szczęścia kochanek od młodu,
Pokoju darem świat weselił cały,
A łagodnemu nie zazdrościł chwały
Bóg, chociaż Lidyę i Frygię pozyskał,
Zwycięskim mieczem Jaonię uciskał!
Gdzie syn Kyrosa władał, gdzie Mardosa
Złość nie szkodziła, bo dały niebiosa
Artafernowi zmieść Persyi zakałę;
Gdzie ja z kolei przywdziałem koronę,
Niejedno z ludem zwycięstwo wspaniałe
Odnosząc, wszelkiej unikając klęski.
Na mego syna, na dziecię rodzone
Przyszło ten pochód zakończyć zwycięski
Szałem młodości, spuścizny zdeptaniem.
O męże moi, wy głośnem biadaniem
Świadczcie, że żaden, ilu ziemią władło,
Nie bywał, jakim jemu być wypadło!

CHÓR.

O królu wielki, zwróć słowo inaczej,
Nie żądaj świadectw, ty powiedz nam raczej:
Jak wyratować lud Persów z obieży?

Wszak dobrze oddany majestat wielkości i bólu? A teraz zobaczymy, że i z innego tonu grać umie:

### Z «PTAKÓW».

DUDEK.

Obudź się małżonko moja, obudź się Prokno smętna,
Itysa, dziecięcia naszego, zmarłego dziecięcia pamiętna
Rozpłyń się w pieśni żalu z głębokiej piersi matczynej:
Przez zwoje liści szemrzące, przez ciemne jasionu krzewiny,

Do tronu Zeusa niech leci, gdzie bóg z kędziory złotemi
Uderzy w lutnię zbudzony, spółczując z matką na ziemi,
Aż pieśni Olimpu dźwięki, aż żalów twych zawodzenia
Połączą się w nutę jedną: tęsknoty, boleści, natchnienia.

PROJEKTOWICZ.

Jaki ptaszęcy głosik — miodem płynie
W piersi człowiecze.

ZŁOTOGÓRSKI.

Milcz, zaczyna ninie,

SŁOWIK.

Epopoi, popopo, popoi
Jo! ito, ito!
O chodźcie skrzydlata
Bracio, co swobodnie lata
Gdzie rolnika łan,
Chodźcie zjadacze jęczmienia,
Co w skoczny tan
Oblatujecie,
Obskakujecie,
Zagony pełne nasienia,
I głową kręcicie,
I wdzięcznie nucicie:
Tio to! tio tio! tio to!
I wy także,
Wy z ogrodu,
Wy od wschodu
I zachodu,
W bluszczu gałązkach,
W krzakach gór
Igrający chór,
Z jagód żyjący,
I śpiewający:
Trioto, troto, tritobrix.
I wy i wy,
Co w tym czasie,

Po bagnach, po łące
Za muchami brodzicie,
W Maratonu okolice,
O chodźcie kuliku, bekasie!
I wy co lecicie,
Nad morze szumiące,
Chodźcie! Stała się nowina,
Przyszedł mąż, co ród cały ściągający szyją,[1])
Do czynu napomina.
Mądry umysł, bystra głowa,
Wielki pomysł dla nas chowa.
Niech leci, co żyje,
Niech leci, co śpiewa,
Co głosu używa;
Tororo tororinx!

CHÓR.

O piękna, o ty słodka, o białowłosa ptaszyno,
Śpiewów naszych towarzyszko skrzydlata;
Niesiesz pieśń? Zacznij pieśń z twojego świata...
Niechaj tony, wiosny tony z piersi twej płyną,
O piękna, o ty słodka, o białowłosa ptaszyno.

PROKNE.

O wy mieszkańcy cieniów, wy nędzne lepianki z gliny,
Wiotkie widziadła senne, przewiewne liście jesienne,
Śmiertelne ziemi syny,
Posłyszcie pieśni naszej, nas wiecznych pieśni wiecznej
Dzieci eteru śmiałych, o prawach niebios wspaniałych,
Posłuchajcie powieści statecznej,
Co tajemnic nas ptaków i bogów początek zamyka,
Co początek nocy i chaosu;
Posłuchajcie głosu,
Abyście wzgardzić umieli próżnem mędrkowstwem Prodyka[2]).

---

[1]) Co za wyborna charakterystyka ptaków! Jakie chwycenie gestu, który wszystkim bez wyjątku, a każdemu inaczej jest właściwym!

[2]) Sofista, trudniący się kosmo- i teogonią.

Noc była, Chaos tylko i wielkie Erebu pustkowie,
Ziemi, nieba nie było, powietrza nie było przestrzeni,
Kiedy noc ciemno-skrzydła, wsparta o wichrów wezgłowie,
Prajajo urodziła, z którego w czasów bezdeni
Namiętny wyszedł Eros złotemi skrzydły skrzydlaty:
Szybki jak wiatr pustyni pogonił chaosu światy.
On-to z cieni Tartaru, niby swoich pragnień wątek,
Wypuścił w świat ród ptaszy, z Erosa biorą początek.

Nie było jeszcze śmiertelnych, ziemi, i bogów, i ludzi,
Eros-to mieszając wszystko z nami do życia ich budzi.
I patrzcie jaka pamięć starszeństwa ptakom została:
Drużką nam para każda, co się poznała, kochała,
Podarunkami ptasząt wabi się dotąd dziewczyna,
Gołąbkiem i przepiórką, miłość od ptasząt się wszczyna.

Lecz i wszelakie dobro od nas swój początek mieni:
Myśmy wróżbity wiosny, zimy i późnej jesieni.
My śpiewami żórawia w pole wołamy rolnika,
Za naszym głosem żeglarz z sterem do domu umyka,
Czaplą wieścimy wiosnę, jaskółką dajemy znaki:
Sprzedajcie futro zimowe, letnie wdziewajcie kubraki.

Zeusem-Ammonem, Febem, Dodoną jesteśmy, Delfami.
Nim zaczniecie rzecz jaką, za nami patrzycie, za nami,
W chudobie i miłości przyszłość wam ptakiem się zdaje,
Kłamliwa kaczka z wieścią oblata grody i kraje,
Dudkiem wam głupi człowiek, niezdarny sługa gawronem:
A co, czyśmy nie Febem, czyśmy wam nie Apollonem?

O uznajcie nas bogami,
Dobrze, dobrze będzie z nami,
Nie ucieknięm pod obłoki,
Jak ten Zeus piorunooki;
Blizko was upleciem gniazdo.
Nad kołyską waszych dzieci,
Opiekuńcze ptaszę wzleci,
Zdrowia, szczęścia wzleci gwiazdą!
Radość będzie i biesiada,
Wieczna młodość, wieczne tany,

W ptasiem mleku ukąpany,
Każdy syty i szczęśliwy!
Dziwy będą, będą dziwy,
Jak ród ptaszy światem włada!

PÓŁCHÓR.

O muzo leśnej zaciszy,
Tio tio tio tiotorinx!
Bądź pozdrowiona!
Z tobą ja często pośród dolin łona,
Na wzgórzach, gdzie echo mnie słyszy,
Zawodzę chór
Kołysany gałązką jesiona.
Tio tio tio tio tiotorinx!
Panowie w cześć,
W cześć matce gór,
Stamtąd ja wieść
Słodkie Frynicha umiem wieść piosenki,
Wabiąc je na dźwięki:
Tio tio tiotio tiotiorinx!

CHÓR.

Jeśli który z was słuchacze życia ptaków upragniony,
Niech przybywa, inne prawa u ptasiego kwitną rodu:
Nieraz synek na tatunia nagłym gniewem rozperzony,
Ostrym zerwie się pazurkiem. Lecz uchodzi to za młodu.
Nieraz sługa da drapaka i to mu uchodzi czasem,
Ledwie, że srokatym za to nazwać zwykli go bekasem.
I przemycać się cichaczem za złe nie bierzem nikomu.
Spintaros wasz i Exesyd znajdą u nas się jak w domu.
Pizyasz[1]) nawet, który wrogom otwarł wrota i uciekał
Pod nazwiskiem kuropatwy, u nas nie będzie narzekał.

PÓŁCHÓR.

Wszakżeż łabędzie
Tiotio, tiotio, tiotorinx

---

[1]) Alluzya do nieznanych Ateńczyków.

Z skrzydły szumnemi,
Z sitowia ziemi
Zerwą się w pędzie
Na Hebru fal:
Tiotio, tiotio, tiotorinx.
Eteru chmury pieśń ich przebiła,
W lesie się zwierząt zbudziła siła.
Wzruszone wody pomknęły w dal:
Tiotio, tiotio, tiotinx.
Odbrzmiało niebo pieśnią łabędzi,
Koło taneczne Charytów pędzi,
Muz wdzięczny chór
Biegnie na wtór:
Tio tio, tiotio, tiotorinx!

Drobnych wierszy w tych późniejszych latach bardzo mało, prawie niema ich wcale, a jak się zdarzą, nigdy o sobie, o własnych uczuciach, czy wrażeniach: stan społeczeństwa, jego usposobienia i potrzeby, a przedewszystkiem potrzeba jasnych, świadomych siebie, przekonań, zgodności postępowania z przekonaniem, potrzeba odwagi, hartu, charakteru, oto — co go do pisania pobudza, co z niego wybucha słowem nieraz szorstkiem, zawsze poważnem, i ciężkiem od myśli. Wystarczy na to lada okoliczność, nawet zwykła i drobna, jak składkowy obiad naprzykład, a na tym obiedzie toast «Kochajmy się».

O naszej niezgodzie prawiono już wiele,
O łatwej ja zgodzie dziś raczej wystrzelę:
Zapytam, czy raczej niezdrowo, przedwcześnie
Nie brzmiały tam u nas: Kochajmy się! pieśnie,
Czy nie brzmią po dziś dzień wołania do zgody
Rozumu i głupstwa — płomienia i wody?

Gdzie twardych walk braknie o życia zadanie,
Tam, czy to przy Węgrze, czyli przy Szampanie,

Całować się, kochać, i upić się łatwo
Dojrzałym z warchoły, starszyźnie wraz z dziatwą.
Gdzie silnie przy dobrem nie stanie mąż woli,
Tam złemu i głupstwu się kochać pozwoli.

Zanadto też było tego się kochania
W przeszłości, na braci swawolnej wierzgania,
Zanadto! Zbyt łatwo przy czarze Węgrzyna,
Regalista ściskał dłoń Rokoszanina,
Zbyt łatwo też w imię ciepłych słów powodzi,
I u nas starszyznę zwykli wodzić młodzi.

Nie! Zgodą maślaną marnieją narody:
Marnieją, gdy górą nad krewki duch młody,
Nad zapał, co w chwili namiętnej porywa,
Nie schwycą je ciężkie przekonań ogniwa,
Gdy ponad wzgląd każdy, nad uczuć wołanie
Nie stanie im prawda — odwaga nie stanie.

Nie! Zdrowy i silny gniew święty ma w oku,
Gdy krnąbrni zuchwalce zrywają się z troku.
Gdy pycha i głupstwo publiczną rzecz kazi,
Gdy z słówek złoconych prywata wyłazi,
Gdy z mózgów zwichrzonych trucizna pociecze —
Kochajmy się? tak zdrowy, tak silny nie rzecze.

Nie, rzecze! bo bardziej nad siebie i brata,
On kocha myśl wyższą, co nad nim ulata,
On prawdy zdobytej trudem życia strzeże,
On pragnie mieć w życiu, co w myśli i wierze;
Ku celom wysokim zwrócony skwapliwie,
Nie kocha się łatwo, bo kocha prawdziwie.

Kochając, chcieć musi, chcąc, łatwo nie może
Się kochać, dopóki jedne myśli Boże
Nie błysną w źrenicy, co k'niemu zwrócona,
Dopóki nie złączą się bratnie ramiona,
By dźwigać jednako, by dźwigać statecznie,
I jedno kochając, pokochać się wiecznie.

Jest jeszcze kilka satyr, tej samej zawsze treści i dążności. Szujski mniemał i mawiał, że na ludzi, głuchych na głos sumienia, i na głos rozumu, bywa czasem jedyną radą i środkiem strach: strach śmieszności, a potem gorszy strach prawdy, strach, żeby świat nie zobaczył, jaka czasem pod piękną maską kryje się twarz nieszlachetna i brzydka, jaka pod szumnemi słowy myśl płytka. Broni tej używał on nieraz i nie bez skutku. W ostatnich latach życia uważał, że ona staje się potrzebniejszą, i napisał satyr kilka. Są o bieżących opiniach, sądach i dyskusyach, — te pomińmy. Ale są i takie, które się odnoszą do naszych stałych usposobień. Oto jedna naprzykład o naszej zbytniej pobłażliwości, miękkości, którą bierzemy mylnie za dobroć i jako taką cenimy ją w sobie:

DOBROĆ SERCA.

Szlachetność, przebaczenie, litość, wzgląd zasługi,
Tak miękkości się polskich mieni szereg długi.
Znaj, wrogu, polski rezon, wzniosłość przyrodzoną,
Znaj łaskę, winowajco! wolno cię puszczono!
Szkodliwyś? jest doktrynka, która cię rozgrzesza,
Przewrotnyś? przebaczenie zmieni cię, pomiesza,
Nawróci, wszem cię wobec zawstydzi przed tłumem;
Bezkarność jest mądrością, mazgajstwo rozumem.

Pięknie! Dobrym niech bywa, kto się dobrym mieni,
Tylko z własnych funduszów, nie z cudzej kieszeni;
Tam, gdzie dobro publiczne, bracie miły! wara!
Inna tam łagodności i dobroci miara.
Sąsiad głupstwem, nierządem, stracił wioskę tłustą,
Ty na zebraniu braci mową złotoustą

Radzisz go na pensyjce umieścić krajowej,
W instytucyi, gdzie trzeba wiedzy, hartu, głowy.
Kandydat, z ortografią w ustawnej rozterce,
Niczego się nie uczył... «Lecz dobre ma serce,
Miły sąsiad, dla dzieci potrzebuje miasta:
Kto mnie kocha, niech za nim co żywo się szasta,
Niechaj pozbiera głosy, czułe serca wzruszy,
Hodie mihi cras tibi, przemówi do duszy,
Nie święci lepią garnki». Chociaż z lichą głową,
Instytucyę ozdobił bankrut finansową.

Przy nim, pod nim, gdzie samo wymaga decorum,
Aby mieć zdolnych ludzi do kraju posługi,
Nieuk lub próżniak veniam otrzymał studiorum,
Veniam aetatis dostał przez protekcyę drugi,
Gdzie trzeba wykształcenia, biegłości, bystrości,
Tworzy się dom przytułku, dom dobroczynności.

Skłonny za krzykaczami do szafarki zdradą,
Gdy ci przed oczy jawnie wszystkich kart nie kładą.
Łotrom znanym, o których szept biega złowrogi,
Dobrze jeśli ostrożnie chciałbyć schodzić z drogi,
Ale nie: dłoń uczciwą podajesz bez sromu:
Ten hultaj, lecz patryota; tamten blaskiem domu
Brud zasłania; bezczelnie inny się wyspina.
Gdy mówisz: »Jam nie bocian, niech żyje gadzina,
Czyścić świata nie będę, zwykła rzecz hultaje,
Inni dłoń mu podają i ja mu podaję».

Tak w soki zdrowe, miękkość, dobroć przyrodzona,
Do społecznego jady zwykła puszczać łona,
Aż złych większość uczciwych z widowni wystraszy,
Aż w kącie protestujem przeciw nędzy naszej.
Dłoń uczciwego człeka brudnej nie dotyka,
Gdy nie chce sprośnym czynom dostarczyć spólnika,
W mysiej jamie sumienia nie chowa człek prawy.
Łotr rządzi? To uczciwy puścił go do sprawy.

Pan Piotr, słabe człeczysko, za warchołów dęciem,
Jak kwoka się z szkodliwem nosi przedsięwzięciem,

Zbiera ludzi, namawia. Niewinny baranek,
Alboż on wie, co robi? Wie, gdzie pełny dzbanek,
Kuchnia dobra — a lubi spotkać się w gazecie:
Ty wiesz Janie, wiesz dobrze, że on duby plecie,
Że liberał żydowski z odezwy przeziera.
Wiesz dobrze, lecz cię z Piotrem wiąże przyjaźń szczera:
«Wlazł biedak, wleźmy za nim, złe jest, lecz nieznaczne,
Zmieni się, kiedy gadać, fulminować zacznę.
Samej nie trzeba puszczać złości i głupoty,
Uczciwi rzecz poprawią». Głowy do pozłoty!
Ileżekroć ta licha rachuba zawiodła,
Bohater-reformator ile wypadł z siodła?
Ilekroć się w przewrotnym znalazłszy hałasie,
Szeptaliście po cichu: «Teraz nie na czasie:
Drażnić szkodzi» ilekroć, pozostawszy sami,
Krzyczeliście dla miłej zgody z warchołami?

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Cóż dopiero, gdy służba publiczna nas woła?
Iść z złem w szranki, łotrostwu śmiało stawić czoła,
Tępić jady społeczne, wichrzycieli krócić,
Srodze winnych — ukarać, zarazę wyrzucić:
Kogo podówczas dobroć niewczesna napada
Z podpalaczem zaiste podpala sąsiada.
Niestety, w błędów polskich zabójczym łańcuchu
Krwawem byłeś ogniwem dobroci tej duchu.
Rokoszanin powalon? strzegą jego głowy
Bracia, co z nim niedawno poszli w tan marsowy.
Zbrodniarz schwytan na króla i Ojczyzny zdradzie?
Kochał wolność! przebaczyć, niech głowy nie kładzie.
Toć i dziś, w własnej grozy nie czujem obronie:
W uczuciowych tam jeden wątpliwościach tonie,
Drugiemu posłyszana przeszkadza doktryna,
Wsiada na głupi frazes, jak na kij chłopczyna.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Miła dobroć! Gdy szyku na nieprzyjacioły
Potrzeba, ona strzela do własnej stodoły,

Gdy społeczeństwo sędzią dźwiga się i panem,
Z męża pragnie go dzieckiem, ze lwa mieć baranem,
Piętrząc nań lekkomyślnie oskarżenie winy.
Miła dobroć! lecz głębsze jej bytu przyczyny:
Płytkość uczuć jej matką i zamęt sumienia,
Siły brak, którą zdrowe stoją pokolenia,
Hamletyzm, szparki w myśli, niedołężny w czynie,
Samowola, co stawia przyszłości świątynię,
Wedle bzika, co luźnie w każdej głowie świta.
Tak, zmysłu rządu biedna ruina rozbita.
Anarchią rwiem się w górę z zguby topieliska,
A stare wraca głupstwo i w przepaść nas ciska:
Świecim w rycerskim blasku, w cudne zdobna drzewce,
Strzelba... Lecz, gdy chcesz trafić — spali na panewce.

## NARÓD-PACYENT.

Narodzie! toś ty pacyent? wiekuiste nieba!
Krzyczą, że w tobie ducha podtrzymywać trzeba,
Że gasić go nie trzeba — więc zgasić snać można?
Cóż to za Eskulapów tłuszcza nie ostrożna,
Wszem wobec na ramieniu wskazująca duszę?
Ja nie Augur, a lepiej snać o tobie tuszę.
Widzę ran, guzów, sińców bez liku w twem ciele,
Widzę wad charakteru, błędów ciężkich wiele,
Walczyć nawet gotowym z narodowym duchem,
Kiedy pod złych lub głupich ugnie się obuchem;
Lecz mniemać, że ci próżno dziewięć wieków grało,
Chrobry cię próżno stawiał, próżno szablą śmiałą,
Tysiące bohaterów w świat rąbało drogę;
Że krzyż próżno wiódł szablę — dalipan nie mogę!
Żebyć z głowy wywietrzał skrzydeł szum hussarski,
Gdyby go nie wspominał frazes dziennikarski;
Że Adama i mistrzów harfyby nie grały,
Gdyby w homeopatycznym rozczynie babrały
Codziennie mizernemi nie psowały słowy,
Co huczy w harfie mistrzów, jako psalm gromowy?

Że wodzianką tą ducha trzyma się napięcie?
Tak obrażać cię nie chcę, narodzie pacyencie.

Ducha w narodzie trzymać, nie ludzka rzecz: Boża!
Zdrowia nam tylko dana, nie żywota stróża,
Nie żywot w naszych ręku, ale żywych zdrowie,
Nie duch, lecz objaw ducha, w myśli, czynie, słowie.
Kto w drażliwym chce tylko podniecać drażliwość,
W miękkim miękkość, kto w tkliwym potęguje tkliwość,
Kto z obawy o ogień słomę ciągle pali,

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Wierz mi, mój pacyencie, lichy taki radca:
Szarlatan, co na złudnych przestaje objawach,
Albo łotr, co cię w twoich pokrzywdzić chce prawach!
Prawo twoje: potężnie dźwigać się od wnętrza,
Gdzie cię porywa przeszłość, gdzie boleść wypiętrza,
Dźwigać się wolą, wiedzą, mądrością, sumieniem,
Wbrew przeznaczeń do walki uróść z przeznaczeniem,
Nabyć czego ci braknie, co chore uzdrowić:
Sanabiles nationes! raczył Bóg przemówić!
W zwierzu tylko się instynkt jednej kształci miary,
Człowiek i naród zdolny poprawy, ofiary!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Więc, by z głębiny myśli, z sumienia głębiny,
Ku pracy odrodzenia polskie wodzić syny,
Tępić wady, co bróżdżą, krzewić jędrne cnoty,
Których brak pod tułacze przywiózł nas namioty.
Nie mówić: «gdy uczucie z prawdą stanie w sporze,
«Cofnąć prawdę, uczucie urazić się może».
W prawdzie wolność od więzów najsroższych, bo ducha.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Z głębin bólu i prawdy o sobie i świecie,
Wydobywajcie przyszłość — a życie znajdziecie.

Ostatnia, niedokończona, ma tytuł «My i Oni». Oni, to Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi; przychodziła kolej na innych, wizerunek zaczął się kreślić, ale się przerwał; choroba postępowała, siły opadały. «Nas», niema wcale.

Jeszcze jeden dramat okolicznościowy, mały. Akademia Umiejętności urządzała zjazd historyków w czterechsetną rocznicę śmierci Długosza. Sekretarzowi jej, organizatorowi tego zjazdu, historykowi, przystało, należało z obowiązku zabrać głos przy tej okazyi, złożyć po wiekach hołd wielkiemu ojcu historyografii polskiej. Zrobił to, kiedy napisał i na owym zjeździe odczytał rzecz swoją, tłómaczącą «Stanowisko Długosza w historyi Polskiej». Ale, jak dawniej przy obchodzie Kopernika, tak teraz trzeba było wymyśleć coś i na wieczór także, i dla całej publiczności. Szujski napisał na przedstawienie w teatrze sztukę, którą odegrali amatorowie, uczniowie uniwersytetu: jak wtedy o Koperniku, tak teraz o Długoszu napisać dramat nie było zapewne łatwo. Ale treść znalazła się w dziejach samych, a znaczeniem i przystosowaniem była tamtej blizką. Tam w Koperniku, to dawna jedność chrześcijańskiego świata, już rozbita na katolickie i protestanckie połowy, a zdaleka, w przyszłości ukazane skutki tego rozbicia. Tu dopiero początki, zarody tego rozbicia, to niebezpieczeństwa, jakie przynieść mogą światu starożytne pojęcia i zasady, chwytane skwapliwie, łatwowiernie, bez braku, stosowane bez rozwagi — a po drugiej stronie, prosty i silny duch katolicki, który się obawia nie światła nowego, ale jego złego zrozumienia i złego użytku. Jeden z tych kierunków wyobraża Kallimach, który przewi-

duje, nie pochwala, ale przyzwala, że świat dojdzie aż do pojęć Lukrecyusza i niemi się przejmie: drugi wyobraża Długosz. Każdy akt kończy się taką między tymi dwoma dysputą, której konkluzya brzmi tak:

DŁUGOSZ.

Straszne bywa świat widział koleje,
Straszniejsze widzieć może. Czemże płyną dzieje
Człeka, świata, ludzkości, jak nie walką oną,
Którą z prawy bożemi wiedzie ludzkie łono?
Praw tych dzierży się wszystko, granitów tych szczyty,
Szumy wód, lasów ciemnie, gwiazdy i błękity,
Bo im woli Bóg nie dał, więc jak obłok biały
Potulne, pod królewskie kładną się sandały.
Nam dał wolę i prawa, dał przedwieczne słowo,
Dał tyle, że najstarsza moc wolnych na świecie
Tych, co spadli, by przeczyć, archanielską mową
Rzec mogła rzeszy ludzkiej: Jako Bóg będziecie!
Rzekła! mówi! w twych ustach dzisiaj się odzywa,
Ażeby grozić prawu, lud Boży wyzywa.
Lecz nie dla wielkich tylko i mądrych tej ziemi;
Dla maluczkich Ten przyszedł, między maluczkiemi
Ten stanął, co niebieskie dziejom prawo pisze.
Biada tym, co prostaczych przerwą zbożną ciszę,
Co w morzu ludu zażedz chcą swej piersi burzę
Bez słowa, co wszechmocnie panuje naturze!
Spiętrzy się, olbrzymiego lwa pustyni grzywą,
Lud, co nietylko myśli, ale czuje żywo,
Lud, którego On chował na mieszkańca nieba,
Zażąda nieba od was. Wy dacie mu chleba,
Ducha ciała, wy trwożni w jego straszne tonie
Rzucicie wszystko, wszystko on głodny pochłonie;
Nieba w duszy i drogi w niebo mu nie dacie...
Sam je znajdzie... Lecz wtedy w bólu majestacie,
W uczuciu drogi błędnej, którą szedł za wami...

KALLIMACH.

Księgi nasze i pisma ułoży stosami,
W stosach tych apostołów krzywej drogi spali,
Czy nie tak?

DŁUGOSZ.

Jest stos inny, który bardziej smali;
Jest stos, w którym sie topi zły kruszec i złoto,
Gdzie złoto pozostaje a kruszec czernieje.
Na sławy buntownicze stosem tym — są dzieje!
Świat to koleją inną może się znów rzucić...
My, co wyszliśmy z stosów, możem na nie wrócić,
W katakumbowych cieniach kiedyś zmarłe chować,
Nad czem panujem jeszcze, może zapanować.
Lecz odkąd On na ziemi, On nie ludzkiej miary,
Stanął, niema już innej, jak ta na tym świecie.
A im staniecie dalej — tem niżej staniecie...
Lat tysiące jak jeden dzień przed Boga okiem!
Kurczy się księga dziejów wstecz wiekami pchnięta:
Nie zginie kto był mędrcem, zbawcą lub prorokiem,
Nie zginie, co myśl ludzka skrzydłami rozpięta
Zdobyła, praca żadna i cnota nie zginie,
Ale w każdej tej myśli, natchnieniu i czynie
Prawd jego wiecznych święta droga się wypali.
Chwalić go będzie ludzkość, jak natura chwali.

Treść zaś faktyczna, historyczna, obraca się około zatargu Kazimierza Jagiellończyka ze Stolicą Apostolską, o przyznaną Maciejowi Korwinowi koronę czeską i około bezskutecznej jego wyprawy na Węgry, celem osadzenia na tronie drugiego syna Kazimierza. Zły koniec tej wyprawy służy za pretekst do wydania historycznego sądu o polityce Kazimierza. Była ona mylną, gdy z wielkiego pożądania wpływu na zachodnie strony i sprawy, zaniedbała, spuściła z oka, wschodnie granice. To wypowiada Długosz w zakończeniu

sztuki. Sztuka sama ładna, a pomimo długich politycznych i filozoficznych rozpraw (które stanowią jej treść główną), zajmująca. Figury nakreślone wyraziście i trafnie — król mianowicie, jego synowie (młodzieniaszki lub dzieci), każdy z tym w zarodzie charakterem, jaki później w życiu okazał; Kallimach jako typ sceptycznego humanisty. Długosz ma powagę i jędrność, jaka przystoi temu duchowi, który się objawił polityką polską w XV wieku i jej powodzeniem. W zakończeniu sztuki był znowu obraz z żywych osób, i znowu wiersz na chwałę Długosza, na chwałę wszystkich wielkich i dobrych w dziejach, na upomnienie dzisiejszym. Pomiędzy wierszami Szujskiego jeden to z bardzo charakterystycznych, z bardzo pięknych.

Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Dźwiga się naród, mocni się duch,
Orle się skrzydła do lotu budzi,
W orli przyszłości porasta puch.
Wszystkie ma strzały w swoim kołczanie,
Na codzienności walkę i trud,
Komu wczorajsza dzisiejszą stanie
Się dni osnowa.
W kim grają ojców czyny i słowa,
W kim krew stuleci potężnie krąży,
Szczęśliwy lud!
Bo wie, skąd wyszedł, więc wie, gdzie dąży.

Naród, jak rzeźbiarz, by z ziemskiej gliny,
Na chwałę Panu postacie snuł:
Ducha i woli potężne czyny!
A więc kto myślał, czynił i czuł,
W krew ten pokoleń winien przechodzić,
Ścięgień ich siłą winien się stać:

Kto się z przeszłości umiał odrodzić,
Ten będzie wieńce przyszłości brać!

. . . . . . . . . . . . . . .

Niechaj od dziejów nicość odcina
Tego, co krzywdę w dziejów ma wątku:
Większa jest krzywda wasza, jak wina!
Więc od zbożnego dziejów początku,
Od dni Chrobrego, przez Piastów dzieje,
Przez Jagiellońskie pogodne dni,
Niech płynie ogień, co siłę leje,
Płynie krew dziadów w potomków krwi.

Twardo, surowo, Długosza wzrokiem
Niech winy wnuków strofuje dziad;
W wyżyny patrzy namiętnem okiem,
Kto winą własną z wyżyny spadł:
W sobie sił szuka, by zdobyć szczyty,
Ciężkich nie miękkich szuka on dróg,
Męża ma ducha a nie kobiety,
Pięść zaciśnioną, a nie wzrok łzawy.
Na zbożnych, czystych, twardych łaskawy
Ojców był Bóg!

Cóż jeszcze? Tylko jedno. «Głos z Polski na cześć św. Cyrylla i Metodyusza». W roku 1881 podczas pielgrzymki słowiańskiej do Rzymu na uroczystość tych świętych, odbywała się w Watykanie w obecności Ojca św. tak zwana akademia. W każdym z zebranych tam języków czytany był wiersz, na tę okoliczność napisany. Piękny to, i sprawiedliwy, zasłużony, koniec poetycznego zawodu Szujskiego, że jego słowo ostatnie odezwało się tam, że wobec tych słuchaczy zaświadczyło duchowi, z którego zawsze płynęło:

O Ty błogosław — Ty Namiestnik Pański,
O Ty im wyproś duch wytrwania męski,
Ty mu Anioła dobrej wyproś rady,
Ty ducha zgody, błędów pokonania
Łaskę...

Trzydzieści lat czasu, od ławek szkolnych do śmierci, obejmuje poetyczny zawód Szujskiego. Wiele obejmuje cierpień i goryczy, walk myśli i serca ucisków? Któż odgadnie i zliczy? Z dzieł poznajemy, jakiego były rodzaju, co je zrodziło, poznajemy, że były i mnogie i wielkie: ducha nie złamały, lecz serce rozdzierały i krwawiły bez wytchnienia i litości. Ale znamy je ogólnie tylko: a jak one każdego dnia i każdej godziny bolały, ile ich było, tego nie wiemy: tajemnica została między Bogiem, który widział i liczył, a człowiekiem, który cierpiał.

Cóż po przejrzeniu dzieł pomyślimy i powiemy o tej poezyi i o tym poecie? Musiał być chyba jakiś bardzo słaby i nieznaczący, kiedy za życia czytano go tak mało, a po śmierci, przez te długie lata, jeden się dotąd znalazł, który mu czas i pracę poświęcał — pan German. Prawda, że ten jeden z zamiłowaniem wielkiem i głębokiem zrozumieniem, wniknięciem w naturę talentu, w myśl i duszę człowieka[1]. Czy słaby i nieznaczący? Jaki był talent poetyczny Szujskiego, to pytanie, które (ufamy) będzie roztrząsanem nieraz, a rozwiązanem nie prędko. Dziś na prawomocny wyrok zawcześnie: sprawa za świeża, sędziowie sami nie dość z jej aktami obeznani, przysięgli do sądzenia nie przysposobieni. Przyszłość wyda

---

[1]) W ostatnim roku przybył drugi, p. Konczyński.

werdykt, a na jedno w każdym razie liczyć można, to, że ona nie powie: «nieznaczący, obojętny, mały, zdolny przez jeden dzień podobać się i zająć, a przeznaczony na to, by po jednym dniu zwiędnął, usechł i zniknął w niepamięci piasku».

Czy Szujski był organizacyą i zdolnością poetyczną zupełną, skończoną, doskonale i harmonijnie złożoną, jak Mickiewicz, jak Goethe, jak Byron lub Schiller? Nie, oczywiście, nie. Dowodzi tego w sposób niewątpliwy choćby sam ten fakt, że Szujski historyk i Szujski polityk, jakkolwiek nie ganiony tylko, ale szarpany i prześladowany, przyjął się jako taki, i ma stanowisko wielkie, które najzawziętszy przeciwnik może próbować osłabić, ale którego nawet taki nie próbuje przeczyć. Szujski poeta tak się nie przyjął, takiego stanowiska nie ma. Dla czego? Jakie są po temu w jego talencie powody, jakie niedostatki?

Przedewszystkiem ta rzecz zewnętrzna niby, i jako taka, niby mniej ważna, ale w sztuce nierozłącznie z istotą rzeczy związana, forma. Ta jest u niego nierówna, a nieraz trudna. Natchnienie będzie prawdziwe i potężne, uczucie porywające, myśl głęboka — ale wyrażenie będzie często zawiłe, albo jak żeby wymęczone, sztuczne. Niedoskonałość w tem jest oczywiście, a choć pomimo niej jest i wielka siła, i wielka świetność wyrażeń i stylu, to przecież dziwić się nie można, że czytelnik nie lgnie, nie rwie się do poezyi, która go tą zewnętrzną ponętą nie wabi, tylko owszem nieraz zraża trudnością. Tu nie forma sama wiedzie czytelnika łatwo i rozkosznie do zagłębiania się w treść; tu treść poznana, myśl zgłębiona, prowadzi dopiero do stopniowego uznania i ocenienia formy. Kto wy-

dobył myśl i do niej się przywiązał, ten potem, ale potem, dochodzi do przekonania, że i ta forma jest niezwykła, oryginalna, dzielna, często (częściej niż zrazu widzimy i wiemy) wspaniała. Ale to jest już skutkiem czasu, pewnej pracy i pewnego przyzwyczajenia: z góry, odrazu, ta forma nie chwyta, nie czaruje, nie podbija.

W tem wielka oczywiście niekorzyść dla poezyi i poety.

Jaki zaś powód? Naprzód myślenie niezmiernie szybkie i obfite. Taki nawał myśli, argumentów w rozumowaniu, w prozie, lub pierwiastków sytuacyi w poezyi, że umysł i pamięć, i wyobraźnia, zachowują i utwierdzają na papierze te tylko, które są najistotniejsze, główne. Te rzeczy poboczne, mniejsze, ale potrzebne, bo łączą i uwidoczniają związek, Szujski pomija, opuszcza w swoim stylu i sposobie pisania, w swoim planie i sposobie tworzenia. W jego umyśle one są i tkwią, on o nich wie i pamięta, a myśli, że są tak samo wiadome, tak samo przytomne czytelnikowi także. I w tem się często myli. Czytelnik nieraz widzi przeskok myśli tam, gdzie dla autora związek jest jasny: czytelnik często nie zna tego historycznego szczegółu, który autorowi doskonale wiadomy, stanowi powód lub utrzymuje związek dramatycznych sytuacyi. Jasność i krótkość okresów, zdań, wyrażeń, dokładniejsze wytłómaczenie i rozwinięcie myśli, oto, co byłoby potrzebnem na to, by Szujskiego zrobić pisarzem powabnym, powszechnie wziętym, popularnym.

Oprócz tego miał on w młodości skłonność do wyrażeń przesadnych, naprężonych; zdawało mu się, że to siła i jędrność. Skłonność z wiekiem przeszła,

ale zostało pewne przyzwyczajenie, pewne oswojenie się z wadami stylu i prześlepianie ich. Zmysł estetyczny, który czuwa pilnie nad wyrażeniami i stylem, strzeże się tego, co brzmi źle, a wygląda brzydko, ten albo z natury nie był dość drażliwym, albo nie wykształcił się dostatecznie. Ten sam zaś błąd daje się widzieć nietylko w jego wyrażeniach i stylu, ale także w jego pomysłach, w jego wyobraźni. Jak nie czuje, że pewna sytuacya potrzebuje rozwinięcia, dokładniejszego wytłómaczenia, tak również nie czuje, że jakaś inna, zamiast być bardzo wyrazistą i energiczną, stała się przesadną, nienaturalną, a przez to zmarnowaną, straconą (np. w Halszce przysięga, w Marynie zdrętwiałe ramię Dymitra i rozdarcie korony, w Władysławie IV śmierć Koniecpolskiego).

To są jego główne błędy, defekta jego poetycznej organizacyi. Ale jest coś więcej, co nie da się uważać za błąd, tylko za nieunikniony pierwiastek pewnego rodzaju poezyi i pewnego rodzaju talentów. On jest poetą tendencyjnym: a w takich organizacya poetyczna może być bardzo potężną, doskonałą, zupełną nie jest nigdy. Dante, z takich największy, był zapewne mędrszym od Homera, ale nie był takim jak on poetą; a żeby bliżej porównania szukać, jaka jest różnica ogromna między poetycznemi usposobieniami Mickiewicza a Krasińskiego!

Poeta, który jest przedewszystkiem tendencyjnym, który tłómaczy, dowodzi, chce coś sprawić, musi być dydaktycznym: a wskutku tego kierunku swojej poezyi (który znowu jest skutkiem jego natury i umysłu), musi być więcej myślicielem, niż artystą. Szujski już w pierwszej młodości, choć się wtedy

mniemał do poezyi wyłącznie powołanym, oburzał się na sztukę dla sztuki, gardził nią, chciał, żeby poezya miała jakiś cel nad sobą, żeby wyższym od siebie względom i sprawom służyła. W latach dojrzałych to jego przekonanie stało się mniej absolutnem: ale przez jego duszę przeszły takie wrażenia i wstrząśnienia, ta praktyczna potrzeba służenia, budzenia i szerzenia pewnych pojęć i uczuć, sądzenia faktów i ludzi, rozstrząsania sumień, tak się wzmogła i narzuciła, że wzięła w posiadanie całą duszę, całą siłę, całe życie człowieka, a poezya przejęła się i przesiąkła tym obowiązkiem nawskróś, on stał się jej duszą i treścią. W formie ta poezya niby nie ma nic wspólnego z filozoficznemi lub politycznemi kwestyami współczesnego świata; nie stawia sobie też, nie wciela idei czy dążności w allegoryczne postacie i pomysły. To są proste, zwykłe sceniczne dramata, lub proste wiersze uczuciowe: ale każda figura, każda scena dramatu, każda strofa takiego wiersza, uczy, upomina, służy, do czegoś dąży, jest środkiem do poruszania, do przekonania, do działania.

Ta tendencyjność, ten ukryty dydaktyzm, wskazuje i dowodzi, że jego organizacya artystyczna nie była doskonałą, że myśliciel i człowiek publiczny był w nim potężniejszym od poety. Podobny tem jest i zbliżony do tego, którego poezya raczej mu się nie podobała, a którego myśli i teorye w swojej nieraz zbijał i prostował, do Krasińskiego. To jest, przy całem niepodobieństwie, przy całej różnicy form, pomysłów, usposobienia, i sposobu pisania, to jest jego bezpośredni poprzednik w naszej poezyi, a związek po-

między nimi taki, że jeden jest koniecznem następstwem, uzupełnieniem i sprostowaniem drugiego.

Ze sfer historyozofii ideał ten sam zstępuje tu na grunt rzeczywistości, w niej się rozpoznaje i oryentuje, z nią się porównywa, a widząc, jak jej do niego daleko, ściąga swoje wielkie rozmiary do jej małości, i nie zmieniając swojej natury, zmienia swój kształt. Nie patrzy w przyszłość daleką i nieoznaczoną, ale na współczesną, dzisiejszą teraźniejszość; nie kres wskazuje, ale początek drogi i wszystkie na nim kamienie i ciernie. Jeden widzi szczyt budowy, drugi uważa na fundamenta, jakie są, czy dość pewne i mocne, by budowa na nich wznosić się mogła, a jeżeli nie, to jak je wzmocnić i utrwalić. Ale plan budowy jest ten sam, droga jest ta sama: a przy zupełnej odmienności form, rodzajów, niektórych pojęć, przy całej różnicy talentów, duch i cel jest ten sam.

Z tego tendencyjnego, dydaktycznego charakteru poezyi Szujskiego wynika znowu to, że ona przemawia i szturmuje gwałtownie do myśli swego czytelnika, do jego przekonania, do jego sumienia i woli, nierównie mniej do jego wyobraźni, a wcale już do jego nerwów.

I to znowu jest może jednym z powodów tej obojętności, jaka ją spotyka. Ona wstrząsa gwałtownie, a nieraz silnie porywa uczucie, ale ona nigdy siebie ani drugich nie roztkliwia, nie rozmarza; a my oddawna do tego przyzwyczajeni, to przedewszystkiem lubimy, tego w poezyi szukamy. To nam dawali niektórzy z romantyków — nawet wielcy — jak Słowacki, i ich epigonowie; to w innej formie dzisiejsi realiści. Czy wolno jest uważać za wielką zaletę i zasługę

Szujskiego, w poezyi, jak prozie, to, co jest jego niezaprzeczoną cechą, tę męskość i jędrność, która do męskich władz duszy udaje się i trafia, która nie westchnienia i łzy wyciska, ale wykrzesać, wyrąbać chce ze swego czytelnika zastanowienie i postanowienie, która, sama z woli i charakteru zrodzona, wolę i charakter chce budzić, wyrabiać, hartować?

Można mówić co się podoba o okresach zawiłych lub błędnej budowie dramatów; jednego przecież zaprzeczyć ani zmienić nie można, że w tej poezyi całej niema nic marnego i pustego. Żadnego słowa, w którem nie byłoby myśli, żadnego źdźbła bez ziarna.

I to sprawia, że pomału, nieznacznie, dotąd nielicznie, czytelnicy (a co dziwna i dobra, młodzi), zaczynają zwracać się ku tej poezyi i do niej lgnąć. Przezwyciężają trudności formy, rezygnują się na jej niedoskonałości, bo pod tą formą znajdują myśl, która ich wzmacnia i krzepi, uczucie, które ich podnosi, pokarm duchowy, który się bierze na zapas na całe życie, żeby w drodze z sił nie opaść i nie ustać. Potrzeba, prawda, pewnego przysposobienia, pewnego wychowania, żeby do tej poezyi przywyknąć: przyzwyczajenia do surowego nad sobą sądu i do wysokich a twardszych od siebie wymagań. Dlatego poezya Szujskiego jeszcze między nami nie rozeszła się i nie przyjęła, dlatego bodaj na wielką wziętość liczyć nie może. Ale jeżeli te przymioty, które ona w sobie ma i których od nas żąda, z postępem czasu i postępem społeczeństwa samego, zdołają w nas rozwijać się i wzrastać, to przyjdzie kiedyś czas, że będziemy w niej widzieć wyraz naszych uczuć i pragnień. Wiele

kwiatów zwiędnie i uschnie, i upadnie, a ten pień, pełen jędrnej, twardej, silnej rdzeni, żyć będzie.

W tem, co było częścią najbardziej umiłowaną jego poezyi, w dramacie, jakie jego właściwe stanowisko i zasługa? Czy zrobił się przez niego jaki krok naprzód w tym kierunku? Sam uważał swój dramat za próbę, za usiłowanie tylko: nie śmiał spodziewać się (choć marzyć musiał), żeby próba się udała, a usiłowania doprowadziły do celu. Tak się nie stało: żaden z jego dramatów nie jest tym, którego chcemy, na który czekamy. Takiego dotąd niema. W przytoczonej powyżej pracy o Szujskim mówi pan German, że i czas nie po temu, i Szujski sam był zbyt synem swego czasu, zbyt napojony jego goryczami i jego bólami szarpany, żeby mógł zapanować nad temi wrażeniami i tworzyć spokojnie, pogodnie. Czy czas był powodem, czy natura jego talentu, to pewna, że po nim, jak przed nim, tragedya polska jest zawsze jeszcze naszem pragnieniem i oczekiwaniem. Polskiego Wallensteina, polskiego Macbetha nie dał nam on, jak nie dał nikt inny. Ale czy tej sprawy znacznie naprzód nie posunął, czy się dramatowi przyszłemu nie przydał, i czy nie miał sam niepospolitych w tym rodzaju przymiotów, to inne pytanie. W każdym razie jest on inny, jak wszyscy dotąd tragicy, i nietylko polscy. Na Szekspirze kształcony, to oczywista: ale w tem zupełnie oryginalny i jedyny, że jest bardziej niż każdy inny tragikiem historycznych sił i dążności; nie wypadków, ale tych zbiorowych sił, dążności i praw, które sprowadzają wypadki i w nich się objawiają. U Szekspira jest to najwyraźniejsze w tragedyach rzymskich, w Cezarze, a zwłaszcza w Koryolanie.

W dramatach z historyi angielskiej są fakta i są indywidua ludzkie, psychologicznie zawsze prawdziwe, a często typowe, ale walki politycznych pojęć i zasad tam niema. W Wallensteinie jest ogromny i jak morze głęboki obszar tych konieczności, tych fatalności, które polityka rodzi lub znosić musi, ale walka jest znowu między żądzami i prawami, nie między przekonaniami, zasadami, dążnościami. Tragedye Szujskiego są ze wszystkich historycznych najbardziej polityczne: walka w nich toczy się zawsze między myślami i zamiarami politycznemi, a przedmiotem jej nie jest jeden człowiek ze swemi namiętnościami i pragnieniami, ale rzecz publiczna, jej ratunek i jej upadek.

Z tą charakterystyczną cechą tych dramatów godzi się logicznie a ciekawie to stałe w nich zjawisko, że figury i sytuacye, w których jest ten pierwiastek politycznej myśli i dążności, złej czy dobrej, będą miały zawsze więcej życia, więcej prawdy, więcej fizyognomii, więcej poezyi, od tych, w których jest jakieś osobiste tylko uczucie. Miłość i kochankowie to zwykle strona słabsza tych dramatów; ludzie działający w historyi, czy Rzeczypospolitej bronią, czy ją gubią, oddani są prawie zawsze z wielką siłą i prawdą, mają swoje znamię indywidualne, swoją wartość jako typy, i swój głęboki, boleśny, tragiczny charakter.

Dar kreślenia tych postaci miał Szujski w stopniu wysokim i rzadkim. A w każdym razie położył około dramatu polskiego jedną zasługę wielką. Jego tragedye mogą być bardzo niedoskonałe i nie podobać się: ale po jego tragedyach żadne płytkie i czcze po-

dobać się na prawdę i żyć nie zdołają. Mogą się ukazywać, mieć chwilę powodzenia: próby czasu nie wytrzymają. Może tragedya polska nie przyjdzie nigdy, ale jeżeli przyjdzie, to nie będzie mogła stać niżej, będzie musiała być po takich początkach bardzo rozumną, bardzo głęboką, mądrą.

Po wielkiej poezyi przyszedł czas na prozę, po epoce młodzieńczej lotności uczucia — czas na ten dojrzały wiek męski, który z uczuć nie traci nic, ale rozum i wolę ćwiczy i podnosi do równego z uczuciem poziomu: z rajskiej dziedziny ułudy wygnany Adam przekonał się, że nie na żart, ale na prawdę powiedziano mu: «masz w pocie czoła ziemię uprawiać, bo inaczej ona ci nic nie wyda».

Po wielkich poetach przyszedł człowiek, który wielkim poetą może nie był, ale był historykiem, był politykiem, był nauczycielem, i ten rozkaz wziąwszy do serca, krwawym potem tę ziemię skrapiał, na każdej jej piędzi, jak tylko najdalej mógł dosięgnąć, rzucał ziarna myśli, sądu, postanowienia. Wierzył i mówił, że jak człowiek musi zacząć od znajomości siebie samego, od rachunku sumienia, żeby się stał lepszym, jak lekarz musi poznać powód i stopień choroby, żeby mógł zdrowie przywrócić, tak społeczeństwo, jeżeli ma być tęgiem, musi zdać sobie sprawę ze swoich słabości, i musi chcieć ich się pozbyć.

«W trosce wielkiej patrzał dokoła, złe z dobrem ważąc na sumienia szali», a to, co zważył i zauważył, to zapisywał na każdej karcie swojej prozy czy poezyi, «byście o tych duchów znali sprawie», by zbudzony Piotrowin powiedział, «w czem pomocy chce od syna».

O historyku i polityku, o jego związku ze współczesnym światem i w tym świecie stanowisku, nie czas i miejsce mówić. Poeta tylko nas dziś zajmuje. Ale ten poeta był tamtych pomocnikiem, jak historyk i polityk chciał, dążył, walczył i cierpiał, jak historyk i polityk musiał znosić prześladowania. To nie dziw. Zasługa i cnota nie byłyby sobą, gdyby były łatwe, a ziemia byłaby rajem, gdyby dobro szerzyło się i zwyciężało bez walki. W męce Zbawiciela było nietylko biczowanie, koronowanie cierniami i ukrzyżowanie: były zniewagi i fałszywe świadectwa. Nie patrząc tak wysoko, w ziemskich tylko żywotach i cnotach widzi się w mniejszych rozmiarach odbicie tego samego losu. Żółkiewski był okrzyczany, że się Turków uląkł, Sobieski, że się z nimi na Rzeczpospolitą zmawiał. A jakież oskarżenia nie padały w bliższych nam czasach, żeby jednego tylko Mickiewicza wymienić. Jeżeli tacy nie byli od potwarzy zasłonięci i wolni, cóż się dziwić dopiero, że mniejsi, chwałą geniuszu i wielkich czynów nie otoczeni i nie osłonięci, że ci byli brani na cel tak śmiało, tak bezpiecznie, jak ten rycerz, co sam jeden stał na łące pod dębem, kiedy w niego tysiące strzał tatarskich mierzyło.

W Szujskim utkwiło tych strzał wiele; ale jak tamten z drogi wracać nie myślał, bo wyszedł po posiłki, i jak tamten, do ostatniego tchu wzywał arki przymierza, stolicy mądrości, uzdrowienia chorych, pocieszenia strapionych, wspomożenia wiernych. «Ducha miał gasić», mówiono, szacunek siebie samych nam odbierać, znieważać to, co czczonem jest i być winno? Czy gasi ten, co oświeca? czy odejmuje cześć własną ten, co każe tak się szanować, żeby jednego

pyłu złego na sobie nie znosić, a tak wiele od siebie żądać, żeby się do czegoś wielkiego usposobić? czy znieważa ten co mówi: «jakeś upadł to się dźwigaj«? Tak samo znieważa spowiednik, kiedy rozgrzeszenie daje, ale postanowienia poprawy wymaga. Tak odejmuje szacunek własny i ufność do siebie starszy młodszemu, kiedy go uczy, że powinien się trzymać zdala od wszystkiego, co nizkie i złe, a stać się szlachetnym i mądrym. Tak gasi ten, kto w ogniu miłości chce stopić wszystkie żużle i skorupy, jakie do złota przywrzały, a myśli, że kto kocha naprawdę, ten w miłości swojej znaleźć powinien siłę i odwagę, żeby poświęcić i odrzucić od siebie i w sobie lichsze pierwiastki ze złotem zmieszane, a czystem złotem pozostać i zaświecić.

Jaki to był duch, i czy on w drugich ducha gasił lub podnosił i rozpłomieniał, to daje się widzieć choć po części z tych poezyi, które tu streszczałem lub przytaczałem. Może one zaświadczą i przekonają, że nie niesłusznie na pomniku Szujskiego w Tarnowie (przed szkołą, w której pierwsze nauki pobierał), położono taki z jego słów ułożony napis:

We mnie ogień żarzył się miłości,
Do tej wielkiej i świętej przeszłości:
Więc w trosce wielkiej patrzałem dokoła,
Na braci serca i na braci czoła,

Złe z dobrem ważąc na sumienia szali,
Aby naród był z was kiedyś duży,
Wierny Bogu i dobry na bliźnie.

